wolnelektury.pl

Zofia Nałkowska

Romans Teresy Hennert

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

ZOFIA NAŁKOWSKA

Romans Teresy Hennert

I

Julian Gondziłł, dobrze już siwiejący porucznik piechoty, nie był w swym życiu rodzinnym szczęśliwy. Może po prostu nie miał powołania do stanu małżeńskiego. Wystarczyło mu przekroczyć próg domu, aby odchodził go wszelki humor. Był jednak sprawiedliwy i przyznawał, że trochę winy jest i po jego stronie.

Dom, Rodzina, Dziecko, Żona, Małżeństwo

Ale kobieta, która go tam witała — mój Boże, czyż to właściwie była żona?

To była panna służąca, kucharka, praczka — wszelka niewolnica, tym jedynie zatroskana, by obiad się nie przestał[1].

Obiad przestawał się zresztą zawsze.

W ogóle do mieszkania — całkiem realnie rzecz biorąc — wchodziło się przez kuchnię. Więc sprawa jadła i jego zapach narzucały się od pierwszej chwili same przez się.

Ponadto, w poprzek tej kuchni przeciągnięte były dwa sznurki, na których o każdej porze dnia i nocy suszyła się jakaś bielizna. Wilgotne płachty, zwisające różne rękawy, nogawice i tasiemki, muskały porucznika po twarzy, chociaż pochylał głowę, by tego uniknąć.

Z dwóch małych chłopców, jeżeli zdrowy był starszy, Konrad, to już na pewno chorował młodszy, Wituś. Tak przynajmniej wydawało się żonie, która zaraz kładła dziecko do łóżka. Często zdarzało się, że w łóżkach leżeli obaj. Oto jakie były słodycze ojcostwa.

Żona, niestety, nie próżnowała nigdy. Kiedy już nie miała nic do roboty, to zawsze jeszcze coś robiła. Były to mianowicie jakieś *filety* albo, co gorsza, *teneryfy*.

Porucznik mówił o niej czasami:

— Horyzoncik... Taki!

I zakreślał palcem kółko na swej własnej dłoni. Oznaczało to, że sfera zainteresowań jego żony jest równie szczupła jak rozmiary tego kółka.

Istotnie: wietrzenie, trzepanie, łatanie, szorowanie wszystkiego — były to zadania życia, przesłaniające cały świat.

Porucznik Gondziłł miał kiedyś co do swej żony poważne złudzenia, poślubił ją był bowiem z gorącej miłości. Wystarczyło przecież kilka lat, by się rozwiały bez śladu. Skrzydła jej ducha służyły, jak u kury, nie do latania, tylko do okrywania piskląt.

Dzisiaj porucznik wierzył tylko w przyjaźń, cenił towarzystwo serdecznych kolegów, przepadał za dobrą kompanią.

Twierdził też, że jego los został właściwie zwichnięty. Dziedziczne zamiłowanie skłaniało go do pracy na roli, wojna zaś oderwała go od studiów rolniczych, którym się był poświęcił ostatecznie po innych nieudanych próbach. Przeminione lata oraz małżeństwo i związane z tym obowiązki udaremniały teraz powrót na dawniej obraną drogę.

Porucznik był to człowiek dużego wzrostu, już nabierający tuszy. Twarz swą — pełną, płaską i, mimo życiowych przeciwności, pogodną — golił niedbale, a rzadkie wąsy nosił dłuższe nieco, niż zalecała moda. Jego mundur — za krótki i za ciasny — był całkowicie wypełniony miękkim ciałem. Gdy siadał, wówczas sukno, nie pierwszego gatunku, naciągało się i marszczyło. Gdy wstawał, fałdki pozostawały już na dłużej. Nawet gruby zimowy płaszcz nie oparł się tym przemianom. I czapka wojskowa zatraciła swój przyrodzony kształt, miękką fałdą opadając aż do karku.

[1] *przestać się* (pot.) — o jedzeniu, które wskutek długiego stania straciło smak. [przypis edytorski]

Tak odziany, porucznik Gondziłł szedł z pracy szeroką, zalaną słońcem, ulicą miasta. Z czarnych wskazówek zegarów, zawisłych po drodze nad chodnikiem, czytał jasno, że obiad znów się przestaje. Ale nie przyspieszał kroku.

Ludzie wokoło niego wymijali się tłumnie i jakoś bezradnie. Silny, gorący wiatr przedwczesnego dnia wiosennego podrywał kapelusze i szamotał połami zimowego jeszcze odzienia. Paliło słońce, pachniał kurz miejski, na czarnych drzewach krótkie, nagie gałęzie ruszały się prędko. Wiosna zaskoczyła świat zupełnie jeszcze nieprzygotowany. Gotowe, jak zawsze, było tylko niebo ciemnoniebieskie i żywe, wesołe powietrze.

Idąc z tym tłumem, oddawał porucznik ukłony wojskowe różnej jakości.

Żołnierz

Wysoko bowiem cenił kryteria wojskowej hierarchii, jej nieubłaganą i mądrą architekturę. Własny, zbyt niski wobec lat, stopień oficerski poił go, jak źródło zatrute, napojem tajonej goryczy. Dawał mu przecież jednocześnie doświadczać wyszukanej, subtelnie skomplikowanej rozkoszy, w której przenikało się i zazębiało poczucie zwierzchnictwa i subordynacji, uległości i panowania, surowej łaskawości i czci pełnego, skwapliwego posłuchu.

Stopień porucznika był dla niego miejscem geometrycznym przełamania się świata na dół i górę, rodzajem zera na termometrze losu. Był też żelaznym punktem pośród płynności zjawisk, bazą wszelkiej orientacji.

Gondziłł, podnosząc raz po raz dwa palce do czapki, czujny był szczególniej na ciepły, dyszący tętent samochodów, unoszących wysokie osobistości wojskowe, tępe i znieruchomiałe w tym mknieniu.

Doznawał zawodu, gdy byli to tylko dygnitarze państwowi lub nieznane, obojętne osobniki cywilne.

W jednym z samochodów ujrzał, powracającego również z ministerium[2], znanego sobie pana Józefa Hennerta. Zdążył oddać i odebrać ukłon. W przelocie melon[3] matowy tamtego uniósł się lekko od ujęcia palców, okrytych ciemną, nieposzlakowaną rękawiczką.

— Mój Boże — mruknął do siebie Gondziłł — oto prawie wiceminister. Kto by pomyślał...

Spotkanie to przypomniało porucznikowi, że pan Nutka, teść owego Hennerta, stary smakosz i kompan doskonały, na pewno znajduje się o tej chwili w Edenie na obiedzie. Pan Nutka — a z nim może i Laterna, filozof, obieżyświat, dziwak, ale jak mało kto rozumiejący się na dobrych trunkach. Ostatnio zaczął tam bywać nawet generał Chwościk.

Westchnął i pomyślał o pewnych jedynych grzybkach solonych i pasztecikach w kruchym cieście. Ponadto był właśnie dzień kołdunów. Nie. Porucznik westchnął jeszcze raz i zawrócił z drogi.

Szedł teraz szybciej. Po całym jego ciele rozlała się radość powziętej decyzji.

Chociaż poniekąd skrzywdzony przez los, Gondziłł nie miał zupełnie rozwiniętego zmysłu zawiści. Otarcie się choćby z dala o cudze szczęście czy powodzenie pokrzepiało go raczej, umacniało w podziwie dla niezwykłych zdarzeń świata. Wystarczał mu idący od nich powiew fantazji, usprawiedliwiający lekkomyślność i nieodpowiedzialność. Oddychał przez chwilę atmosferą, w której nagle wszystko wydawało się możliwe, a nic nie było konieczne, atmosferą tak pociągającą.

I teraz jedynie spotkaniu z Hennertem zawdzięczał, że oto w najlepszym humorze idzie na obiad do Edenu.

O tym Hennercie i jego małżeństwie Gondziłł, gdyby chciał, mógłby ciekawe opowiedzieć rzeczy. Panią Teresę znał jeszcze za jej czasów pensjonarskich, gdy, wysyłana przez matkę, zachodziła często do Laternów pożyczyć parę groszy na obiad. A teraz — wielcy państwo, wysokie progi... Gondziłł rozmyślał o tym dobrodusznie i bez cienia żalu. Nie narzucał się ze swą przyjaźnią. Żył blisko tylko ze starym panem Nutką, którego odmiana losu nie zrobiła dumnym ani niedostępnym.

„Sam nie byłby uwierzył, że tak wysoko zajdzie", myślał o Hennercie. „Czymże był, kiedy żenił się z Terenią — i na jaką przystał rolę... Właściwy wiceminister — nic naprawdę nie znaczy, robi politykę. Każdy wie, że wszystkim jest tam Hennert. Wszystko od niego zależy...".

[2]*ministerium* (daw.) — ministerstwo. [przypis edytorski]

[3]*melon* a. *melonik* — rodzaj męskiego kapelusza. [przypis edytorski]

Porucznik nagle stanął i wyprężył się w nowym ukłonie. Nie był to jednak ukłon zwykły. Po chwilowym zesztywnieniu wojskowym Gondziłł przeobraził się w jednej chwili: oddawszy wojskowości, co jej było, rozwarł grube wargi do serdecznego okrzyku i niedźwiedzie ramiona do objęć.

— Kogoż to ja widzę! Sługa pułkownika! — witał młodego, eleganckiego oficera z takim wylaniem, jakby spotkał rodaka na obczyźnie.

Uradował się z całej duszy, rozpromienił po prostu naiwną uciechą „zacnego chłopa", która każdego rozbraja.

Toteż pułkownik, szczupły i sztywny w przeciwieństwie do Gondziłła, ciasno stroczony[4] wpół i przez ramię świeżym rzemieniem pasa, rozjaśnił się wyraźnie. W jego uśmiechu, ukazującym zbyt długie, lecz piękne zęby, w uśmiechu prawie czarującym, zaigrał jednak odcień pobłażliwej wyższości.

We wzajemnym objęciu zeszli obaj na skraj chodnika i tu Gondziłł oznajmił zupełnie stanowczo, że mianowicie już tym razem pułkownik mu się nie wymknie i obaj idą na kołduny do Edenu.

Stosunek Gondziłła do pułkownika Omskiego był dość szczególny. Gondziłł poszukiwał jego towarzystwa, tęsknił za nim i w pewnej mierze nawet go uwielbiał. W adoracji tej grały oczywiście rolę wybitne zasługi wojskowe pułkownika, wysokie odznaczenia, piękne stosunki w świecie, zadziwiająca w tak młodym wieku kariera.

Alkohol

Ale naprawdę czym innym imponował Gondziłłowi pułkownik. Mógł on mianowicie, jak każdy oficer, wiele wypić, ale miał ten swój jakiś pewien kieliszek, poza który — nie bacząc na żadne okoliczności, sytuacje i namowy — nie przeszedł nigdy.

Gondziłł znał ludzi o tęższej głowie, dawał rady kompanom najbardziej nieustraszonym, pułkownika jednak nigdy nie mógł pokonać. Niejeden raz wydawało mu się, że oto już, już ma go w ręku — gdy w pewnej dowolnej chwili pułkownik stawał się znów niezdobyty, tajemniczy, niezłomny — wówczas, gdy inni wokoło pogrążali się bez pamięci w odmęt pijatyki. Gondziłł wiele myślał o tym, rozważał tę dziwną sprawę. Marzył o pułkowniku jak o niezdobytej kobiecie.

Złożyło się pomyślnie, że dnia tego pułkownik Omski nie był nigdzie na obiad proszony. Przystał więc na zaproszenie Gondziłła, zwłaszcza że był mu już przedtem parokrotnie odmówił.

Drogę mieli niedaleką. Skręcili teraz w ulicę mniej ludną.

Żołnierz, Rozczarowanie

— Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie ta gotówka — mówił teraz Gondziłł. — Pókiśmy byli potrzebni... A, proszę bardzo! Obietnice, cacanki, kwiaty, bohaterowie *et cetera*[5]... Wdzięczność ojczyzny, osadnictwo wojskowe. Bóg wie nie co! A dziś, kiedy już skóra rodakom na grzbiecie nie cierpnie, ratuj się, kaczka! Nędza, co tu gadać, błyszcząca nędza.

Mówiąc tak, Gondziłł nie znajdował w słuchaczu rezonansu. Twarz pułkownika — długa i wąska, o sępim profilu, wysuniętej cokolwiek dolnej szczęce i brwiach pochmurnie ściągniętych — zamknęła się już bez śladu nad poprzednim uśmiechem.

— Wypłacono chyba dodatki — powiedział niedbale, jakby sam niedokładnie pamiętał.

Do znanej biedy życia oficerskiego odnosił się jak do sprawy nieprzyzwoitej, żenującej. Uczuwał wprost skrępowanie, gdy o tym mówiono.

Gondziłł, ze swym krzepiącym wyglądem jowialnego poczciwca, lubił utyskiwać, krytykować i biadać. Pochmurny pułkownik natomiast uważał lojalnie, że wszystko jest jak najlepiej, a zresztą kto inny jest powołany, by to rozważać.

— Dodatki? — oburzył się zaraz Gondziłł. — Dodatki! Były one małe, spóźnione i wiele jakichś innych posiadały braków.

Gondziłł bowiem ze swej strony wprost pieścił się tym tematem. Nie był niczym gorszym od innych, troska i upokorzenie nie jego tylko były udziałem. Uczuwał się w swym upośledzeniu podobny do najwyższych zarówno, jak do najniższych — i to go krzepiło. Był podniesiony przez pobratymstwo losu z dostojnymi. Pułkownik ukłonił się teraz pięknej, młodej kobiecie. Było pusto na ulicy i wyminięcie trwało pewną chwilę. Gon-

Kobieta, Uroda

[4]*troczyć* — wiązać coś lub krępować paskami, tasiemkami, rzemieniami. [przypis edytorski]

[5]*et cetera* a. *etc.* (łac.) — i tak dalej, i tym podobne. [przypis edytorski]

dził zamilkł i chłonął oczami to zjawisko. Rumieńce na twarzy, wielkie, czarne spojrzenie. Kostium popielaty z kortu[6] angielskiego. Mały czerwony kapelusz.

— Panie pułkowniku, toż to jedwabna kobieta — wołał z entuzjazmem Gondziłł, nie bacząc, że mógł być słyszany.

Twarz pułkownika była jak kamień.

— Jaki szczęśliwy! — nie ustępował porucznik. — Cóż to za oczy, co za proporcje! Postawa, nóżki, szyk, Jezus Maria!

Obejrzał się jeszcze raz, prawie przystanął.

— Któż to jest, do licha?

— Nawet nie pamiętam, jak się nazywa.

— Mój Boże. — Gondziłł kręcił głową w nabożnym zachwyceniu. — Aktorka chyba czy w ogóle coś takiego.

— Nie, gdzież tam, nie aktorka. Po prostu urzędniczka. Wszystkie panny pracują teraz po ministeriach... Mam już, nazywa się Sasinówna, Elżbieta.

Gondziłł jeszcze się oglądał — nie wiadomo nawet, czy bardziej zachwycony czy bardziej zaciekawiony.

Była już daleko — doskonale widzialna w polu jasnej, pustej ulicy. Wiatr gorący miotał fałdami sukni. Widać było cienkie przeguby nóg, obciągnięte popielatym połyskiem pończoch ponad popielatym matem pantofelków z irchy. Miała chód lekko się chwiejący. Oscylowanie stanu w biodrach ruchem prawie tanecznym. Szła, jakby godziła się na to, że ją ponosi wiatr.

Ona także pasowała do dzisiejszej wiosny — nie tylko niebo i powietrze.

— Urzędniczka — rozczulał się Gondziłł. — Nie wygląda! Ach, pułkowniku drogi, gdybym ja mógł ją gdzieś spotkać!

Pułkownik nawet trochę się zdziwił, ale nie zdawał się oburzony.

— Cóż pan znowu. Ona nie jest tak zupełnie, żeby już całkiem bez ceremonii... Z kresów, z przyzwoitej bądź co bądź, chociaż zbiedniałej rodziny. Sam zresztą znam ją tak mało...

Gondziłł zamilkł. Doprawdy był zbyt natarczywy. Nie mógł wiedzieć, do diabła, jaki rodzaj znajomości łączył pułkownika z tą osobą.

Popatrzył na suchy profil Omskiego jakby z innej strony, z nowym odcieniem szacunku: istotnie on właśnie godzien był takiej kobiety, któż mógł zaprzeczyć.

„Może to właśnie ta", pomyślał i prawie się ucieszył.

Tak, dusza Gondziłła pozbawiona była wszelkiej zawiści. Samo pobliże, sama możliwość triumfu i szczęścia cudzego była dla niego radością.

2

Weszli do lokalu po kilku drewnianych schodkach, okrytych zniszczonym dywanem. Zdjęte płaszcze zawierzyli służbie poważnej, siwowłosej i brudnej. Pułkownik zatrzymał się na sekundę przed mętnym zwierciadłem i przygładził włosy.

Ledwie stanęli w progu, uniosło się na ich widok od stołu w głębi wielkie ciało Laterny. Gondziłł też dojrzał go od razu. Wyminęli szybko stoły z biesiadnikami i porucznik przedstawił nieznajomych. Czynił to tak, jakby odprawiał jakiś obrzęd triumfalny.

— Ależ, panie profesorze — powiedział do Laterny pułkownik z grzeczną swobodą — my chyba jesteśmy sąsiadami. Jakże się cieszę.

— Któż wie o tym lepiej niż ja — zaśmiał się Gondziłł, promieniejąc radością.

Kojarzenie przyjaciół, tworzenie zacnej, wesołej kompanii stanowiło namiętność jego życia.

Profesor Laterna wyznał, że również rad jest bardzo, i wielką swą prawicą mocno uścisnął rękę pułkownika.

Rozmiarami ciała górował nad innymi. Gruby i miękki, łatwy do śmiechu, miał wielką twarz, oczy żywe i młode, a głowę porosłą krótkim, siwym puszkiem. Pomimo lat poważnych był ciekawy zarówno spraw, jak ludzi, i wszystko wydawało mu się interesujące.

Istotnie, pułkownik zajmował od niedawna pokój, przylegający do jego małego mieszkania, i zdążył już przyciągnąć uwagę profesora swoją osobą.

[6] *kort* — rodzaj lekkiej tkaniny wełnianej. [przypis edytorski]

Czwartym z grona był nikły, suchy staruszek, pan Seweryn Tarnawa Nutka, „teść Hennerta", jak zdążył poinformować dyskretnie pułkownika promieniejący Gondziłł.

Okazało się, że przybyli nie przeszkadzają w najmniejszym stopniu. Przeciwnie.

— Zaczynamy właśnie w tej chwili — gościnnie mówił pan Nutka, zapraszając do stołu, na którym Gondziłł już przedtem był zauważył stojące ulubione grzybki.

Spotykali się tu często na śniadaniu — w starym, ciemnym, brudnawym, ale pełnym tradycji, lokalu, zwabieni wypróbowaną z dawna jakością firmowych dań, sławą tęgiej starki[7] i w ogóle solidną, rodzinną atmosferą.

Słońce dalekiego południa wchodziło tu jak do podziemi. Powietrze ciężkie było od zapachu jadła i starego, przywarłego do grubych murów tytoniowego dymu.

W paru niewielkich salach siedzieli za stołami wyłącznie mężczyźni, starsi przeważnie, koneserzy i smakosze, niedowierzający taniemu blichtrowi wielkich nowoczesnych restauracji.

Gdy obaj oficerowie już zasiedli i wyrazili niezmiernie życzliwej służbie swe chęci, pan Nutka zwrócił się do Gondziłła:

— Wczoraj zięć mój pytał mię o pana — komunikował z bliska, konfidencjonalnie. — Ja tam w interesy jego nie mieszam się, uchowaj Boże, ale myślę, że musi coś dla pana mieć.

Dla Gondziłła wiadomość ta była wprost sensacyjna. Oto, czego nie oczekiwał!

— A właśnie widziałem przed chwilą pana dyrektora — powiedział. — Nie, tylko w samochodzie.

Pan Nutka ciągnął:

— Hennert — tak mawiał o zięciu — zna pana przecież bardzo mało, ale on ma węch do ludzi. Nie chcę go chwalić, w gruncie jest to jednak człowiek dobry, uczynny. I gdyby chciał coś dla pana zrobić... On dużo może.

Gondziłł nie wątpił. Był ucieszony prawdziwie i nie starał się ukrywać zaciekawienia.

— Hennert chciał z panem w tych dniach się zobaczyć — przeszedł nagle Nutka od uogólnień do konkretu. — Jaki jest pański numer telefonu w biurze?

— Zawsze jestem gotów, z całą chęcią — gorliwie zapewniał Gondziłł.

Służalczość

W tym czasie wezwany kelner pochylił się ku Nutce i z przymkniętymi powiekami łowił uchem słowa jego poleceń. W całej postawie zasłuchanego sługi przebijała jedyna troska, aby oto pojąć dokładnie, przeniknąć do dna i w całej mierze dogodzić.

Interes, Urzędnik

Tymczasem Gondziłł zbierał myśli. Przypomniał sobie teraz, że spotkanie z Hennertem zrobiło na nim dzisiaj szczególnie miłe wrażenie, że jego ukłon w przelocie wydał mu się jakiś ożywiony, skwapliwy, bardzo grzeczny. Coś nawet, jakby chęć zatrzymania szofera — czy tak? Nie dowierzał wtedy sam sobie, myślał, że roi. A oto wszystko naraz stało się zrozumiałe. Zrozumiałe? Przecież właśnie w tej chwili dopiero nic nie rozumiał... Co bowiem mógł „mieć dla niego" Hennert? Czymże mógł mu być użyteczny on, znaczący tak mało?

No tak, dziś znaczy mało, a jutro znaczyć może więcej. Nic nie wiadomo, wszystko jest możliwe.

Na kartce z bloku napisał numer żądany, szczegółowo oznaczył godziny. Czekał bliższych wyjaśnień, wskazówek — na próżno. Pan Nutka nic nie wiedział i nie chciał wiedzieć. Do interesów zięcia swego nigdy się nie mieszał i w ogóle umywał ręce. Gondziłł tedy powstrzymał się od zadawania pytań. Był cierpliwy i pogodny.

Na obrusie pojawiły się już miłe barwy wszelkich sałat, mięs i ryb zimnych, wędlin, marynat i zakąsek.

Najprostsze wśród nich, jak i najbardziej wyszukane, zarówno uradowały męskie oczy.

Gondziłł nalał kieliszki. Panowie wychylili je jednocześnie — i spojrzeli po sobie z nagłym uśmiechem niedowierzania. Czyżby? Wszakże spodziewali się pić zupełnie co innego... Gondziłł wziął do ręki butelkę, spojrzał na etykietę i chciał pokazać ją pozostałym. Ale już Laterna uspokoił go gestem wielkiej i tłustej swej dłoni.

— Nie trzeba, Julku. Tu nie ma żadnej wątpliwości: oryginalny, stary *Marcelain*[8].

Tak było, jak mówił. Profesor Laterna nie popełniał w tych razach omyłek.

---

[7] *starka* — tradycyjna wódka żytnia. [przypis edytorski]

[8] *Marcelain* — być może chodzi o koniak R. G. Marcelain et Co. [przypis edytorski]

Teraz obejrzeli się po sobie jeszcze raz — tym razem w poszukiwaniu winowajcy.

Pan Nutka był tym, który w tej chwili uśmiechał się skromnie i wejrzeniem rozbrajającym prosił o przebaczenie.

— Panowie nie wezmą mi przecież za złe, że pozwoliłem sobie jakoś uczcić...

Nie, nie wzięli mu za złe. Przeciwnie.

Uczta, Jedzenie

Ale uwaga ich zwrócona już była całkowicie na pośpieszny, niecierpiący zwłoki, wybór najpierwszej przekąski. Małe widelce, jak dzioby, spadały na różowe mięso łososia i bladofioletowe dzwonka tłustego jak wałek śledzia.

Zaraz potem zawaliły się misterne, strojne piramidki krajanych w kostkę jarzyn i pękły kremowe polewy sosu majonezowego na zimnych jesiotrach i homarach. A Gondziłł pomyślał, że to dzisiaj na pewno skończy się wesoło.

Wokół czuwała służba — pieczołowita, baczna, celebrująca. Nikt nie zdążył uczuć braku ani niedogody. Naczynia zmieniały się niepostrzeżenie i cicho. Na boku mokły już w letniej wodzie dwie butelki *Chambertina*[9].

Laterna tymczasem ciągnął dalej rozpoczętą przedtem rozmowę z pułkownikiem.

Okazało się bowiem, że dziś w biurze pułkownik odebrał nieopublikowane dotąd szczegóły ostatniego wrogiego napadu na pograniczu północnym. Profesor wykazał zaciekawienie. Tak — to już nie było kilkunastu uzbrojonych bandytów, siejących postrach i wymykających się pogoni. To było regularne wojsko, oddział liczący paruset ludzi, łupiący, mordujący, palący po drodze. Wymiana strzałów trwała parę godzin, są straty.

Bezkarność tych zbrodni, szczególna bierność, z jaką je tutaj cierpiano, wydawała się pułkownikowi czymś niezrozumiałym.

Nie powiedział nic więcej. Lojalność oficera nie pozwoliła mu wyjawić wszystkiego, co czuł.

Zasłyszawszy, o co chodzi, Gondziłł poparł go skwapliwie:

— Właśnie! Wystosują jeszcze jedną notę dyplomatyczną i po krzyku.

Laterna powiedział z rozwagą:

— Trudno, nie zawsze może być wojna.

Pułkownik hamował wewnętrzne wzburzenie. Pochmurny i nieufny, milczał teraz, zajęty wyłącznie kołdunami, które właśnie podano w wazach.

— Niestety, wojsko nie znaczy już nic — mówił Gondziłł. — Teraz rządzą dyplomaci.

Gondziłł nie nosił mankietów — więc gdy sięgał po potrawę albo ujmował za kieliszek, wówczas z rękawów jego munduru wychodziły daleko ręce tłuste, bujnie okryte złotawym włosem.

Profesor kończył jeszcze duszone w maśle, świeże, pachnące pieczarki. Jedząc ze smakiem, zarazem mówił łagodnie — jakby tonem perswazji:

— No tak, bo teraz jest pokój. Jest rozczarowanie i nuda, to prawda, ale wojna się skończyła. Doświadczyliście panowie wszystkiego. Minęły lata bohaterstwa i zasługi, zagoiły się zaszczytne rany, a teraz są ordery na piersiach, bezpieczna praca po urzędach. Jednak oczekiwało się tak wiele... A tu zawarto umowy, podpisano traktaty; wielkie fale wróciły w brudne łożysko. Świat cały zamienił się w „tyły".

Alkohol

Przed pułkownikiem stał niewypity kieliszek. Nie dawało to spokoju panu Nutce, który zawstydzał młodych i siebie stawiał za przykład.

Pił istotnie w sposób budzący podziwienie, za każdym kieliszkiem nabierając tylko humoru i miłego zadowolenia z siebie.

Pułkownik uległ zachętom staruszka i wychylił spóźnioną kolejkę. Na jego chudych, smagłych policzkach pociemniały rumieńce.

Wojna, Rozczarowanie, Żołnierz

Tak — uczuwał to znów silniej dziś od rana, w tym dniu powracającej wiosny. Życie jego było męką. Stał w miejscu z powstrzymanym oddechem, z dygocącymi nozdrzami — przykuty cudzą tępą wolą do wielkiego więzienia, pełnego wojskowych papierów.

Myślał, że to właśnie musi czuć wyżeł, gdy zwęszy stado kuropatw, podejdzie blisko i wystawia z łapą podniesioną, skamieniały z niepokoju, subordynacji i męki. Nie wolno mu drgnąć, nie wolno wcale ruszyć się z miejsca. I myśliwy nie podchodzi, i strzał czekany nie pada. A chwila mija, mija...

[9] *Chambertin* — francuskie czerwone wino DOC z Burgundii, produkowane głównie z winogron *pinot noir*. [przypis edytorski]

Słychać czasami głuchy chrobot oręża — to ze wschodu, to z zachodu. Ach, pretekstów nie braknie! To obelżywa nota, to niedotrzymana umowa, skrytobójstwo polityczne, szajki uzbrojone. Każda rzecz sama jedna byłaby już wystarczającym *casus belli*[10].

I nic! I nic! Umiera się powoli z beztroski, z bezpieczeństwa, ze — spokoju.

Żołnierz, Szczęście

Tam, wówczas — rozmach wiary w siebie, pewność decyzji, uparta wola — niosły go naprzód ku upojeniom i zwycięstwu. Jeszcze rok, dwa lata wojny — i oto ambicja jego nie widzi kresu. Ma najlepszą opinię we wszystkich sferach, we wszystkich koteriach[11] wojskowych. Na cienkim kamgarnie[12] jego munduru, poniżej i wzdłuż lewego obojczyka, wiszą szeregiem na metalowych pałeczkach barwne strzępki wstęg orderowych, w tym dwie cudzoziemskie pierwszej jakości.

Tam, wówczas, wśród niewygód i czarnego mozołu wojny, był młody, wesoły, rześki. Męczeńskie marsze w noce jesiennych słot, ponurą emocją odpowiedzialności bijące serce, wiosenne wichry ciężkie od ołowiu kul, słońca czarne od dymu — to było szczęście!

Dziś dławił w sobie mękę nudy, gryzł się, chudł i czerniał. Węszył proch — i przymykał oczy.

— Doskonaleś to, profesorze kochany, powiedział — cieszył się Gondziłł. — „Świat cały zamienił się w »tyły«".

I roześmiał się głośno — jak wielkie dziecko.

3

Żołnierz, Rozczarowanie, Bieda

— Wdzięczność rodaków! — wykrzykiwał teraz Gondziłł z oburzeniem. — Proszę panów, to są niesłychane rzeczy. Generał Chwościk przez całą zimę nigdzie nie pokazywał się z żoną. Dlaczego? Po prostu nie miał za co kupić jej palta. Major Bielski powoli wyprzedaje meble, żeby móc posyłać swych chłopców do szkoły. A biedna generałowa Uniska! — Gondziłł obracał się tylko w wysokich sferach wojskowych. — Umiera generał i nie zostawia jej nic poza wspaniałym umeblowaniem. No, srebra, kryształy, obrazy; wszystko w ogóle, co mu sama wniosła w posagu, pochodząc z rodziny magnackiej, a dziś naturalnie zrujnowanej. I co się dzieje?! Intercyzy nie było, a meble uważane są za własność męża i traktowane jako spadek krociowy... Nieszczęśliwa, młoda jeszcze kobieta zostaje oto zupełnie sama z małymi dziećmi na głowie i musi teraz płacić olbrzymi podatek od spadku.

— Temperatura dobra — padło ważko kompetentne słowo Laterny.

Wychylił właśnie łyk pierwszy z kielicha burgunda — i dawał wyraz uznaniu.

Gondziłł opowiadał jeszcze historię — na ten raz tylko kapitanowej, niejakiej pani Wygienackiej, która przez cały rok od śmierci męża, zabitego na froncie, nie odebrała ani grosza emerytury. Na szczęście i ta była z rodziny zamożnej — a niezrujnowanej — i znalazła ucieczkę przed nędzą pod dachem rodzinnego domu.

W głosie opowiadającego drgało ciepło prawdziwego uczucia. Była to niejako solidarność, ale niedopuszczająca poufałości, moderowana najgłębszym szacunkiem.

Pan Nutka grą swego zaschłego, pociętego zmarszczkami, oblicza wyrażał zainteresowanie i wzruszenie. Niektóre z osób, o których była mowa, znał osobiście i darzył sympatią. Los ich nie był mu obojętny.

Elita, Bieda

Opowiadanie Gondziłła poruszało w nim ponadto struny własnych przeżyć: chociaż „teść Hennerta", pan Nutka miał zawsze jakieś drobne kłopoty pieniężne i nie zwykł był tego ukrywać. Wciąż o coś zabiegał, czymś się troskał, nie zaznawał spokoju. Gondziłłowi zdarzało się z pewnym nawet zdziwieniem słyszeć, że pan Nutka po prostu „skręca się" w potrzebie głupiej jakiejś sumy i — rzecz szczególna — często nawet wcale nie dla siebie. Pan Nutka z całą szczerością wyznawał, że nic nie posiada, ale też nic nikomu nie potrzebuje zawdzięczać.

Zadowolenie z siebie, wzrastające w miarę wychylanych kieliszków, zdawało się być rysem dominującym charakteru staruszka.

---

[10] *casus belli* (łac.) — termin pochodzący z teorii prawa międzynarodowego, oznaczający „ryzyko wojny" lub „okazję do wojny"; część formalnej deklaracji wojennej. [przypis edytorski]

[11] *koteria* — grupa wybranych członków społeczeństwa wspierająca się wzajemnie w celu osiągnięcia osobistych korzyści. [przypis edytorski]

[12] *kamgarn* — prążkowana tkanina z wełny czesankowej, używana do szycia mundurów galowych. [przypis edytorski]

Na jego zapytania Gondziłł wyliczył bez zająknienia wysokość uposażeń, przypadających oficerom różnych stopni.

— No nie, to nie do wiary! — pan Nutka wprost załamywał ręce.

Ale Laterna dobił go po prostu, wymieniając miesięczną płacę, jaką pobierał w charakterze profesora wszechnicy.

— Czasy! Czasy!

I wszyscy zgodzili się, że dziś lepiej być zamiataczem ulic niż ministrem.

Było oczywiste, że wokół tego suto zastawionego stołu zasiadają sami nędzarze.

Bo i pułkownik, niebiorący udziału w licytacji, niechętny przechwałkom panów — lub raczej nimi zażenowany — i ten piękny, wyświeżony, błyszczący oficer, ani słowem niezdradzający swych trosk, wcale nie był od nich wolny.

Laterna z sympatią obserwował hardego, zamkniętego w sobie młodzieńca.

Wiedział o nim, że pomimo manier światowych i nawyknień pańskich, pochodzi z jakichś sfer półinteligenckich, z rodziny ubogiej i nieprzynoszącej zaszczytu. Ojciec jego, zamieszkały, na szczęście, w dalekim mieście prowincjonalnym, utracił miejsce z powodu wykrytych nadużyć i robił teraz interesy na własną rękę, nie ciesząc się niczyim zaufaniem. Z tych ciemnych źródeł utrzymywał chorą żonę i młodsze dzieci, a w chwilach krytycznych pułkownik obowiązany był do niesienia pomocy rodzinie.

Jako bliskiemu sąsiadowi, Laternie było wiadomo, że pokój, który zamieszkiwał, miał okno od podwórza, był mały, ciemny i nędznie umeblowany.

Poza tym pułkownik nie palił, pił bez namiętności, w karty nie grał, kokot[13] nie lubił. W ogóle w sprawach pieniężnych był bardzo skrupulatny, nie robił długów, sam też niełatwo pożyczał.

Nie umiał tylko odmówić sobie luksusu czystości. Na bieliznę, kosmetyki i rękawiczki wydawał połowę pensji. Zwykł też był posyłać znajomym paniom na imieniny duże kosze kwiatów.

Wszystko to wiedział profesor od Julka Gondziłła, swego szwagra.

Plotka

Pułkownikiem Omskim interesował się nie od dziś. On — miłośnik ludzi, jak określał sam siebie — w swej wiecznej chęci poznawania innych nie gardził bynajmniej plotką. Cóż może być ciekawszego dla człowieka niż los i dusza drugiego człowieka? Cóż może być bardziej pouczającego?

Słuchał z przyjemnością małych, niedyskretnych wiadomości o ludziach. Cenił w plotce jej wartość dokumentu. Dziwił się wstydliwości, z jaką ludzie delikatni mówią o sobie nawzajem.

Dogmat tajemnicy osobistej nie miał w nim wyznawcy: tajemnica istniała dla niego po to, by ją poznać, nie zaś, by ją szanować. Życie intymne człowieka wówczas tylko miałoby prawo do nietykalności, gdyby było izolowane i nie wywierało wpływu na życie innych. Dla Laterny sieć plotek, rozsnuta między ludźmi, była właśnie regulatorem tych oddziaływań. Uważał ją za objaw zorganizowania życia zbiorowego, za ważny czynnik socjalny.

Dalej idąc, Laterna twierdził, że słuchanie plotek wynika z tej samej potrzeby, co czytanie powieści, pisanie ich zaś — tylko z bardziej wyrafinowanej chęci ich powtarzania. Podobnie teatr zaspokaja wrodzoną człowiekowi, a nieuwłaczającą mu wcale, skłonność do podsłuchiwania i podglądania. Albowiem niedyskrecja wobec bliźnich to nakazana przez instynkt samozachowawczy konieczność poznania medium[14], w którym żyjemy i działamy, prześwietlenia otaczających nas ciemności. Plotka zgodna z rzeczywistym stanem rzeczy — „dokument ludzki" — jest rudymentem[15] romansu obyczajowego, a z plotki kłamliwej wywodzi się twórcza fikcja, wszelki mit i legenda.

Laterna uważał siebie za moralistę w sensie odwróconym: miłując człowieka, nie starał się go wywyższyć i uszlachetnić, tylko ułomności jego rehabilitował.

Z tak pojętych, od Gondziłła czerpanych, informacji, profesor starał się poznać życie osobiste pułkownika. Jego stosunek do kobiet też zasługiwał na uwagę.

Nie dając się pociągnąć zepsuciu wielkomiejskiemu, pułkownik unikał zarazem i panien z towarzystwa — może w obawie, żeby nie tłumaczyły sobie fałszywie jego względów.

[13] *kokota* (daw.) — prostytutka. [przypis edytorski]

[14] *medium* — tu: środowisko, w którym zachodzą określone zjawiska. [przypis edytorski]

[15] *rudyment* — podstawa, baza, początek. [przypis edytorski]

Bywał natomiast w domach rodzinnych, grzał się w cieple wnętrz dostatnich i zasobnych, pieścił dzieci i psy domowe, stawał się przyjacielem pani domu, zaufanym doradcą, ozdobą przyjęć i zebrań — nigdy czymś więcej.

Taniec

Chociaż tak wobec pokus odporny — tańczył namiętnie. Całe noce spędzał na przesuwaniu biernych, sytych ciał kobiecych po posadzce sali balowej. Gdy inni oficerowie gromadą szli do bufetu, on pozostawał między tańczącymi. Gondziłł przypuszczał, że może po prostu żałował pieniędzy. Bo mimo pozorów rozrzutności był oszczędny i zawsze do pierwszego dowlókł parę ostatnich groszy poprzedniej pensji. Zły i głodny, tańczył do rana, budząc zachwyt muzycznym wdziękiem gestu i postaci. Czarujący, miły, gorzkawo ironiczny, o oczach płomiennych i chłodnym temperamencie, zdawał się coś przemilczać i taić, coś knuć w udręczeniu i powściąganym gniewie.

Kobiety przepadały za jego towarzystwem, ale się w nim nie kochały. Jego chłód erotyczny zniechęcał i dziwił.

Gondziłł nie umiał wykryć kobiety w życiu pułkownika Omskiego — mimo żywego zaciekawienia, przenikliwości i usiłowań. Każde podejrzenie okazywało się bezpodstawne, każda była nie tą.

Miło tak było rozważać, pić dobre wino, patrzyć na pięknego człowieka. Dla Laterny nie było spraw błahych ani ludzi nieciekawych. Kochał życie i cieszył się nim bez wytchnienia.

Czas mijał. Chwile przeobrażały się w godziny. Pito wciąż. Nutka na żółtej, pomarszczonej twarzyczce miał teraz krwiste rumieńce, ale nie dawał za wygraną.

— Zdrowie profesora!

— Zdrowie pułkownika!

— Zdrowie porucznika!

Wznosząc w kółko te zdrowia, zagrzewał wciąż do picia. A gdy dopiął swego, uspokajał się na chwilę, popadał w zadumę i cichym, starczym, głosem nucił:

Lekko tańczyła i taki śpiew...

Wtedy zaraz odzywał się Gondziłł:

— Zdrowie kochanego pana Seweryna — wznosił z zapałem i to zaklęcie magiczne wystarczało, by pobudzić zamierającą ochotę.

Kielichy podnosiły się znowu do warg. A pan Nutka, do głębi wzruszony, natychmiast wstawał z miejsca i z kieliszkiem obchodził szczupłe grono. Całował się z każdym po kolei i dziękował z całego serca, jak ktoś obdarzony ponad zasługi i wszelkie oczekiwanie.

Pułkownik osiągnął w pewnej chwili swój kieliszek krytyczny i więcej pić nie chciał.

— O, widzicie — triumfował nie wiadomo czemu Gondziłł. — Mówiłem wam, nieprawda?

Ale pan Nutka nie umiał się z tym pogodzić. Upór pułkownika dotykał go osobiście, zasmucał głęboko. Mówił, że nie wie, czym sobie na to zasłużył, że nikt zarzucić mu nie może, by komuś w czymkolwiek uchybił...

Pułkownik przecież był niewzruszony. Słuchany już tylko przez Laternę, mówił z cicha, że od dawna marzy o polowaniu w dżungli na tygrysy albo o wycieczce w głąb Afryki. Wyznał, że pragnąłby gorąco — gdzieś, w jakichś koloniach wziąć udział w poskromieniu buntu dzikich tubylców... Ale wszystko jest niedostępne, wszystko jest niemożliwe. Wszystko jest niemożliwe.

Profesor z upodobaniem słuchał tych wynurzeń, z rzadka tylko wymawiając tonem kojącym, prawie pieszczotliwym, jakieś niewinne prawdy pacyfizmu. Nazbyt pociągająca była dla niego ta śmiertelna gorączka młodości, by na serio pragnął ją uśmierzyć.

Przyszła przecież chwila, gdy należało powstać. Zmrok zapadł, rozbłysło światło elektryczne.

Panowie zażądali rachunku — i pewien chłód powiał po obecnych. Ale oto okazało się, że wszystko już zapłacił był cichaczem pan Nutka.

— Pan Seweryn? Co za podstęp! — oburzenie było powszechne.

Laterna protestował, Gondziłł nie dawał się uspokoić. Pułkownik zgodził się dopiero po dłuższej chwili i podziękował chłodno milczącym ukłonem. A Gondziłł przystał

wreszcie pod warunkiem, że wszyscy pójdą teraz do Lamusa, gdzie on prosi „tylko na czarną kawę" — zapewniał błagalnie.

Nastały krótkie wahania. Wątpliwości jednak dały się usunąć rychło i bez śladu.

Gdy już mieli się ku wyjściu, na progu sąsiedniej sali stanął w pełnym blasku szlifów i orderów niewysoki, tęgi generał o bardzo czerwonej twarzy i małych, ospałych oczach za binoklami. Na jego widok obaj oficerowie znieruchomieli w miejscu jednocześnie, jakby jednym rażeni olśnieniem.

Był to generał Chwościk — ten sam, który przez całą zimę nigdzie nie pokazywał się z żoną, gdyż nie miał za co kupić jej palta. Istotnie, i tym razem pokazał się zupełnie sam.

Nastąpiło powitanie. Gondziłł, złożywszy nieposzlakowany ukłon regulaminowy, przeszedł momentalnie w stan najwyższego entuzjazmu. To już było prawdziwie najwyższe zrządzenie, że się tak oto wszyscy z generałem spotkali, właśnie idąc do Lamusa „na czarną kawę, tylko na skromną czarną kawę" — że oto tak doskonale się składa. Śmiał mniemać, że generał im wszystkim nie odmówi. Błagał o wyświadczenie mu tej łaski jak o darowanie życia.

Inaczej Omski. Poczucie dystansu, zmysł subordynacji, który u Gondziłła przybierał formę rozanielenia, w pułkowniku miał charakter jakiejś kamiennej zaciętości. Gondziłł cały tajał w ciepłym blasku władzy, tak po prostu wcielonej w żywego człowieka. Pułkownik stał jak wyznawca wobec dogmatu — urzeczony grozą kultu, w swej czci dla symbolu nieprzejednany. Władza, Żołnierz

Generał nie odmówił istotnie i przyłączył się do towarzystwa, ujęty gorącymi słowami profesora i pana Nutki, którzy Gondziłła poparli. Uczynił to z całą swą znaną, miłą i miękką popularnością, która nie umiała rozchmurzyć młodej twarzy Omskiego.

Wszyscy w najlepszych humorach opuszczali lokal, a Gondziłł w przedpokoju rozdawał sumy lokajom za podanie płaszcza i pasa, za odszukanie czapki.

W tym gronie pili ową czarną kawę przez całą noc. A gdy o brzasku przyszło do rachunku, okazało się znowu, że wszystko zapłacone już było przez pana Nutkę.

4

Nie zawsze jednak sprawy pana Nutki stały tak dobrze.

Przed laty był on ubogim urzędnikiem kolei i wraz z żoną i małą córką Teresą cierpiał po prostu nędzę. Zawsze jednak cechowało go wysokie poczucie godności własnej i silnie rozwinięta ambicja.

Nie tylko w sferze nadziei i rojeń na daleką przyszłość, którymi karmił swą fantazję. Pan Nutka w każdym szczególe swego opłakanego życia znajdował niespodziane i oślepiające preteksty do upajania się dumą. Chlubił się tym, że on do nikogo po nic nie pójdzie, nikogo o nic nie poprosi. Niekiedy szedł dalej, utrzymując, że nikt nie może powiedzieć, aby on od kogoś czegoś potrzebował lub kogoś o coś prosił.

Były to przechwałki niejasne, bliżej nieokreślone, formułowane raczej negatywnie. Ponadto niedostatecznie oparte na rzeczywistym stanie rzeczy. Zdarzyło się bowiem, że Nutka miewał długi, których nie oddawał w porę — lub też wcale — i doznawał wynikłych z tego powodu przykrości. I wtedy jednak twierdził, że nikt mu nie może powiedzieć, aby długu nie miał zamiaru oddać wkrótce albo — oddać w ogóle, albo wreszcie, iż nie byłby go oddał, gdyby tylko odpowiednią sumą był rozporządzał.

Miał masę takich zwrotów, pełnych godności, gotowych na każdą okoliczność życia.

Wobec niezaprzeczonych już niepowodzeń i niewątpliwych poniżeń pan Seweryn znajdował zawsze odwet w tym przeświadczeniu, że klejnot szlachecki Nutków jest na pewno nie gorszy od czyjegokolwiek. Był to argument ostatni, najwyższa instancja moralna, w której każda bolesna sprawa życia dała się wygrać.

Laterna — wówczas młody idealista, a z zawodu nauczyciel szkół średnich — pamiętał go z tych czasów doskonale.

Trudno było wprost uwierzyć, jaka ambicja rozpierała tego nieszczęśliwego, znękanego, udręczonego życiem człowieka.

Jeżeli odwiedził go ktoś ze znajomych, płaszczył się i wił przed nim z chęci, aby mu dogodzić i zarazem jakoś — nie wiadomo czym — zaimponować. Ponura, brudna nora na niskim parterze w głębi podwórza budziła w przybyszu litość i obrzydzenie. A Nutka Pycha, Pogarda

mówił z ukrytą pychą i w formie złośliwej pokory, że tak sobie oto skromnie żyją ze swą niebogą, na los nie sarkają, Bogu dziękują, gdyż na nic lepszego nie zasłużyli. Prosił, żeby gość nie pogardził, wybaczył nieład, podzielił ubogą wieczerzę (która była od rana przygotowana i na owe czasy wydawała się Nutce ucztą), że czym chata bogata, tym rada. „Myśmy ludzie skromni, nie nam się mierzyć...". A wszystko aż kipiało od niezdrowej pychy, od chęci, aby kogoś poniżyć, chytrze wyśmiać, upokorzyć.

W biurze między kolegami był ostatnim, lekceważony za brak wykształcenia i nałóg pijaństwa, za strój oberwany i pokorne obejście, za kłanianie się zbyt skwapliwe i nawet podawanie ręki w sposób, wyrażający ostateczną nędzę i zalęknienie.

Matka Teresy była idealną dla Nutki żoną. Wszystko brała na serio, wszystko jej imponowało. Nadawała się doskonale do sytuacji. Bez szemrania żyła w nędzy — brudna, obdarta, niezaradna, nieświadoma tego, że dość wyszorować podłogę, by była czysta, nie wiedząc, co zrobić, aby piec nie dymił, aby nie było robactwa, aby suknia nie była podarta. Zresztą prała sama, gotowała, zmywała, ale było to robione jakby w ostatniej chwili, jakby i tak na próżno, jakby już nic na to wszystko nie można było poradzić.

Pieniądze szły na wódkę, której Nutka już wtedy wypijał mnóstwo, na ostre zakąski, których kobiety nie jadają, na różne tajemnicze, w blaszanych puszkach zamknięte, smakołyki.

W tym życiu posępnym, w tym upadku beznadziejnym tkwiła jakaś tragiczna pogoda, optymizm zapamiętały, chroniczny, na nic niebaczny, narzucony rodzinie przez Nutkę i wykluczający, jak się zdawało, wszelką zmianę na lepsze. Nutkowa mogła ubolewać, że piec dymi, że nie wiadomo dlaczego wszystko u nich tak prędko się brudzi, a mleko zawsze się przypala. Ale nigdy nie powiedziała, że takie życie jest straszne.

Rodzina, Bieda

Dzięki ambicji ojca małą Teresę oddano na pierwszorzędną pensję, gdzie uczyła się dobrze. Po rozmowach z koleżankami zaczęła jednak z przerażeniem patrzyć na nędzę w domu, której przedtem nie zauważała. Wstydziła się tego, żyła w ciągłej obawie, by jej kto w domu nie odwiedził. Lękała się, by nie zobaczono jej rodziców, cierpiała męki, gdy ojciec wybierał się osobiście płacić pieniądze przełożonej i upajać się słuchaniem pochwał dla córki. Nie mówiła na pensji, że mieszkają we troje w jednym pokoju. Paliło ją gorzko piętno nędzy, wyróżniające ją spośród małych rówieśnic. Gdy skarżyła się na to w domu, nikt nie rozumiał, a matka nie umiała zacerować rozdartej pończochy.

Dom, Brud

Teresa jedna w domu lubiła czystość. Codziennie myła się cała, ukryta za starym, mnóstwem łachów obwieszonym, parawanem, który długo i chytrze należało ustawiać, by się nie przewrócił. Sama nauczyła się szyć. Długo w noc leżąc za tym samym parawanem, obmyślała, jak przerobić sukienkę, jak ozdobić tani i brzydki kapelusz. Oddałaby duszę, by mieć modną czapeczkę na wiosnę, by mieć rękawiczki skórkowe, nie bawełniane. Miała w naturze swej już jako dziecko specjalny organ zmysłowy zbytku. Doznawała rozkoszy na widok dobrego gatunku, matowego połysku materii, sportowego kroju żółtych bucików. Miała wrodzone poczucie estetyki życia. Cierpiała, gdy w domu jedzono szynkę z papieru, rozłożonego na ceracie, gdy brano kawałki cukru tłustymi od jadła palcami. Rozumiała, że jest to nie tylko brak pieniędzy, lecz coś jeszcze gorszego, bardziej upokarzającego.

Wobec małych scen z płaczem, które próbowała robić rodzicom, ojciec był niewzruszony w swej pogodzie. „Jedna twoja piątka więcej mnie cieszy, niż gdybyś w złocie chodziła", mówił. Teresa uśmiechała się gorzko i już nie tłumaczyła nic więcej. Znała niską cenę wartości moralnych w przeciwieństwie do materialnych. Rozumiała cudowną piękność, tkwiącą w życiu i dającą się osiągnąć tylko przez pieniądze.

W owym to czasie mała Teresa przychodziła często do Laternów w smętnym poselstwie od matki. Laterna chętnie rozmawiał z wątłą, grzeczną, zamkniętą w sobie dziewczynką. Widział w niej przerost ambicji, odziedziczonej po ojcu; podczas jednak, gdy ambicja Nutki zadowalała się fikcją, mała jego córka łaknęła rzeczywistości.

Niedługo zresztą miał Laterna możliwość interesowania się losami rodziny Nutków. Wkrótce bowiem za tajną działalność oświatową został uwięziony, a następnie skazany na zesłanie. Młoda żona Laterny, Gondziłłówna z domu, entuzjastyczna i pogodna towarzyszka jego pracy, pojechała z nim razem dzielić ten ciężki los.

Piękno, Uroda

Teresa Nutka była już w ósmej klasie, kiedy nagle zaczęła być ładna. Jej szczupła, śniada twarzyczka zrobiła się bielsza i pełniejsza, a nos delikatny i subtelna linia ust nabrały przedziwnego wdzięku. Była też bardzo zgrabna, choć niewysoka. Jej wpływ w domu

w tym czasie gruntował się już po trosze i rodzice odejmowali sobie od ust, by ją ładnie i modnie ubierać.

Wobec młodzieży, poznanej przypadkowo u koleżanek, była dumna i odporna. Unikała bliższych znajomości w obawie, by nie zechciano jej odwiedzić. Nikogo przecież poprosić nie mogła do takiego domu. Znajomym studentom na ulicy kłaniała się zimno, by nie odważyli się podejść i rozmawiać.

Jeden z nich odważył się jednak — śmiały, zepsuty powodzeniem, bogaty, pięknie ubrany, pachnący. Nie umiała mu odmówić, gdy spytał, czy wolno ją odprowadzić. Nieprzejednana była jednak wobec prób złożenia jej wizyty. Tłumaczyła, że ma rodziców bardzo surowych, że jest skrępowana. Nie wiadomo, czy uwierzył. Jednak zgodziła się po pewnym czasie pójść z nim do kawiarni i do teatru. Odprowadzał ją wreszcie do domu tak późno, że nie mógł dłużej wierzyć w surowość rodziców.

Gdy skończyła pensję, należało coś postanowić. On nie mógł się (jeszcze) żenić. Jego bogata rodzina coś projektowała, on się opierał przez miłość dla Teresy. Tymczasem zaręczyli się skrycie i ona chodzić zaczęła do niego — wciąż jeszcze w obawie przed surowością rodziców. Brała zarazem lekcje obcych języków w tej myśli, że może zostanie nauczycielką. Ubierała się już teraz ładnie i bogato. Została utrzymanką. Oszołomiona dostatkiem i pochlebstwami, kołysana nadzieją małżeństwa (kiedyś), zgodziła się na wszystko.

Gdy tajemnica się wydała, Nutka pozwolił sobie wszystko dość łatwo wytłumaczyć. Matka martwiła się dłużej. Nie było rozpaczy z powodu upadku córki, z tej strony nikt tego nie wziął. Widziano raczej, że oto taki zamożny, pełen zalet młodzieniec zaręczył się z Terenią. A „przeszkody" zawsze się przecież mogą zdarzyć.

Na razie czekano usunięcia przeszkód, później przyzwyczajono się do stanu rzeczy. Teresa zamieszkała u kochanka. Wtedy Nutka mówił, że chwała Bogu minął czas przesądów, że nie o formy idzie, lecz o treść. Rozważano sobie, jak to on kocha Terenię, głowę zupełnie stracił, rujnuje się na nią, głupstwa robi, naraża się rodzinie. Nutka nieraz cieszył się złośliwie, myśląc, jak się ci bogacze bezsilnie gniewają, na próżno usiłując oderwać syna od Tereni. I stąd znowu brał asumpt do upajania się niezdrową pychą.

Rozczarowanie, Rozstanie, Pieniądz

Po dwóch latach idylla się popsuła. Teresa miewała zaczerwienione oczy, w domu skarżyła się, że męczą ją ciągłe zabawy i hulanki, że dość ma tego życia, że teraz chciałaby tylko spokoju i ciszy.

Przeniosła się na powrót do rodziców, do dwóch już teraz pokojów z kuchnią. Sumę, otrzymaną przy rozstaniu, złożyła w banku. Stała się rozsądna i pracowita. W domu było teraz porządnie, ładnie, czysto. Dużo kwiatów. Budziła podziw rodziców pięknością swych negliżów, strojami, biżuterią, nawyknieniami. Byli z niej dumni. Rządziła nimi, była pierwszą w domu osobą — ale wcale nie rozpieszczoną ani kapryśną. Lubiła tylko ład, estetykę i wygodę, nie szalała już za zbytkiem.

Okazało się, że jest z natury spokojna, solidna, stworzona do zorganizowania życia domowego, do legalnej miłości. Że jest cnotliwa.

Czy łatwo przyszło jej znieść ten ciężki zawód życiowy? Płakała, ale po cichu. Została oszukana, jednak nie w całej rozciągłości zdawała sobie z tego sprawę. W postępowaniu kochanka nie widziała z góry powziętego planu, działania z premedytacją. Raczej pragnęła go usprawiedliwić. Żal żywiła tylko do jego rodziny, której zresztą nie znała wcale. Tyle przecież uczynili zabiegów, by go od niej odciągnąć i skłonić do wyjazdu — dla studiów dalszych czy dla kariery. Pamiętała, jak wiele od nich doznał przykrości. Był nazbyt słaby, by nie ulec w końcu.

Mimo doświadczenia życiowego i wrodzonego rozsądku zachowała też pewną naiwność i dobrą wiarę, która jej życie czyniła pogodnym i możliwym.

Miała młodość i urodę, nie była biedna. Optymizm rodziców działał na nią. Wiedziała, że może jeszcze wyjść za mąż.

Wobec lekkomyślnych zamiarów różnych mężczyzn, których bardzo niewielu teraz spotykała, była odporna i niezachwiana. Nie wierzyła w żaden los nadzwyczajny. Nie traciła głowy.

Małżeństwo jej z Hennertem było rezultatem swatów. Znajoma matki udzieliła jej wiadomości, że starszy subiekt u kupca z tego samego domu pragnąłby „coś założyć na siebie", że jest trzeźwy, pracowity, sprytny, że o własnych siłach skończył jakąś szkołę.

Teresa znała go z widzenia. Wiedziała, robiąc tam sprawunki, że jest zauważana i wyróżniana. Układy poszły prędko. Teresa wyszła za mąż chętnie, nie zważając na różnicę „sfery" (miała na myśli klejnot szlachecki Nutków), podobnie jak Hennert nie zważał na jej przeszłość, która nie była dlań tajemnicą.

Zaraz po ślubie wyjechali za granicę, gdzie Hennert ukończył akademię handlową, a Teresa urodziła córkę.

Po powrocie założyli sklep. Dobrobyt nie przyszedł od razu. Ale Teresa nie lękała się pracy. Przez cały dzień siedziała w kasie — zawsze miła, grzeczna, pełna spokojnej pogody.

Społeczeństwo

Żyła teraz w sferze towarzyskiej, do której należała przez swe małżeństwo i której nie doceniała przedtem. Byli to wzbogaceni mieszczanie, zubożała szlachta na dorobku, kupcy, handlowcy, nawet rzemieślnicy, przeobrażający się, dzięki fortunie, w przemysłowców i fabrykantów. Wśród nazwisk, szeroko spopularyzowanych przez szyldy uliczne, znajdowały się lepsze i gorsze. Stare firmy, znaczne fortuny uważane były za arystokrację, działały na ten specjalny zmysł towarzyski, którym doznaje się dreszczu poszanowania i sensacji, ciekawości i pokrywanej ambicją zazdrości; były źródłem odrębnej stanowej kultury, specjalnej etykiety, swoistego stylu życia.

Społeczeństwo, Obraz świata

Ten świat zamknięty wystarczał sam sobie, miał swoje tradycje, ideały i przesądy. Nie „pchano się" wyżej. Małżeństwa zawierano w obrębie sfery, kombinowano majątki i uczucia. Konfekcja futrzana kojarzyła się z firmą nożowniczą, wyroby platerowane z magazynem jubilerskim. W tym zakresie robiono zarówno wielkie partie, jak mezalianse. Wrodzoną potrzebę próżności zaspokajano, rywalizując między sobą wysokością stopy życiowej, gustem przyjęć, stylem umeblowania, bogactwem strojów, niekiedy nawet biblioteką lub zbiorem obrazów.

Do wymagań swoistej etykiety należało nienoszenie biżuterii, gdy się było żoną jubilera, przesadna dyskrecja stroju, gdy się miało magazyn krawiecki lub konfekcji. Nie dawano też sobie nigdy podarunków, pochodzących z własnego sklepu.

Była tu taka sama hierarchia towarzyska, z nieodłączną emulacją[16], fumami[17], z wyłącznością i dumą klanu, jak wśród ziemiaństwa lub arystokracji.

Uprawiano filantropię, czytano swe nazwiska w gazetach, zapełniano teatry, sale koncertowe i kinematografy, nadawano charakter całemu obliczu stolicy. Tu była najwyższa instancja, orzekająca o powodzeniu nowej sztuki teatralnej, nowej opery, o poczytności nowej książki. Elita towarzyska, świat rodów, wielkich nazwisk, świat uczonych i znawców sztuki pływał jak małe tłuste oko na tym morzu, nawet nie wiedząc o tym, jak jest znikomy.

Solidna opinia męża, takt wrodzony i skromność Teresy, a zwłaszcza jej wdzięk osobisty, robiły jej powoli miejsce w tym świecie.

Wybuch wojny wprowadził nagłą zmianę w tym spokojnym, równym, pracowitym życiu. Hennert odstąpił sklep swemu młodszemu bratu. Wszedł teraz jako akcjonariusz do zarządu różnych przemysłowych i finansowych instytucji. Nie miał urzędu, nie miał swego biura, nie robił nic określonego. Robił pieniądze. Kupił mieszkanie z ośmiu pokoi i umeblował je z przepychem. Teresa miała teraz cenne futra i nowe, daleko piękniejsze brylanty. Tym razem nie była zdziwiona ani oszołomiona fortuną, tylko po prostu zadowolona. Kupowała srebra i kryształy, miała piękną zastawę i wykwintną bieliznę stołową, kochała się szczególnie w wyrafinowanej estetyce życia codziennego, w cichym, intymnym zbytku osobistym, urządzeniu sypialni i pokoju kąpielowego, w haftach i webie[18], okrywającej puchy pościeli. Mniej wrażliwa była na przedmioty sztuki; obrazy i rzeźby w mieszkaniu Hennertów stanowiły jedynie część umeblowania.

Stara Nutkowa nie dożyła tych świetności. Nacieszywszy swe oczy spokojnym szczęściem córki i widokiem podrastającej wnuczki, padła ofiarą pierwszej epidemii wojennej.

Za to pan Nutka w miarę wzrastającego dobrobytu pił coraz lepsze trunki i czuł się doskonale. Jako zabytek szlacheckiej świetności, a ponadto jeszcze najlepszy ojciec, figurował na wszystkich przyjęciach Hennertów, otaczany nawet pewnymi szczególniejszymi honorami. Wbrew wyraźnym zastrzeżeniom interesy zięcia nie były mu tak całkowicie

[16] *emulacja* — tu: naśladowanie, powielanie, kopiowanie. [przypis edytorski]
[17] *fuma* — dąs, kaprys, foch; obecnie tylko w l. mn.: fumy. [przypis edytorski]
[18] *weba* — cienka lniana tkanina, wykorzystywana do produkcji pościeli i bielizny. [przypis edytorski]

obce. Przeciwnie, mieszał się do nich poniekąd, a czasami brał w nich pewien, nieznaczny zresztą, udział.

5

Gondziłł na próżno czekał zapowiedzianego telefonu od Hennerta. Jego nadzieje, obudzone rozmową z panem Nutką, nie gasły jednak. Mówił sobie: „Widocznie dzisiaj nie miał czasu, na pewno zatelefonuje jutro".

Po tygodniu jednak stracił cierpliwość i postanowił po prostu pójść do Hennerta do biura. Było mu wiadomo, w jakich godzinach przyjmuje. Uzyskał na ten czas zwolnienie od własnych zajęć i rad sam w sobie temu aktowi energii, udał się do pewnego starego pałacu, w którego pięknych salach mieścił się lokal biura.

Wszedł do rozległego, wysokiego, białego, ze stiukami przedsionka, który niedawno restaurowano. W widnym powietrzu czuć było zapach pokostu[19]. Wielkie schody z balustradą, rozłamane w dwie strony, prowadziły do sal na piętrze. Porucznik znał ten lokal, tu bowiem pracowała jego młodziutka siostrzenica, niedawno przybyła z Rosji córka Laterny.

Znalazł się w jasnym, szerokim korytarzu, gdzie na oknach stały kwiaty, a ściany w górze ozdobione były barwnymi nowoczesnymi freskami. Stąd szereg drzwi podwójnych o mlecznych szybach prowadził do poszczególnych urzędów.

Pod przeciwległą ścianą stały krzesła i fotele, biedermeierowskie[20] mahonie. Siedział tu i spacerował tłum eleganckich osób, przygnębionych, sponiewieranych, zrównanych ze sobą losem długiego i daremnego oczekiwania. Raz po raz ktoś na boku wiódł konszachty z woźnym[21]. Przez uchylające się niekiedy drzwi zaglądano natrętnie do wnętrz. Każdy miał coś pilnego do załatwienia, każdy gryzł się i denerwował, każdy złorzeczył stracie czasu i — chociaż był w gromadzie — czuł się indywidualnie, osobiście dotknięty i poniżony.

Urzędnik

Gondziłł podszedł do woźnego i z cicha, poufnie zapytał, czy nie mógłby być przyjęty przez dyrektora.

— Dziś nikogo więcej nie przyjmuje — odrzekł nieprzyjemny staruszek, nie patrząc nawet na petenta.

Gondziłł rozgniewał się. Jak to! Jego nie przyjmie! Przecież nie w swoim przychodzi interesie. Jest właśnie wezwany, zamówiony. Pan Hennert na pewno go oczekuje.

Usiłował wcisnąć woźnemu swój bilet wizytowy. Niechaj go tylko zaniesie, a dyrektor przyjmie go na pewno.

Ale staruszek był nieprzejednany. Miał zakazane wyraźnie i dla nikogo nie robi wyjątku.

— Niech pan patrzy, ile ludzi czeka — pokazał mu ruchem dłoni zebranych w korytarzu i na dalsze nalegania porucznika nawet nie odpowiadał.

Gondziłł, podobnie jak inni, poczuł się osobiście dotknięty. Znienawidził tego chama, który oto w tej sytuacji stawał się kimś ferującym wyroki, wyższym nad rzeszę inteligentów, z rezygnacją poddających się jego supremacji.

Nic tu nie było do zrobienia. Jak każdy w tym położeniu, Gondziłł pomyślał o „protekcji". Poszedł poszukać małej Zosi Laternianki, może ona co pomoże.

W głębi korytarza rozwarły się drzwi na wielką salę, skąd dochodził głośny klekot maszyn do pisania. Zajmowała róg gmachu i miała dwie ściany, pełne okien. Przez środek szły szeregiem białe filary. Z okien płynęło słońce, przed którym trzeba było zasłaniać się roletami.

Kobieta, Praca, Urzędnik

W tej sali było najprzyjemniej i najgłośniej. Pracowały tu najmłodsze i najładniejsze urzędniczki. Nad małymi stolikami pochylały się głowy o włosach ondulowanych, po ćwiekach[22] biegały palce ze świecącymi paznokciami, zdobne w pierścienie. Młode kobiety miały na sobie świeże bluzki angielskiego kroju, plisowane spódniczki albo całe suknie z jasnego jedwabiu. Elegancko obute, wysoko odsłonięte nogi błyszczały pod stolikami

[19] *pokost* — zagęszczony olej lniany z dodatkiem substancji przyspieszających wysychanie. [przypis edytorski]

[20] *biedermeierowski* — związany z biedermeierem, stylem w sztuce, literaturze, muzyce i architekturze europejskiej w latach 1815–1848. [przypis edytorski]

[21] *woźny* — tu: pracownik ministerialny zajmujący się korespondencją, ogłoszeniami etc. [przypis edytorski]

[22] *ćwiek* — tu: prawdopodobnie żargonowe określenie klawisza w maszynie do pisania. [przypis edytorski]

jedwabiem pończoch, nowym lakierem pantofelków, lub ćmiły się miękkim zamszem skóry. Wiosnę czuło się tu w rumieńcach kobiet, w śmiechach niespokojnych, w ruchach swawolnych i niecierpliwych.

Ubiory nie pozostawały w jakimkolwiek stosunku do zarobków. Urzędniczki były to po części mężatki, utrzymywane przez mężów i dorabiające sobie w tych ciężkich czasach na stroje. Te posiadały tutaj własny świat małych spraw i żywych zainteresowań, wyrabiający poczucie niezależności i psujący harmonię wnętrz rodzinnych. Było też kilka rozwódek i mnóstwo dziewcząt mających jednego i wielu kochanków. Czernione oczy i karminowane usta nie raziły tutaj nikogo. Miano wspólnych znajomych mężczyzn, umawiano się na wspólne kolacje i kinematografy, pokazywano sobie otrzymane w prezencie biżuterie, pośredniczono nawzajem w kupowaniu używanych bucików, płaszczy, kostiumów. Młodziutkie mężatki całowały się i były na ty z dziewczętami, które wcale nie zadawały sobie trudu, by ukryć swój sposób życia. Tutaj — na gruncie niezależnej pracy — zacierały się różnice światów, upadały przesądy.

Praca szła tu najmniej sprawnie z całego biura. Czasami wybuchała burza. Naczelnik kancelarii wpadał niespodziewanie i podniesionym głosem, w surowych słowach wyrażał swe niezadowolenie. Kobiety dostawały wypieków, dąsały się, milczały. Najbardziej leniwe otrzymywały dymisję. Przez parę dni pracowano lepiej. Ale nastrój całej sali nie zmieniał się nigdy.

Urzędnicy z innych sal wchodzili tam z ożywieniem i ciekawością, niosąc papiery do przepisywania. Dyktując, pochylali się nisko nad pachnącymi włosami daktylografek[23], żartowali i przekomarzali się między wierszami. One odpowiadały z kokieterią leniwą, bez przekonania; urzędnicy byli niebogaci, mieli rodziny i obowiązki. Nie to była ich sfera, nie warto się tu było fatygować.

Wyjątki robiło się jednak — gdy był to który z szefów, ludzi wybitnych, wpływowych, lub jeden z paru paniczów, sposobiących się do dalszych służb dyplomatycznych, do wysokiej kariery państwowej. Był między nimi młody magnat, raczący trudzić się przekładami depesz, piękny, zepsuty i leniwy, był mały hrabia — pedant pracowity i surowy. Gdy wchodził który z nich, jaśniej robiło się w sali, gwar wzrastał, wybuchały śmiechy i zaczepki. Cały świat możliwości zaczynał się w tej sali maszyn, wszystko było dostępne i łatwe.

I Gondziłł nie bez miłego wzruszenia wstąpił w tę atmosferę. Z dyskrecją zatrzymał się u progu. Szukał między pracownicami swej siostrzenicy, ale nie mógł jej dostrzec na zwykłym miejscu. Blisko stojąca bezczynnie młoda osoba spytała, czego by sobie życzył.

— Panna Laternianka? Nie, nie ma jej już drugi dzień. Podobno jest chora.

Nie darzyło się Gondziłłowi. Zawrócił i na powrót wyszedł na korytarz, pełen wciąż tej samej rzeszy wyczekujących. Nagle zatrzymał się, zdumiony i zaskoczony bardziej niż uradowany; drzwi od gabinetu Hennerta rozwarły się i wyszła stamtąd — ona!

Na pewno ona — ta sama Elżbieta Sasinówna, którą pokazał mu Omski. Szła teraz w jego stronę — szczupła i wysoka, z nagim czołem i czarnymi oczami — jakaż ładna! Szła z pękiem cienkich papierów w ręce, nawet w tym zniechęconym tłumie robiąc wrażenie. Papiery, trzymane za jeden róg, rozwiewały się z szelestem od jej żywego chodu. Spojrzała, przechodząc; zobaczyła Gondziłła i, przypominając sobie może jego zachwyt z ulicy, lekko się uśmiechnęła.

Smagnięty biczem decyzji nagłej, zwrócił się do niej z ukłonem:

— Pani wybaczy, że się ośmielam. Gondziłł jestem. Pani wyszła z gabinetu dyrektora, a ja właśnie staram się tam wejść na próżno. Czy nie mógłbym prosić o pomoc, o protekcję? Taka pilna sprawa!

Gondziłłowi naprawdę wydawała się w tej chwili niecierpiąca zwłoki.

— Do dyrektora? Ho, ho, to pan musi poczekać parę dni albo tydzień. Może który referent... Tu się trzeba zapisywać jak do samego ministra!

Śmiała się. Widział jej usta prześliczne i białe zęby. Brylanty kolczyków świeciły przy śniadej twarzy i ciemnych rumieńcach.

Stał bezradny i patrzył na nią. Z najwyższym rozczuleniem zauważył, że paluszki, w których trzymała trzepocące się papiery, uwalane były fioletową farbą kalki.

[23] *daktylografka* — tu: maszynistka, pisząca na klawiaturze. [przypis edytorski]

— Niechaj pan zapisze swoje nazwisko, to będzie najlepiej — powiedziała jeszcze, uśmiechając się ciągle.

Była w pysznym humorze albo po prostu śmiała się z niego — tak przypuszczał. I to go ośmieliło.

— Ja tu mam siostrzenicę, maszynistkę, Zosię Laterniankę — usiłował nawiązać nowe nici konwersacji.

— Ach, wiem! Taka mizerna blondynka...

— Powiedziano mi, że jest chora. Czy naprawdę jest chora, nie wie pani?

Piękna panna śmiała się bez ceremonii.

— Nie, doprawdy tego nie wiem, panie poruczniku.

Przeprosił ją i podziękował jej. Ukłonił się, a ona podała mu rękę. Byli więc znajomymi! Jakże się cieszył.

— Pan często się widuje z pułkownikiem Omskim? — nagle spytała, patrząc mu w twarz wielkimi oczami, pełnymi figlarnych błysków.

Gondziłł po prostu się zaczerwienił, co było szczególnie ujmujące przy jego siwiejących włosach.

— Ja? — bąknął, zaskoczony tą aluzją do ich pierwszego spotkania.

— Och, to bardzo niebezpieczny człowiek — dodała.

Odeszła prędko, z szelestem swoich papierów, kiwnąwszy mu głową parę razy jak dobremu znajomemu. Gondziłł wyszedł z gmachu, nie zapisując nigdzie swego nazwiska. Zapomniał, po co tam wszedł. Był dziwnie odurzony tym spotkaniem, pełen szybkich myśli, płoszących się nawzajem i jedna drugą za sobą wlokących.

Wiedział, czuł to, że na tym się nie skończy. Takie wrażenie nigdy nie zawodzi. Coś musi stać się pomiędzy nią a nim! Tak myśląc, zarazem nie robił sobie wielkich nadziei. Nie miał złudzeń co do siebie.

Przypomniał sobie słowa Omskiego: „Ona nie jest taka, żeby tak zupełnie bez ceremonii". Wszystko razem zdawało się świadczyć, że tak wiele ceremonii jednak nie trzeba. Lub może raczej, że tym, czego trzeba, nie są ceremonie.

Gondziłł nie miewał dużego szacunku dla kobiet, które mu się podobały. Byłoby to nawet zabawne w jego wieku i przy jego powierzchowności. Szacunek pozostawiał tylko dla żony — i to pomimo, że horyzont jej zainteresowań był tak szczupły.

„Skąd to pytanie o Omskiego?", pomyślał nagle. „Więc jednak jest nim zainteresowana?".

Pamiętał, że gdy zadawała mu to pytanie, miała głowę leciutko w tył odchyloną i patrzyła na niego zupełnie z góry. Ach, jakaż była ładna i ile miała wdzięku.

Postanowił sobie pójść do Zosi Laternianki i dowiedzieć się o jej zdrowie. Ściśle mówiąc jednak, nie wiedział nawet, gdzie mieszkała. Szukał sposobu zbliżenia, czegoś takiego, co by ułatwiło pierwsze kroki.

Tymczasem jednak znajdował się na ulicy w porze wcześniejszej niż zwykle, w dzień pogodny i niewątpliwie już wiosenny. Do domu było jeszcze za wcześnie. Zresztą nic go tam nie ciągnęło. Przez cały ubiegły tydzień był groźnym i wzorowym ojcem rodziny. Jadł obiady w domu, gniewał się na żonę i dzieci, był przepracowany, miał głowę pełną swoich kłopotów i nie życzył sobie, by mu ją zawracano. Natomiast wrażenia dzisiaj przeżyte i miłe, krzewiące się ponad nimi rojenia nie nastrajały go wcale na ton życia rodzinnego.

Jak zwykle w takich okolicznościach, poczuł nagle, że trzeba iść gdzieś coś wypić. Alkohol, Przyjaźń

Był pewien, że wszędzie spotka jakichś przyjaciół i wszędzie będzie mile widziany, jako chłop zacny i kompan doskonały. Wiedziano o nim przecież, że nie odmówi nigdy, że jest zawsze gotowy i niezawodny. Gondziłł lubił ową specjalną popularność, która rodzi się z braterstwa przy kieliszku, owe przyjaźni nagłe, niczym nieuzasadnione, oparte na jakimś zaufaniu bez granic, a niezobowiązujące do niczego już za miesiąc albo nazajutrz. Gdy tacy przyjaciele spotkają się kiedyś znowu w pobliżu możliwości picia — możliwości zachodzącej, ściśle mówiąc, wszędzie — ich przyjaźń odradza się nagle, podjęta zostaje w tym samym miejscu, w którym przerwana była przez wytrzeźwienie. Tak wytwarza się pewne odmienne, stałe życie o ciągłości przerywanej, ale bynajmniej przez to nienaruszanej, dające się w każdej chwili wskrzesić w całej pełni i radości. Gondziłł żył duszą, sercem i wyobraźnią w tym szczególnym powietrzu, które się rodzi z oparów alkoholu, w tym

świecie, gdzie każdy był życzliwy, a najtrudniejsze projekty dały się urzeczywistnić, gdzie zacierały się niesprawiedliwe różnice życiowe, antagonizmy i dystanse.

Wszystko inne było jawą, żywiołem opornym i niechętnym. Tam pewne czyny pociągały za sobą pewne przewidziane konsekwencje; dzieci chorowały, żona chciała pieniędzy, długi waliły się na głowę, awanse i ordery rozdawano niesprawiedliwie, wszystko zawsze szło źle i coraz gorzej...

Życie było zbyt trudne, by je całe naprawić, by uczynić je radosnym i beztroskim. A tamto — czekało zawsze dobroduszne, życzliwe, rade z serca. Wystarczyło w dobrym towarzystwie stanąć wespół przed bufetem baru.

Tak uczynili Gondziłł, spotkawszy na swej drodze majora Bielskiego. Odnaleźli się momentalnie w tym postanowieniu, jak wyznawcy jednego kultu, zjednoczeni wspólną formułą wyznania wiary. Nawet nie było wiadomo, od kogo wyszła propozycja, kto kogo poprosił; fundowali sobie nawzajem, zaciekając się w hojności, nie znając miary w chęci oddania ostatniej koszuli dla przyjaciela. Gdy Gondziłł protestował, major uspokajał go, mówiąc:

— Wczoraj sprzedałem fortepian.

Był to bowiem ten sam major, który sprzedawał meble, by mieć za co posyłać synów do szkoły.

Gondziłł tedy ustępował i przyjmował nową kolejkę.

Opuściwszy ten bar, udali się do innego lokalu na obiad. Tam zastali zebrane przy paru zestawionych stołach liczne grono przyjaciół i byli przyjęci w ich poczet z otwartymi rękami. Na kolację przenieśli się już do oddzielnego gabinetu. Wreszcie, zaproszeni najserdeczniej przez jednego z kolegów, którego żona tego dnia właśnie wyjechała, poszli jeszcze do niego na czarną kawę i karty. Tam przepędzili w doskonałym nastroju resztę nocy, a major przegrał dwie trzecie swego fortepianu.

Alkohol, Pijaństwo, Przyjaźń, Duma, Elita

Gondziłł natomiast „był wygrany". W ogóle tego wieczora silnych doświadczył wrażeń. Była chwila, że trzymał w swych objęciach pijanego jak bela generała, którego nazwiska nawet nie znał; dygnitarz ten w ogóle miał słabą głowę i tracił już przytomność, gdy Gondziłł czuł się jeszcze mocny jak lew. Był to moment cudowny. Gondziłł uczuwał tkliwość dla spitego starca, rzewność jakąś synowską — i zarazem miał świadomość upajającą swej wyższości, swej łaskawej opieki nad tym potentatem[24], swej protekcji. Oto osłania go sobą od zeł świata, od nogi stołu, o którą runąć może skronią, od podłogi, na którą za wszelką cenę chce się zwalić. Oto wiedzie go tkliwie ku kanapie, składa pieczołowicie, miłośnie jak skarb.

Gondziłł doznawał szczególnego podniesienia ducha, przeżywając te chwile; miał wrażenie jakiejś zawrotnej wysokości. Coś ważnego się działo, coś takiego, że odtąd wszystko musi się zmienić, że odtąd zacznie się nowe życie.

Nad ranem sam odwiózł generała do domu. Dyskretnie wprowadzał go po schodach kuchennych, w półmroku wydawał polecenia nieznanej służbie. Dbał, by go rozebrano, ułożono do snu, napojono czarną kawą.

Było jasno, gdy wracał do siebie. Ulicami śpiącego jeszcze miasta jechał tak — chudymi końmi i wytartym powozem generała — upojony dobrym winem, chłodzony wietrzykiem wiosennym, pogodny i wszystkim życzliwy.

W tych staraniach i zachwytach Gondziłła godna uwagi była ich całkowita bezinteresowność, szczytne samozaparcie. Podobne bowiem momenty porozumień i spoufaleń, wszystkie wysokie znajomości i przyjaźni nie przynosiły mu nic dobrego w jego życiu osobistym i służbowym, w świecie ponurej jawy. Wręcz przeciwnie. Z chwilą wytrzeźwienia nic nie było obowiązujące. Dystanse stawały się jeszcze większe i surowiej przestrzegane, awanse zaś i odznaczenia nadal rozdawano niesprawiedliwie.

Gdy wkrótce po tym miłym powrocie rozmiękły i kwaśny, z głową bardzo pełną swoich kłopotów „orał za wszystkich" w posępnym lokalu biurowym, nagle wezwano go do telefonu. Podniósł się ciężko, bez wiary, by to miało oznaczać coś pomyślnego.

Wbrew przewidywaniom był to tym razem telefon oczekiwany. Nie Hennert jednak mówił, tylko w jego imieniu — pan Nutka.

[24] *potentat* — tu: osoba posiadająca dominującą pozycję, obdarzona władzą. [przypis edytorski]

Wyjaśniał mianowicie w słowach uprzejmych, że Hennert nie chciał trudzić go do siebie do ministerstwa, gdyż tam oblegany jest przez interesantów, czekających swojej kolei. Że nie chciał zabierać mu cennego czasu.

— Niechaj się pan wybierze po prostu którego dnia do nich, do mieszkania, na małą pogawędkę. Zawsze go pan zastanie o szóstej.

Gondziłł przyrzekł i podziękował. Ale był trochę zdziwiony. Tyle zapowiedzi, uprzejmości i gadania, a dotąd nic określonego. Pan Nutka nie oznaczył nawet dnia — i Gondziłł nie był zdecydowany, jak ma postąpić.

Jednak zaraz nazajutrz zatelefonował sam Hennert. Może to tak wydawało się przez telefon, ale w zaproszeniu Hennerta nie było ani uprzejmości, ani nawet grzeczności, tylko chłodny, urzędowy ton wezwania.

— Proszę na dziś o szóstej. Czy mogę liczyć?

Gondziłł odpowiedział bez namysłu, że przyjdzie niezawodnie.

W tonie Hennerta nie uraziło go nic. Uważał go za całkiem naturalny, szło o interesy. Już prędzej dziwne były usiłowania Nutki, który pragnął jakby nadać wszystkiemu charakter towarzyski.

Spotkanie, Interes

Gdy jednak Gondziłł stawił się dnia tego o oznaczonej porze u Hennerta, doznał nowej niespodzianki.

We wspaniałym, ciężkim i mrocznym gabinecie zastał bowiem prócz pana domu jeszcze kogoś trzeciego. Na stole zaś, okrytym białą, przezroczystą od haftów serwetą, ujrzał przybór do kawy, dwie butelki i nawet jakieś słodycze — wszystko oprawne w nadzwyczaj wykwintne połyski sreber i kryształów. Miała to więc jednakże być „mała pogawędka...".

Gondziłł wypowiedział tylko parę niezbędnych, serdecznych słów powitania, zasiadł wygodnie na miejscu wskazanym, przyjął i zapalił cygaro, i spokojnie czekał, co mu powiedzą.

Od razu poczuł się rozkosznie w tej atmosferze — zatopiony po pachy w fotelu, opleciony pasmami najwonniejszego dymu, pełen radości wobec wszystkiego, co oglądał. „No, no, ten Hennert", myślał sobie z podziwem i najgłębszą życzliwością.

Ten właśnie Hennert stał cokolwiek z boku, po drugiej stronie stołu, i własnoręcznie z maszynki nalewał kawę dla Gondziłła (dwie nalane filiżanki już przedtem stały na stole). Był to człowiek niewysoki, czysty i wyświeżony, o twarzy gładkiej i nagiej — z małym ledwie zaznaczeniem wąsów już siwiejących. Zresztą był cały pełny w miarę, gładki, zaokrąglony, przyjemny oczom. Bił od niego ten glanc[25], który się „puszcza" od dobrego wiktu, wygodnego łóżka, pierwszorzędnego krawca, biegłego fryzjera — ten glanc, który jest jakby lekkim powleczeniem pieniędzmi.

W przeciwieństwie do niego ów nieznajomy pan był niepozorny, zmięty, ogorzały. Chociaż nie starszy ponad lat pięćdziesiąt, miał twarz całą w bruzdach i fałdach, a barki zgarbione, jakby przywalone ciężarem troski. Ręce wielkie, kościste i czerwone, zaplótł mocno na kolanie. Z miękkiego, barwnego kołnierzyka wychodziła szyja żylasta i długa. Wymowę miał cudzoziemską lub może tylko kresową. Zresztą po przywitaniu się z Gondziłłem milczał teraz, podobnie jak on — z cygarem w czarnych i nie wszystkich zębach.

Mówił tylko Hennert. Gładkość i przyjemna okrągłość, tak ujmująca w jego powierzchowności, cechowała również jego sposób mówienia. Gondziłł słuchał uważnie, ale na razie niewiele jeszcze rozumiał. Niezwykle dobremu samopoczuciu i w ogóle porze poobiedniej przypisywał swój brak bystrości umysłu. Rozkoszne lenistwo myśli pozwoliło mu zaledwie tyle zmiarkować, że mimo czarnej kawy i obecności osoby trzeciej idzie jednak o interesy. Mianowicie o drzewo na Kresach[26] czy na Pomorzu[27], a także — z jakichś względów — o „przyjaciela" jego, pułkownika Omskiego, lub przynajmniej majora Bielskiego.

Gdy w przemówieniu Hennerta nastała chwila przerwy pytającej, Gondziłł uznał, że coś należy powiedzieć. Nie bacząc, że może mu to zaszkodzić w oczach tych panów, wyjawił dobrodusznie:

[25] *glanc* — połysk. [przypis edytorski]

[26] *Kresy* a. *Kresy Wschodnie* — historyczne wschodnie pogranicze Polski, stanowiące w okresie międzywojennym i dawniej część polskiego terytorium państwowego. [przypis edytorski]

[27] *Pomorze* — historyczna kraina na terenie Polski i Niemiec, położona nad Bałtykiem. [przypis edytorski]

— W interesach zawsze byłem do niczego. Nic się na tym nie rozumiem. I prędzej zrobię głupstwo, niż dopomogę.

To wyznanie nie zaszkodziło mu widocznie. Hennert nawet się nie uśmiechnął i mówił dalej w tym samym duchu, bliżej tylko wchodząc w szczegóły i starając się jaśniej tłumaczyć. Właściwe podanie mianowicie było już złożone, gdzie należy. Teraz idzie tylko o zainteresowanie tą sprawą odpowiednich sfer wojskowych. Wystarczy, aby inicjatywa wyszła od Gondziłła, a cały projekt przedstawia się prosto...

W pewnej chwili Gondziłł usłyszał nazwisko „Sasin".

Natychmiast podniósł głowę, bokiem popatrzył na milczącego pana. Poprawił się w fotelu.

Więc to jest pan Sasin! Przy zapoznaniu, jak zwykle, nie posłyszał był wcale nazwiska. Cóż za szczególne zrządzenie! Byłżeby to jej ojciec?

Jasno już teraz i wyraźnie słyszał, że pan Sasin całe życie pracował w leśnictwie, że zna tę gałąź gospodarstwa i przemysłu jak mało kto na tutejszym gruncie. Pragnąłby tedy swą wiedzę i doświadczenie ofiarować — oddać na usługi — dla dobra kraju... Zwłaszcza, że stracił cały warsztat pracy i wraz z rodziną — jak tylu innych obywateli — znalazł się oto tutaj, bez środków, bez stosunków. Pragnąłby gorąco — ale jest nieznany, potrzebuje poparcia i nawet zachęty...

Gondziłł gotów był już z całego serca udzielić mu jednego i drugiego. Tak gorąco interesował się jego losem! Przejął się do żywego stratami, jakie wskutek wojny poniósł pan Sasin i jego rodzina. Jego rodzina!

Trapił się tylko, czy aby potrafi być mu użyteczny. Ale ani dyrektor Hennert, ani pan Sasin nie podzielali tych jego wątpliwości. Obaj uważali, że byle tylko zechciał, potrafi z pewnością.

Od Hennerta, którego rola właściwie już się skończyła, wyszli razem i Gondziłł z całą prostotą zaprosił nowego znajomego do Edenu, na skromną kolację, utrzymywał bowiem, że najlepiej o interesach mówi się przy kieliszku.

6

Profesor Laterna wyszedł z sali wykładowej na jasny, boży świat. Czarne wrony przeleciały wesoło przez niebieskie niebo i ostrożnie usiadły na niskim dachu. Jakieś gałęzie zaświeciły do słońca dużymi, lepkimi pąkami. Była wiosna i była pogoda.

Nauczyciel

Profesor radował się wszystkiemu. Zdjęty kapelusz niósł w ręku, a wiatr ciepły poruszał siwym puszkiem na jego głowie niby futerkiem szynszyli. Wracał z wykładu. Był jeszcze całkowicie przejęty rozkoszą nauczania.

Oto przez godzinę mówił — i miał przed sobą rozwarte, słuchające oczy młodości. Powierzał im najtajniejsze sekrety swych dociekań, najbardziej intymne szczegóły stosunku swej myśli do świata. Nie taił nic i niczego nie skąpił. Poszukiwał tylko wyrazów, najlepiej przylegających do treści, formuł jedynych, co by objęły sobą i całkowicie zamknęły kształt myśli. Przyznawał się do swych gorzkich zawstydzeń i rezygnacji, zarówno jak do najświetniejszych zdobyczy. Wyjawiał bez wahania istnienie owych skarbów — i oto stawały się oczywiste, dostępne, jawne; stawały się obiektywne.

Oddawał je, te swoje bogactwa, pełną dłonią, oddawał je, wygarniał z samego dna — i bynajmniej ich przez to nie tracił.

Uderzyła go jeszcze raz tak żywo dziwna sprawa, że oto istnieją wartości, którymi można dzielić się do woli bez umniejszenia ilości ich ani ceny. Przecież to jest codzienny cud, niedziwiący nikogo, cud mnożenia się jednej ryby i jednej bułki[28] chleba pośród rzeszy wyznawców Chrystusa.

Nigdy jeszcze tak silnie tego nie pomyślał. Było mu, jakby naprawdę uczynił odkrycie.

Bo mówiono o nim, że kocha młodzież, że zachował entuzjazm dla nauki, że ma dar jasnego wykładu. A to wszystko było to właśnie: dawał z siebie rzecz najcenniejszą — i miał ją dalej, miał ją zawsze, i wciąż jeszcze na nowo mógł ją dać.

Ważność tego odkrycia — czy tylko sformułowania — wydała mu się nieobjęta. Myślał, że w takiej chwili powinno się biec w podskokach tanecznych przez słoneczną ulicę, w zielonym wieńcu na siwej głowie.

[28] *bułka* — tu: pieczywo w formie niewielkiej kuli. [przypis edytorski]

Zapragnął gorąco podzielić z kimś tę radość, opowiedzieć dziwną nowinę i dokładnie ją wyjaśnić. Komuś, kto by nie tylko zrozumiał, ale pojął uczuciem, przeżył wespół i głęboko. Nikogo znajomego jednak nie było na gwarnej ulicy.

Więc szedł dalej i myślał, że biologicznym źródłem tej głębokiej radości nauczania jest przerost instynktu rodzicielskiego, chęć pierwotnego ojca rodziny, aby zasób cenny własnych doświadczeń przekazać młodemu pokoleniu. Z równą rozkoszą byłby był zapewne pouczał niegdyś, jak się sporządza łuk i zatruwa strzałę.

Tę transmisję uczuć ojcowskich na pedagogiczne ułatwiały profesorowi okoliczności. Los zrządził, że własne jego dzieci wychowywały się z dala od niego, jedynie pod kierunkiem matki, kobiety szlachetnej, lecz do zadania tego niedorosłej, ponadto zaś słabowitej i często chorej. Najmłodszej zaś córki wcale nie znał, umarła na obczyźnie na krótko przed śmiercią matki. Starszą, Zosię, i syna, Andrzeja, dopiero niedawno zobaczył po raz pierwszy po latach blisko jedenastu. Byli inni, niż oczekiwał, i nie od razu udało mu się pozyskać ich zaufanie. Syn, zarażony wschodnimi nowinkami, nie szukał porozumienia z ojcem; córka była wątła, nieśmiała, niemogąca jakby otrząsnąć się z przygnębiającego wpływu różnych okropności, które przed powrotem do kraju na własne oczy oglądała.

Korzystając z wolnych paru godzin, Laterna postanowił odwiedzić córkę. Od Gondziłła słyszał, że jest chora — i ta wiadomość sprawiła mu niepokój. Czyżby odzywała się już w tym dziecku choroba matki?

Jednakże mały pokoik Zosi stał pusty. Andrzeja również nie było w domu.

Poszedł tedy do Gondziłłów, którzy niedaleko stąd mieszkali. Wiedział, że Gondziłłowa odwiedzała siostrzenicę podczas choroby codziennie. Pragnął podziękować jej za to, dowiedzieć się bliższych szczegółów, w ogóle ją zobaczyć. Od dawna byli w przyjaźni. Laterna mógł nie być u Bini Gondziłłowej przez parę miesięcy, ale gdy już przyszedł, czuł się tak, jakby się wczoraj rozstali.

Lubił ją szczerze za miłe usposobienie i pogodny stosunek do życia. Nieraz nawet dziwił się jej wesołości. Miał też słabość do starszego chłopca Gondziłłów, Konrada.

Wszedł przez kuchnię, gdyż nie można było inaczej. Na sznurkach, w poprzek przeciągniętych, suszyła się jak zwykle bielizna. Tym razem były to same wielkie sztuki: prześcieradła, podpinki, obrusy. Laterna przeszedł, roztropnie pochylając głowę, nie uniknął jednak wilgotnych muśnięć i pogłaskań — tylko nie obudziło to w nim zniecierpliwienia jak w Gondzille. Binia bowiem wyjaśniła mu już dawniej, że ponieważ pierze sama, woli to robić często i po trochu, by się nie nazbierało za dużo. A na strychu nie wiesza bielizny nigdy w obawie przed złodziejami. Ta motywacja wydała się logicznemu poczuciu Laterny wystarczająca, dla Gondziłła jednak pozostała na zawsze głupim gadaniem.

Binię zastał Laterna przy kuchni, zajętą warzeniem strawy dla męża i dzieci. Wiedział od niej różne malutkie szczegóły i tajemnice, tyczące tych spraw, i jako smakoszowi nie były mu one obojętne. Rozpiął palto, usiadł na zydlu[29] pod oknem, gdzie zrobił mu miejsce młody żołnierzyk, obierający tam ziemniaki, i z kapeluszem w ręku wiódł rozmowę z bratową, patrząc na nią życzliwie przez mokre ząbki najbliżej wiszącego prześcieradła.

Dowiedział się, że Zosia jest już zdrowa i od dwóch dni chodzi do biura. Ale było niedobrze i Andrzej parę razy wzywał doktora.

Laterna się zdziwił, że też go nie zawiadomiono.

Owszem, Julek obiecał mu powiedzieć. Zresztą wszystko przeszło dość prędko. Były to jakieś zawikłania nerkowe i właśnie obawiano się, że może na podkładzie tuberkulicznym.

Laternę przykro to uderzyło. Ale czy wyzdrowiała zupełnie? No tak, musi tylko zachowywać odpowiednią dietę.

Gondziłłowa, rozmawiając, nie odrywała się od swego zajęcia. Powiedziała Laternie, że jest szczęśliwa, odkąd sama przerobiła sobie piec w kuchni.

— Bardzo prosto — odpowiedziała, gdy się zdziwił. — Stanisław przyniósł mi gliny i parę nowych cegieł. Ruszt był za nisko, trzeba go było podnieść, bo marnowało się masę węgla i garnki musiały być zawsze głęboko wpuszczone. A teraz wszystkie stoją na wierzchu, prawie nic się nie kopcą i cały obiad można ugotować przy paru kawałkach.

[29] *zydel* — stołek, taboret. [przypis edytorski]

Jakże się radowała, mówiąc to. Laterna, zainteresowany, powstał w całej swej wielkości i podszedł do płyty. Binia pokazywała mu czyste garnki i rondle. Musiał koniecznie zajrzeć w otwór fajerki, buchający żarem, i sam się przekonać, jak wysoko jest teraz ruszt.

— I w piecyku też piecze się daleko lepiej.

Laterna zajrzał i tutaj. Czynił to bez żadnego poświęcenia. Nie uznawał, aby rzeczy drobne nie były ważne. Przeciwnie. Radość jest wszędzie, gdy coś idzie dobrze, gdy jest rozumnie pomyślane i wykonane dokładnie.

Binia przesunęła coś, coś nakryła, podniosła jakąś pokrywkę, spod której buchnęła miła woń duszonej z włoszczyzną i grzybami wołowej pieczeni, potrząsnęła rondlem, nakryła go znowu i powiedziała:

— Teraz możemy pójść do pokoju. Stanisław nastawi ziemniaki i obiad będzie gotowy. Profesor zje z nami, prawda?

Zarówno jak mąż, nazywała szwagra profesorem z uwagi na różnicę wieku.

Weszli do najuboższych dwóch pokoików i zaraz Laterna pomyślał: „Jak tu jest ładnie i dobrze. Jak wiele i rozumnie czyni ta kobieta, by to osiągnąć. I robi to tak po prostu, jak ptak potrząsa ogonem, skacze i ćwierka".

Widoczne było, że jest szczęśliwa. Miała te swoje cichutkie rozkosze domowe, które były niejako bezpieczne, w które życie nie mogło ugodzić.

Sposób, w jaki lubiła czystość, był już namiętnością. Nie tylko nie znosiła brudu i nieporządku, ale ład wprawiał ją w stan niezakłóconej pogody.

Jedynie Gondziłł opierał się w tej mierze promieniowaniu żony. Całe otoczenie, wygląd kuchni i mieszkania, ubranka dzieci, ich buzie i ręce, nawet żołnierska kurtka służącego uderzały czystością.

Mały Konrad na widok olbrzymiego wuja zbliżył się odważnie, by go przywitać i zarazem mu zakomunikować, że jak byli dziś rano z Binią na spacerze, to widzieli wielbłąda. I że wielbłąd, nawet jak się gniewa, to jest łagodny, tylko pluje.

Ten Konrad był ulubieńcem Laterny dla wyraźnie zarysowanego charakteru i niefrasobliwego humoru.

Za to drugi, blady, tłusty i nieśmiały Wituś, nie zechciał ani na krok odejść od wielkiego konia na biegunach, zrobionego z dwóch desek przez Stanisława i pomalowanego przez Binię. Koń ten miał tę wadę, że z przodu i z tyłu wcale nie było go widać, za to z boków wyglądał jak prawdziwy.

Cichy i poważny Stanisław w ogóle grał dużą rolę w tym domu. On to umiał zrobić z prostej deski stół, półkę, krzesło, a nawet małe łóżko. Wszystko to później Binia malowała białą farbą i żałowała, że nie może polakierować. Ale to wypadłoby za drogo.

— Co ty myślisz o Andrzeju? — zapytał Binię Laterna.

— O Andrzeju... — I Binia pomyślała. — On jest bardzo dobry brat.

— Tak. — Laterna potrząsnął głową. — To nie ulega wątpliwości. On przecież Zosię prawie wychował, nie rozstawał się z nią od śmierci matki. Ale poza tym, on sam, czy nie wydaje ci się dziwny?

Binia znowu pomyślała.

— On ją bardzo, bardzo kocha. Więc widocznie jest dobry. Ale rzeczywiście nie widziałam człowieka tak... — tu zawahała się — tak niemiłego.

— Prawda? — potwierdził Laterna i uśmiechnął się.

— Bo inni także wracają stamtąd — ciągnęła Binia — a przecież nie wyglądają aż tak...

Laterna milczał, kołysząc na kolanie małego Konrada.

— Czy profesor się nim martwi?

— Nie, dlaczego. On mnie ogromnie zaciekawia.

W czasie tej rozmowy rozesłała na stole obrus i ustawiła talerze. Rozumiało się samo przez się, że profesor zje z nimi obiad. Nie protestował. Ponieważ nigdzie nie jadał stale, więc było mu to zupełnie wszystko jedno.

— O, tatuś już się gniewa — rzekł nagle Konrad i zsunął się z kolan Laterny.

Istotnie, w kuchni słychać było jakiś hałas.

— To Julek! — ucieszyła się i spłoszyła zarazem Binia.

Gondziłł wpadł do pokoju, gniewny i fukający. Jednak na widok Laterny rozpromienił się w jednej chwili.

— Profesor kochany! — grzmiał, ściskając gościa w objęciach i kipiąc radością. — To doskonale się składa. Wczoraj widziałem się z pułkownikiem Omskim. Umówiliśmy się na jutro, na konkursy. Profesor naturalnie wybierze się na konkursy. Obowiązek, obowiązek! Ze względu na cel i w ogóle.

Szło o konkursy hippiczne, urządzane przez oficerów na wdowy i sieroty po poległych. Będą wszyscy znajomi, różne figury... Laterny nie trzeba było długo namawiać.

Gondziłł nie przywitał się wcale z żoną ani z chłopcami, którzy siedzieli już naprzeciw siebie przy małym stoliku na dwóch ławeczkach i grzecznie, zupełnie jednakowo, czekali na obiad — tworząc razem, każdy z łyżką w ręku, jakby symetryczną dziecinną zabawkę.

Miłość, Tajemnica, Zaręczyny

Przy obiedzie Gondziłł opowiedział profesorowi nową plotkę. Udało mu się mianowicie dociec, że pułkownik Omski jest zaręczony.

— Mówił ci to sam? — spytał Laterna.

— Nigdy w życiu! — oburzył się tamten, gdyż to pomniejszałoby niezmiernie jego zasługę. — Wiem to zupełnie z innego źródła — tu roześmiał się wstydliwie. — Z najpewniejszego.

Okazało się mianowicie, że Omski jest zaręczony już od paru lat i bardzo się z tym tai. To mu nadaje ów tajemniczy *charme*[30] i tłumaczy nieczułość na wszelkie pokusy. Panna pochodzi ze sfery prawie, prawie arystokratycznej, niedawno jeszcze była bogata, a dziś jest ubogą sierotą i pracuje. Więc jakby miłość szlachetnego młodzieńca... Podobno nie jest ładna ani nic takiego... Zresztą w tych dniach mają ją Gondziłłowi pokazać.

— Ale któż ci to mówił? — domagał się jakiejś ścisłości Laterna.

Na tym punkcie jednak Gondziłł był nieprzejednany. Wykręcał się żartami, ale w jego zawstydzeniu taiło się też nieco chluby. Wiadomość tę powziął bowiem od uroczej Elżbiety Sasinówny.

Stanisław wnosił dania — pełen uwagi i skupienia, pamiętający przestrogi i pouczenia Gondziłłowej jak kanony wyznania wiary. Ona zaś, uśmiechnięta i baczna, nalewała, dzieliła, częstowała, zadowolona, że tym razem Julek się nie spóźnił i przynajmniej zje obiad, który nie zdążył się przestać.

7

W ową niedzielę wszyscy wybierali się na konkursy. Pogoda dopisała ciepła i słoneczna.

Pan Nutka był na śniadaniu u Hennertów, z którymi miał wybrać się razem. Drobny, suchy, siwy, w lśniącej bieliźnie i nieposzlakowanym stroju, robił nawet na tym tle bogatym jak najlepsze wrażenie. Istotnie, trzymał się jeszcze bardzo dobrze — dumny ze swego szlachectwa, chlubiący się wiekiem sędziwym i czystą przeszłością. W ostatnich czasach ujawniło się ponadto, że brał był udział w powstaniu — zresztą niejasny i może niezupełnie czynny. Wspominał też, że w mieszkaniu jego robiono kiedyś rewizję; pan Nutka w tej okoliczności zachował był przytomność umysłu i tyle taktu, że w kozi róg zapędził intruzów. Domowi znali to opowiadanie. I nie raziło nikogo, gdy w szczegółach ulegało ono niekiedy drobnym zmianom.

Łaskawy i hojny dla służby, uprzedzający dla gości, pan Nutka czuł się w domu córki jak u siebie. Z zięciem miewał krótkie konferencje na osobności i z gabinetu jego wychodził ożywiony, pełen swobodnego, protekcjonalnego humoru. Zdawał się mieć poczucie, że przyszło mu ot — skromnemu i niepozornemu — odgrywać rolę nie byle jaką, ale nie widzi potrzeby komukolwiek z tego się zwierzać.

Każdy nowo nabyty przedmiot sztuki, umeblowania czy zbytku musiał pierwszy obejrzeć, zaaprobować albo wyrozumiale zganić. W rozmowach z zięciem i córką pieścił się brzmieniem wysokich sum, które stały się w tym czasie powojennym jednostkami codziennego obiegu. Spadek waluty sprawiał mu szczególną przyjemność tą właśnie zawrotną, upajającą wysokością liczb. U „młodych" miał teren do doznawania tych wzruszeń i manifestowania swej pańskości. „Kupiłeś to za bezcen... Ależ to za darmo!", mówił do zięcia, gdy ten pokazywał mu nowy sprzęt, srebro czy klejnot.

Szczególną sympatią darzył wnuczkę, „małą" Wandę, która zresztą była wyższa o głowę od dziadka i miała już swoje własne, rozgałęzione stosunki w świecie internacjonalnym i sportowym. Na konkursy wybierała się jako „miłośniczka koni i oficerów".

[30] *charme* (fr.) — urok, wdzięk. [przypis edytorski]

W śniadaniu brał udział, oprócz rodziny, jeden z „cudzoziemców Wandy". Był to bardzo młodo wyglądający trzydziestoletni Anglik, mówiący z cicha, łagodny i zawsze poważny. Miał usta jak wiśnie, twarz pełną i różową, a oczy intensywnie niebieskie, patrzące niewinnie jak u dziewczyny.

Pan Nutka, biorący zwykle na siebie rolę przewodnika, przypominał, że czas mija. Posłuchano go, wypito prędko czarną kawę i wszyscy byli gotowi w porę.

Elita

Na niewielkim placu przed ogrodzeniem zastali już ciasno stłoczone piękne zaprzęgi i samochody, a wciąż zajeżdżały nowe. Konkursy zgromadziły istotnie całe „towarzystwo". To nie znaczy koniecznie: arystokrację. Teraz są nowe czasy i co innego jest elitą.

Olśniewające mundury własnych i obcych dygnitarzy wojskowych uderzały barwami naszywek, błyszczały w pełnym świetle dnia przepychem odznak i galonów[31]. Niemniej, chociaż inaczej, przyciągali oczy dostojnicy ze sfer rządowych w szlachetnej czerni swych strojów.

Państwo, Polska

Wszystko jest nowe i wszystko wreszcie jest prawdziwe. W takie dni widzi się, że Polska jest naprawdę. W przelewaniu się i gwarze tłumu gra instynkt, którego zaspokojenie jest rozkoszą — gnębiony długo, oszukiwany i zwodzony, a przyrodzony gromadzie ludzkiej — zupełnie pierwotny instynkt Państwa.

Na trybunach, zalanych płynną czernią ludzi — jedna loża, ubrana sośniną i chorągiewkami. Była jeszcze pusta, ale już tam obracały się kapelusze, patrzyły oczy i lornetki.

Nareszcie! Oto *on*. Przez tłum przeszło długie drgnienie sensacji, widoczne jak fala na wodzie. Dziwne wzruszenie, głębokie i wstydliwe, podniosło piersi. Serca ścisnął nieznany spazm — ów hamowany dotąd, zazdroszczony ludom Europy, sensualny dreszczyk monarchiczny.

Polska, Państwo, Wolność

Wielu doznawało go kiedyś na cudzy rachunek, doznawało jako poniżenia — w obcych stolicach, u wybrzeży Biarritz[32] lub Ostendy[33], u źródeł Karlsbadu[34] czy Wiesbaden[35]. Jedni widzieli z bliska cesarza Wilhelma[36] na konnym spacerze porannym, innych minęły w pędzie sanie, wiozące Mikołaja Romanowa[37] na Strjełkę. Inni znów pamiętali jeszcze miłego staruszka Leopolda[38] belgijskiego z dystyngowaną panną de Mérode[39], zawsze uczesaną *en bandeaux*[40], albo niezrównanego księcia Walii, albo wreszcie któregoś z mieszczańskich prezydentów Francji.

A teraz nie jest to już wcale potrzebne. Słodki spazm sensacji nie sprzeciwia się uczuciom narodowym, nie wykracza poza kanony patriotyzmu. Jest Polska — i wszystko odbywa się, jak u innych. Ma się własnych prezydentów i ministrów, własnych senatorów i generałów.

Oto i loża dyplomatyczna wypełniła się już po same brzegi. Tylu dostojników! Panie wielkiego świata nie potrzebują teraz przyjmować na swych salonach generał-gubernatorów[41] ze wschodu. Ich gust do internacjonalnych porozumień zaspokajają dziś ministrowie pełnomocni państw sprzymierzonych i szefowie zagranicznych misji.

Ukłony, uśmiechy, chlubne znajomości i przyjaźnie. Ale oto przycichło wszystko. Spokój na trybunach. Tłum pieszy zwarł się ciasnym pierścieniem wokół niskiego, drewnianego ogrodzenia. Rozpoczęły się popisy.

---

[31] *galon* — tu: taśma ozdobna, używana do obszywania mundurów. [przypis edytorski]

[32] *Biarritz* — popularna nadmorska miejscowość turystyczna we francuskiej Nowej Akwitanii. [przypis edytorski]

[33] *Ostenda* — miasto uzdrowiskowe nad morzem w płn.-zach. Belgii, w Regionie Flamandzkim. [przypis edytorski]

[34] *Karlsbad* a. *Karlowe Wary* — największe uzdrowisko w Czechach. [przypis edytorski]

[35] *Wiesbaden* — znane miasto i uzdrowisko w środkowych Niemczech. [przypis edytorski]

[36] *Wilhelm* — zapewne chodzi o jednego z dwóch cesarzy pruskich: Wilhelma I Hohenzollerna (1797–1888) lub Wilhelma II Hohenzollerna (1859–1941); ze względu na lata ich życia druga opcja jest bardziej prawdopodobna. [przypis edytorski]

[37] *Mikołaj Romanow* a. *Mikołaj II Romanow* (1868–1881) — ostatni car Rosji. [przypis edytorski]

[38] *Leopold* a. *Leopold II Koburg* (1835–1909) — król Belgów w latach 1865–1909. [przypis edytorski]

[39] *Mérode, Cléopâtre-Diane de* (1875–1966) — francuska tancerka popularna w czasach Belle Époque. [przypis edytorski]

[40] *en bandeaux* (fr.) — dosłownie „w opasce"; fryzura, której istotnym elementem jest opaska do włosów. [przypis edytorski]

[41] *generał-gubernator* — administrator prowincji w carskiej Rosji. [przypis edytorski]

Spod niewysokich kasztanów, rozjaśnionych zaledwie rozpękłymi, złoto-zielonymi listkami, przez ciasne przejście w obręczy tłumu wyjeżdżają jeźdźcy na koniach. Pojedynczo, jeden za drugim. Każdy następny robi zupełnie to samo co poprzedni: podjeżdża na przełaj przez pusty, słońcem zalany plac do udekorowanej loży, zatrzymuje się jak wryty na krótki moment wojskowego ukłonu, idzie parę kroków krótkim galopem, jedna przeszkoda, zwrot, druga przeszkoda — objazd, większa przeszkoda — rów, wał, bariery. I tak do końca.

Ale każdy jest inny. I każdy popis staje się nową radością i sensacją.

Pierwszy wybiega duży hunter[42], brudno-gniady, lubiący skakać — zainteresowany tym, co nastąpi — bez żadnej uwagi na tłumy, na emocjonalną stronę zadania, niepragnący z nikim rywalizować. Na razie kręci się cokolwiek, przysiada na szerokim zadzie, wygina łeb poczciwy na szyi grubej i nagiej, jeszcze powiększonej przez grzebień strzyżonej grzywy. Kurtyzowanym[43] ogonkiem klepie się po zadzie jak dłonią. Ale to nie nerwowe podniecenie, to raczej zdrowa ochota do sportu. Zna swego jeźdźca, jest pewien, że go rozumie, że go nie zawiedzie. Puszczony w galop, już tylko dba, aby wszystko poszło dobrze. Z dobrą chęcią, z najlepszą wiarą bierze po kolei wszystkie przeszkody — do najcięższej. Nikt się nie denerwuje, patrząc, wszystko udaje się, idzie jak z płatka. Oklaski nie dziwią ani jeźdźca, ani wierzchowca. Wjeżdżają z powrotem w rozsunięty gąszcz ludzki. Jeździec zeskakuje, klepie zwierzę po szyi sakramentalnym, zdawkowym gestem pochwały czy podzięki.

A oto wypada nowy jeździec. Koń pod nim niewielki, o sylwetce araba[44], ciemny gniadosz. Od razu zauważył coś niezwykłego, denerwuje się zbiegowiskiem ludzkim, drepcze trawersem[45], próbuje wspiąć się dęba, gryzie wędzidło, trzęsie łbem małym na szyi długiej i wygiętej, sroży się i dąsa. Jest prześliczny w tych kaprysach niemądrych, w tym niepokoju i gniewie. Nie od razu przechodzi w galop, jeszcze się waha, buntuje, oburza. Wreszcie uległ pokusie ruchu. Ach, cóż za lot, cóż za doskonały kształt, w którym zamyka się przezwyciężanie, niedbałe pokonywanie przestrzeni! Ruchy nóg zadnich od niechcenia potrącają ziemię płaską i usuwającą się wciąż w tył posłusznie. Przednie spełniają prześliczny gest chwytania i zagarniania pod siebie powietrza. Łepek, jak cacko odrzucony, chrapiący, namiętny od rozkoszy ruchu, upojony. Grzywa porusza się w powiewie, ogon długi, odstawiony od zadu, dodaje lekkości, polotu i wdzięku. Hop! Jedna przeszkoda. Zawadził tylnym kopytem, uderzył się może. Poirytowany, niespokojny, podreptał chwilę na miejscu i znowu puszcza się w lot. Waha się — niezbyt chętnie bierze drugą przeszkodę — bierze pomyślnie. Teraz biegnie, dostaje jakby skrzydeł, nie dba o nic. Już wszystko pójdzie dobrze. Hop! Hop! Jeszcze i jeszcze. Na prawo, na lewo! Ach, jakiż jest piękny, jaki płynny i lotny, w upajającym galopie rozkołysany.

Teraz wychodzi stępa anglik[46], koń piękny — długi, miękki i gładki. Mięśnie przelewają mu się pod skórą miękko i widocznie jak u wyżła. Cały jest elastyczny, a taki zamknięty, skupiony w geście, taki sprawny, ekonomiczny, niezawodny. Łeb rozumny, oko piękne, uważne, pełne spokoju. Cała godność wewnętrzna, cały wykwint kształtu nie do niego należy, lecz do jego rasy. Sam przez się nie chce być niczym, nie pretenduje do sławy, nie ma ambicji indywidualnych. Jest reprezentantem — i to stanowi jedyny motyw jego troski, tytuł godności, jest treścią jego piękności i talentu. Oto już przeszedł w galop. To nie jest ten rozwiany lot araba, nasuwający wizje stepów Arabii Szczęśliwej[47]. To jest idealnie mierzony bieg turfów[48] internacjonalnych. Koń jest wzorowy — w miarę podniecony, w miarę lekki. Wyciągnął się, przybliżył nieco do ziemi. To już *carrière*[49]. Zgina i prostuje swe nogi w sposób niezrównany, jest cały rasą, doskonałością, prawem. Posuwa się miarowo, z niezawodną pewnością mechanizmu. Ruch jest spokojny, a tempo

[42] *hunter* — rasa koni gorącokrwistych. [przypis edytorski]

[43] *kurtyzowany* — o mocno skróconym końskim ogonie. [przypis edytorski]

[44] *arab* — tu: rasa koni gorącokrwistych. [przypis edytorski]

[45] *trawers* — tu: ruch boczny konia, wykorzystywany podczas ćwiczeń w ujeżdżaniu. [przypis edytorski]

[46] *anglik* — tu: rasa koni gorącokrwistych. [przypis edytorski]

[47] *Arabia Szczęśliwa* a. *Arabia Felix* — stosowana przez Rzymian nazwa płd.-zach. (zamożnej i rozwiniętej) części Półwyspu Arabskiego. [przypis edytorski]

[48] *turf* (daw.) — wyścigi konne, tor wyścigowy. [przypis edytorski]

[49] *carrière* (fr.) — dosłownie: „kariera"; tu zapewne użyte metaforycznie w stosunku do konia, który wspiął się na wyżyny zawodowstwa. [przypis edytorski]

zupełnie szalone. Mocniejszy przysiad przed przeszkodą: przemknął powietrzem — i oto kołysze się znów w tempie cichego galopu. Ani cienia wysiłku, wszystko jest koniecznością. Zawraca miarowo tu i tam, mknie powietrzem. Ukłon i powrót pośród oklasków.

Wychodzą nowe konie. Robią wciąż to samo, a każdy ciągle jest inny. Są tu przy jednym schemacie możliwości nieskończone. Cała natura, cała odrębność psychiki zwierząt maluje się w dynamice ich ciał, w ich geście. Nie jest tu ważny, jak u ludzi, wyraz twarzy, jej ruch i spojrzenie. Ważny jest ogon, każda noga, linia grzbietu, wianie grzywy, uderzenie kopytem. Ich ciemne, lśniące ciała przemykają wyraźnie i niewątpliwie pośród przezroczystego światła i powietrza. Końska fizjonomia jest od czuba łba do końca ogona. Wszystkim gra, wszystkim afirmuje siebie.

Oto jeden jest próżny, ambitny, niepewny siebie, a mający pretensje. Cóż za nakład trudu i źle zrozumianej, przekornej kokieterii. Od razu cofa się od przeszkody, niby nie będzie wcale skakał, nie chce tak przed wszystkimi. Obraził się, drepcze, przytupuje, idzie zupełnie bokiem, schodzi z toru. Ileż na to wszystko niepotrzebnie traci energii! Pierwszą przeszkodę wziął z wysiłkiem, bez wdzięku — chociaż jest bardzo ładny. Przed drugą nagle stchórzył, zawrócił, obiegł ją bokiem. Dostał stykiem, zagotowało się w nim wszystko — w złości poleciał i wziął prędko wszystkie przeszkody po kolei, sapiąc, przysiadając, dąsając się i trudząc.

Inny od samego początku zachował się opornie wobec wszystkiego, po prostu zgoła negatywnie. Nie chce iść galopem, zupełnie nie słucha cugli. Robi, co mu się podoba — uparty, ponury, gniewny. Staje dęba, wierzga zadem, skacze w prawo i lewo. Wreszcie jeździec musi zrezygnować; nie ma mowy, aby udało się doprowadzić konia choćby do pierwszej przeszkody. Zjeżdżają z toru — ku uciesze i życzliwie złośliwym oklaskom widzów.

Po koniach znać wszystko, po jeźdźcach nic. Młodziutkie twarze ułanów są wszystkie jednakowe, pochmurne, skupione. W oczach napięcie i wola, usta zacięte. Czarna pod brodą od czaka[50] przepaska czyni te twarze jeszcze bardziej chłopięcymi. Jest w nich piekło tremy — modły do konia, by nie zawiódł, by nie upadł, by nie okrył na wieki śmiesznością.

Jeden koń przy pierwszej zaraz przeszkodzie wywraca się na grzbiet. Okrzyki przerażenia w gąszczu ludzkim zlewają się jakby w daleki, cichutki grzmot. Jeździec natychmiast zrywa się z ziemi i ze spuszczoną głową wyprowadza z placu nikczemnego konia — on, najnieszczęśliwszy z ludzi.

I znowu biegnie nowy koń — każdym ruchem, każdą sekundą ruchu czyniąc zadość prawom doskonałej piękności. Wygina szyję, wyrzuca nóżki, zadziera łeb, przysiada, drepce, podskakuje. Nic nie wie, że jest widziany, o niczym nie ma pojęcia, jest zupełnie niemądry — i tylko nienaumyślnie taki piękny. Ta chwila zwłaszcza, gdy tylne kopyta są w galopie, odrzucone miękko, wykręcone w pęcinach do tyłu, na króciutką cząstkę sekundy zgoła niepotrzebne — by się znów błyskawicznie zmienić w stal. Tak biegnąc, rzuca momenty piękności swej od niechcenia w przemijanie jak klejnoty — rozrzutny i niedbający. Cokolwiek postanowi i przedsięweźmie, jest cudne. Gdy zwalnia biegu, po co gryzie wędzidło i wygina szyję, jak gdyby chciał ją złamać? W tej najgłębszej nieświadomości, w tej bezużyteczności gestu zupełnie paradoksalnej tkwi urok nieprzeparty, nieuchwytny i niezaprzeczony zarazem aksjomat piękna.

Są jeszcze inne konie — rosłe, zgrabne, dobrze idą, pomyślnie biorą przeszkody. Ale nie są piękne. Ich ruch i bieg nie budzą rozkoszy, ich dąsy są bez wdzięku, ich trwoga i odwaga nie jednają serc. Przecież jednak biegają, skaczą, trudzą się, nie wiedząc wcale o tym, że żyją bez piękności.

Ostatni koń powrócił pod lekki, zupełnie przezroczysty cień niskich kasztanów.

— Mamo, mamo — powiedziała prędko Wanda Hennertówna — czy zauważyłaś tego konia gniadego ze strzałką na czole?

Teresa się uśmiechnęła.

— Moja droga, zdaje mi się, że wszystkie konie są gniade i wszystkie mają strzałki na czole.

[50] *czako* — dawniej rodzaj wysokiej, sztywnej czapki wojskowej. [przypis edytorski]

— Mój Boże — zmartwiła się Wanda. — Przecież myśmy wcale nie zauważyły porucznika Lina. Wszyscy byli tacy podobni... A on mówił, że ma właśnie takiego konia: gniadego, ze strzałką na czole...

W oczekiwaniu na drugą część programu czarny tłum spłynął z trybun i rozlał się po alejach parku.

8

Gondziłł był taki szczęśliwy. Znał tu prawie wszystkich. Witał się, rozdawał ukłony na prawo i na lewo. O każdym coś mógł Omskiemu powiedzieć.

Omski w powierzchowności jego zauważył dzisiaj dużą zmianę na korzyść. Miał nowy mundur, twarz starannie wygoloną, nawet zupełnie świeże, białe rękawiczki.

— Oto rzecz nieoczekiwana — komentował Gondziłł z ożywieniem ostatni swój ukłon. — Mój siostrzan, Laterna Andrzej, odludek, mizantrop i w ogóle czarny charakter, proszę, w jakim znajduje się towarzystwie. Widzi pułkownik te dwie panie? To jest właśnie pani Hennertowa z córką. Nikt by nie powiedział, prawda? Wyglądają na dwie przyjaciółki, tylko że mała wyższa jest od matki... Panią Terenię znałem jeszcze, gdy była młodsza, niż teraz jest jej córka.

Był wyraźnie dumny z tej znajomości. Chlubił się wysokimi stosunkami siostrzeńca.

— Ten drugi, to porucznik Lin, wzdychający do panny bez żadnych, zdaje się, widoków. A ten *gentleman*[51] o różanym obliczu ma wszelkie pozory Anglika. Na żądanie recytuje chętnie wiersze Spencera[52] i gra na fortepianie ludowe piosenki różnych narodów: szkockie, irlandzkie, a nawet niemieckie i czeskie, we własnym opracowaniu. Przybył tu ze swej ojczyzny dziwną drogą, przez Amerykę, Indie i Rosję. Czwarty wreszcie... Ależ te panie są otoczone! Czwarty to znów wielbiciel pani Teresy... Niedawno zjawił się na horyzoncie, ale, jak mówią niedyskretni, którym zresztą nie można wierzyć... Bardzo dystyngowany młody człowiek w starszym wieku. Mieli być kiedyś jakoby zaręczeni czy coś w tym rodzaju i teraz spotkali się po latach. O, jest i pan Nutka!

Gondziłł robił honory domu, jak gdyby czuł się tu gospodarzem. Nie opuszczał Omskiego, którego obecność na konkursach własnej przypisywał zasłudze.

— Ta dama, z którą wita się teraz pani Teresa, to generałowa Chwościkowa.

Rzeczywiście, generał Chwościk tym razem „pokazał" się z żoną. Było tak ciepło, że palto nie było jej już potrzebne. Generałowa miała na sobie kostium barwy zielonej, cokolwiek zmięty i jakby za wąski i za krótki; mały kapelusik ozdobiony był czarnymi koronkami i jednym białym piórkiem.

Pani Chwościkowa, wraz z drugą damą, hrabiną Oskienną, równie nieświeżo i ubogo odzianą, stały w świetnym otoczeniu cudzoziemskich oficerów i rozmawiały z nimi żywo w trzech na przemian zaprzyjaźnionych językach. Mała twarzyczka generałowej zmieniała błyskawicznie swój wyraz, krzywiła się, śmiała i gniewała, ilustrując osobnym grymasem każde słowo. Hrabina miała oblicze tłuste i białe, pełne słodyczy i jakby ciągłej prośby o wyrozumiałość, której nikt nie zdawał się jej odmawiać.

Idąc dalej, zobaczyli Hennerta w grupie panów o solidnej powierzchowności państwowej. Na rozradowany ukłon Gondziłła tym razem odpowiedział pobieżnie, widocznie czymś nierównie ważniejszym zajęty.

— Tak to jest teraz — objaśniał Omskiemu nietracący kontenansu Gondziłł. — Spotyka się tu po latach jakiegoś kochanego Stacha, jakiegoś morowego Józefa. Wszystko dawni znajomi, dobre chłopy. Bój się Boga, toś ty przecie senator! No, a Edek generał! Rety! Kiedyż Felek będzie ministrem? Daj pokój, jemu się lepiej kroi...

Mówił bez cienia złośliwości — rad, że przynajmniej innym się powiodło, każdemu życząc jak najlepiej. A przy tym miał tu i swoją malutką, niewinną zdobycz: że osoby, o których wspominał, zaszły wyżej nie tylko od niego, ale też i od pułkownika Omskiego. I to czyniło mu go bliższym...

---

[51] *gentleman* (ang.)— pan, mężczyzna dobrze wychowany. [przypis edytorski]

[52] *Spencer, William Robert* (1769–1834) — poeta angielski, cieszący się swego czasu dużą popularnością. [przypis edytorski]

Zatrzymali się na jakimś mostku drewnianym nad kanałem sadzawki. Płytka, mętna woda opalizowała pod słońce. Na starych wierzbach wisiała rozpięta złota siatka pierwszych liści.

Mieli stąd zawrócić, gdy zjawił się przed nimi Hennert; był teraz zupełnie sam. Tym razem przywitał Gondziłła serdecznie — jak gdyby czekał tylko na tę sposobność. Okazało się też, że dawno chciał poznać pana pułkownika i nawet pragnie koniecznie przedstawić go swoim paniom.

Pań jednak nie udało się na razie odnaleźć. Spotkali natomiast generała Chwościka w towarzystwie profesora Laterny i pana Nutki. Andrzej Laterna tym razem znajdował się obok ojca.

Wszyscy razem sunęli teraz w stronę trybun.

— Stosunki się poprawiają, tak, poprawiają się stosunki — mówił do profesora generał Chwościk szybko i bezustannie. — Tutaj, tam i wszędzie. Europa, po prostu Europa. Szyk, kultura, porządek. Jednym słowem. Arystokracja razem. Demokracja też. I mocarstwa. Jeden koń niepotrzebnie się przewrócił. Ale oficerowie, oficerowie. Owszem. Jeżdżą tutaj, tam, wszędzie. Lud. I pociągi. Europa jednym słowem. I tak dalej. Jestem dumny. Polska jest połączona, złączona i zjednoczona. Tak.

W przeciwieństwie do małżonki, której nie sprawiało trudności mówienie w trzech językach, generałowi sprawiało widoczną trudność mówienie w jednym. Całe życie spędził poza granicami swego kraju. Za to wieloletni pobyt w szeregach obcej armii dał mu doświadczenie i wiedzę fachową, tak cenną na obecnym stanowisku.

Sprawiało trudność, to prawda, ale nie zniechęcało bynajmniej. Przeciwnie. Trudność ta skłaniała go tylko do niezwykłej zwięzłości, która znów pozwalała mu zamknąć mnóstwo myśli w ramie paru minut. Wskutek takiej treściwości przemówienia trudno było niekiedy pochwycić ideę, łączącą poszczególne zdania, a nawet sens samych zdań. Profesor Laterna chętnie podjął się tego trudu. Szedł obok, wsłuchany uważnie w sypanie się tych słów. Kapelusz, jak zwykle, niósł w ręku, a słońce ogrzewało krótkie, siwe futerko na jego wielkiej głowie.

Ideą generała było połączenie służbowe i towarzyskie oficerów w taki sposób, by stare różnice na tle przynależności do różnych dawnych armii i formacji poszły całkowicie w niepamięć.

— Polska jest zjednoczona i tak dalej. Jednym słowem i my wszyscy jesteśmy zjednoczeni.

Dalej szło o to, że mnóstwo wojskowych ma żony obcych narodowości — w związku z różnymi terenami swej dawnej służby i wędrówkami w czasie wojny.

— Jeżdżą tu, jeżdżą tam, jeżdżą wszędzie — formułował to krótko generał. — A później Niemki, Rosjanki, Żydówki, Czeszki, Francuzki, Węgierki, jednym słowem... Nic nie szkodzi. Ale to są żony, żony, nasze żony, nasze wspólne oficerskie żony. I tak dalej.

Mówiąc, nie patrzył bynajmniej na profesora, ale biegał oczyma gdzieś poza nim, szybko czegoś poszukując. Zobaczył wreszcie — i nagle, nie kończąc zdania, zaledwie bąknąwszy pobieżne słowo pożegnania czy przeprosin, wymknął się z towarzystwa i w dwóch susach doskoczył do jakiegoś starszego, samotnie idącego pana. Tam od razu mówić zaczął w tym samym tonie i niecierpiącym zwłoki sposobie, z równą słuchany uwagą.

— Książę Wiślicki — wyjaśnił całe zdarzenie Gondziłł, który wiedział tutaj wszystko.

— Arystokracja razem — powtórzył ktoś niedawne słowa generała.

Omski obrócił się: był to młody Laterna, dotąd milczący i po raz pierwszy przychodzący do głosu. Omski miał niemiłe wrażenie, spotkawszy się z jego oczami, że mianowicie tamten wcześniej już na niego patrzył.

Syn, Ojciec, Obcy

Dziwny był ten młody Laterna. Stanowił przeciwieństwo ojca. Był równie jak on wysoki, ale chudy, kościsty, o rysach twardych i niemiłych, chociaż niby regularnych. Miał lat dwadzieścia pięć lub nieco więcej i na ogół wydawał się raczej przystojny — ze swymi dużymi, czarnymi oczami, osadzonymi głęboko. Nazbyt rozwinięta, cokolwiek wystająca dolna szczęka i gorzkawy wykrój ust zdawałyby się świadczyć o woli, znamionować upór czy energię. Tymczasem wyraz tej twarzy był neurasteniczny raczej niż gniewny, nie ponury nawet, ale po prostu kwaśny.

Nazywany przez ojca żartobliwie „syneczkiem", afirmacji jego i pogodzie przeciwstawiał krytycyzm i zgryźliwość. Jego mina niezależna, ton nieustannej zdawkowej ironii — zdawały się pokrywać wewnętrzną mękę ambicji, niedające się niczym oszukać niezadowolenie z siebie.

Od dziecka sobie zostawiony, sobie wszystko zawdzięczający, był pracowity, wytrwały, uparty. W najtrudniejszych warunkach skończył szkoły, zdał egzaminy gdzieś za granicą. I tam, i w Rosji, dziwnym sposobem, mimo młodego wieku, uniknął jakiejkolwiek styczności ze sprawą wojny. Nie służył w żadnym wojsku, nigdy nie nosił munduru i nikogo nie zabił. Był ustawicznym protestem przeciwko zmilitaryzowaniu świata. Ale i teraz, gdy nastał pokój, nie doznawał zadowolenia.

Gondziłł myślał sobie: „Że też taki miły chłop jak Laterna może mieć takiego syna".

Bo i pułkownik Omski był zawsze pochmurny — ale w nim czuło się jakby powściąganie radości, zatamowany rozmach i siłę. I on śmiał się rzadko, ale dźwięk jego śmiechu był świeży jak źródło.

Dzisiaj zresztą nie śmiał się wcale. Z całego tego zbiegowiska ludzkiego, z natrętnej gadaniny Gondziłła buchał na niego zaduch miasta. Oto przyszli tutaj ukołysani pokojem, zadowoleni, syci, bezpieczni w zatęchłym bagnie swego życia — popatrzyć na popisy wojskowe, nacieszyć się malowniczym obrazem koni i mundurów, zabawić się nieszkodliwą paradą. Do takiej roli zeszło teraz wojsko!

Poczuwał się do solidarności, do odpowiedzialności za moralny prestiż armii. Niedawna rola generała Chwościka w tym gronie również była mu przykra. Jego — wyznawcę i czciciela symbolu władzy wojskowej — bolała groteskowość tej postaci. Nie podzielał też wcale troski, jaką budziła w generale rozbieżność różnych żywiołów młodego wojska.

Żołnierz, Polak, Polityka, Patriota

On sam — walczył bez wahań i wątpliwości, pragnąc jedynie być wzorem oficera, jeszcze w czasie, gdy jako podporucznik służył na początku wojny w szeregach armii obcej. Względy szerokości geograficznej sprawiły, że znalazł się po tej stronie frontu właśnie, a nie gdzie indziej — i nawet wówczas nie przywiązywał do tego merytorycznie żadnej wagi. Obecnie nie odczuwał niechęci do kolegów z innych dawniejszych formacji. Daleki był od retrospektywnych rozważań i sporów, kto miał politycznie rację lub kto był lepszym Polakiem. Sądził, że dobrym Polakiem jest ten, co się dobrze bije.

Miał jedynie wzruszenie ramion dla animozji, wybuchających jeszcze niekiedy pośród oficerstwa, na tle dawnych „orientacji", dawnych dzielnicowych patriotyzmów. Uważał to za głupstwa, niegodne żołnierskiego honoru. Widocznie wszystko było dobre, skoro dobrze się skończyło. Nie mógł zrozumieć owych całych szkół, powstałych na gruzach tych formacji i przynależności, całych literatur, ścierających się ze sobą i pożerających nawzajem.

Do czegoś służyły te rzeczy, do czegoś niewątpliwie były potrzebne. To widziało się na przykład wyraźnie u Gondziłła. Stopień porucznika był wiecznie żywą raną jego ambicji. Nie ominął przecież żadnej okazji, by nie powiedzieć, że jest mu to całkowicie obojętne. Przyczyny tej niełaski losu były niejasne, a może i zgoła przypadkowe. Gondziłł jednak nadawał im w domyślnikach, pewnych wyrazach twarzy i intonacjach głosu sens jakiś wyższy i tajemny, charakter daleko idących prześladowań i męczeństw politycznych — i znajdował w tym jakiś odwet dla śmiertelnie urażonej miłości własnej. W istocie przecież znalazł się — jak i sam Omski, dzięki przypadkowi — po tej, a nie po przeciwnej stronie frontu. I był zapewne gotów służyć sprawie polskiej w każdy sposób, mogący jej wyjść na korzyść.

Wspomnienia, Wojna, Koń, Nadzieja

Powietrze wiosny, zapach ziemi nieobeschłej jeszcze i młodej trawy — działały dziś na Omskiego jak jątrząca trucizna. Niedawny widok igrających koni, ich naiwna, dziecinna dusza — przypomniały mu znów tę jakby wspólną, minioną ojczyznę. Wojna! Wojna!

Było tak kiedyś, że sunął w kolumnie płynących wojsk, wpleciony w nurt marszu niby mała nitka w osnowę przesuwającej się na warsztacie tkaniny. Sunął brzegiem swej śmierci jak każdy z tych naokoło — trzymając kolanami zmęczonego, lecz łatwo płoszącego się konia. Na groblę, przecinającą głębokie łąki, w mokry śnieg i błoto leciały pociski. Szły tędy konie, wozy, ludzie. Czasami padał jakiś ranny — i krótki zator wsysał się wkrótce w rytm powolny ale nieprzerwany tego marszu. Z nieba zwisały ruchome chmury przedwiosenne, ciemne obok wybłyskujących w głębi płatów błękitu i słonecznego światła.

Jakaż niesłychana tężyzna biła z tego krótkiego przypomnienia, twarda siła karności, ambicji, woli i wydzierającej się ponad każdą klęskę — nadziei!

Uczuł znów dojmujące obrzydzenie do całego tutejszego życia i do swojej w nim roli. Jasna, wyczyszczona, bezpieczna wiosna miejska wydała mu się sztuczna niby dekoracja w teatrze. Jakże głębokiej doznawał niechęci do siebie i świata. Był pastwą jakiejś najgłupszej pomyłki. Żyjący w świecie suchych, niejako platonicznych, sztabowych obliczeń, przewidywań i możliwości, zamknięty w czterech ścianach nad planami i mapami, dusił się od nadmiaru swej siły, siły związanej i niepotrzebnej.

Młoda głowa pełna jeszcze była zmysłowego czadu ostatniej zimy. Na przyjęciach, koncertach, balach, w pachnącym mroku lóż, w pieściwych kobiecych salonach — tylko zmęczenia szukał. Tylko zmęczenia!

Drżąc z niecierpliwości i gniewu, wiódł głosem przyciszonym słodkie rozmowy. Uśmiechał się i chmurniał na przemian, obojętny, niedostrzegający pokus, płonący innym ogniem. Pieścił niekochane kobiety, maskując roztargnienie, udając, że jest szczęśliwy.

Teraz szedł z innymi, słuchając gładkich, okrągłych, pochlebnych i jakby trochę wilgotnych słów Hennerta.

Dyrektor informował się, gdzie i jakie pułkownik ma miejsce. Zapraszał go do swej loży na drugą część programu. Omski przystał, podziękował grzecznie i bez uśmiechu. Nie był wcale ciekawy, czemu mianowicie zawdzięcza tyle względów.

Zamilkli, bo oto znowu przyszło wymienić ukłony. Przechodziła panna Elżbieta Sasinówna. Szła żywo aleją w tym samym popielatym kostiumie i małym czerwonym kapeluszu. Była w towarzystwie swego ojca i pana Niemeńskiego, owego młodego magnata, kolegi z biura, który tak często dyktował jej przekłady cudzoziemskich depesz.

Młody człowiek prowadził ją pod rękę. Rozmawiając z bliska, śmieli się głośno oboje. Pan Sasin szedł cokolwiek z tyłu — nie mogąc niejako za młodymi nadążyć, zgarbiony jak zwykle, z kawałkiem cygara w pomarszczonej twarzy.

Jak wówczas, za pierwszym razem, gdy nie znał jej jeszcze, Gondziłł obrócił się parokrotnie za piękną kobietą, pełen radości i podziwienia. Nawet nie przyszło mu na myśl zazdrościć szczęśliwcowi, który w tej chwili jej towarzyszył. I — jak za tamtym razem — pochmurna twarz Omskiego nie rozjaśniła się ani na chwilę przy ukłonie. Równie obojętny i prawie niechętny wydał się przy tym spotkaniu ze swymi podwładnymi dyrektor Hennert. Za to pan Nutka skwapliwie opuścił swych towarzyszy i szybko dogonił tamtych. Wystarczyło mu przecież wzięcie pod rękę pana Sasina i nawet odprowadzenie go na bok na chwilę dłuższej gawędy. A młoda para pomknęła dalej aleją.

Dosięgli wreszcie trybun i rozeszli się każdy w swoją stronę.

Omski poszedł za Hennertem i ze swą zwykłą posępną miną pozwolił się przedstawić „jego paniom", które znał już dzięki informacjom Gondziłła. Były obie w ciemnych, prawie czarnych kostiumach, ubranych ręczną pletnią[53]. (Wbrew oczekiwaniu, Omski znał się na ubiorach kobiecych). Obie miały prawie jednakowe, małe kapelusze ze świecącej, czarnej słomki. Omskiemu wydało się, że córka już ładniejsza jest od matki. Była wyższa i okazalsza, miała zbyt małe oczy niebieskie, odziedziczone po ojcu, ale ozdobione radosnym wyrazem młodości, i dziecinny owal twarzy. Ona jednak nie zwróciła na niego wcale uwagi. Podała mu rękę krótkim sportowym gestem i zaraz powróciła do rozmowy ze swoim cudzoziemcem. Gdy Omski się obejrzał, Hennerta już nie było w loży. Usiadł przeto na wolnym krześle za matką.

Wszedł łatwo w swą rolę grzecznego towarzysza zabawy i wyjaśniał pani Hennertowej dalsze numery popisów. Z fragmentów ukazującego mu się raz po raz jej delikatnego profilu zauważył, że jest jeszcze ładna. To znaczy: już niemłoda.

Omski od razu poczuł się dobrze — jak zwykle w towarzystwie kobiet eleganckich i miłych. Pani Hennertowa wyraźnie pragnęła go ująć swoją dobrocią i wdziękiem. Żałowała, że poznali się tak późno. Wymieniła parę nazwisk pań, wspólnie znajomych, parę domów, w których również wspólnie bywali. Szczególnie, że dotąd nie spotkali się nigdzie. Tak się jakoś nieszczęśliwie składało. Istotnie.

[53] *pletnia* — tu: ozdobna taśma pleciona. [przypis edytorski]

Pułkownik konwersował łatwo i przyjemnie. Już przyrzekł, że weźmie udział w zbiorowej wycieczce za miasto (ach, byle tylko dopisała taka jak dzisiaj pogoda!), że wybierze się niewątpliwie na raut, zorganizowany przez generałową Chwościkową.

W loży tymczasem znalazł się jakoś młody Laterna. Miał coś do powiedzenia Anglikowi panny Hennert, a w następstwie i jej samej. Trwało to przecież krótko, i po chwili Laterna stanął w milczeniu nieco z tyłu, oparty o drewnianą ściankę loży, z rękami założonymi na piersiach. Omski miał wrażenie, że znów w ten sam niemiły sposób patrzy na niego — niby ponad głową jego śledząc wciąż innych koni te same wciąż biegi i skoki, na które już nikt, prócz chyba Wandy Hennert, naprawdę nie zważał.

— To człowiek bardzo zdolny i sympatyczny — powiedziała o nim pani Hennertowa.

Omski nie zaoponował, chociaż innego był zdania. Zauważył już, że pani Hennertowa o każdym miała do powiedzenia coś dobrego. Ten życzliwy stosunek do ludzi podobał się Omskiemu. Była w tym jakaś prawdziwa kobiecą dobroć.

Teraz znowu weszły do loży nowe osoby i sprawiły pewne zamieszanie. Był to pan Sasin z córką. Blask jej efektownej urody przyćmił od razu obie, znajdujące się w loży, kobiety; stały się nagle jakieś mniejsze, szare i nieznaczne.

Pułkownik powstał, by ustąpić miejsca pannie Elżbiecie, do której zwróciła się zaraz pani Hennertowa z tym samym ujmującym, ogromnie miłym uśmiechem. Po krótkiej rozmowie panna Sasinówna również przyrzekła wziąć udział w zbiorowej wycieczce za miasto i wybrać się na raut generałowej.

Zazdrość

Nagle Omski spochmurniał. Przez pełną już lożę przecisnął się ze swobodą ów starszy jegomość, którego też pokazywał mu był w parku Gondziłł. Nazywał się Sednowski. Był to ten, którego Gondziłł nazwał wielbicielem pani Teresy — i to w sposób coś gorszego insynuujący, a nawet zupełnie plugawy, co w tej chwili dopiero niemile dotknęło pułkownika.

Pan Sednowski podszedł do pań i rozmawiał z nimi poufale, z bliska, jak ktoś domowy — znowu naturalnie o tej wycieczce za miasto i raucie generałowej Chwościkowej. Omski poczuł kolnięcie nienawiści w sercu. W tej samej chwili postanowił, że nie pójdzie ani tu, ani tam.

Musiał to przyznać, że pan Sednowski miał powierzchowność bardzo dobrą. Wysoki, tęgawy, o rysach po sybarycku rozmiękłych, lecz regularnych, pełen był widocznego zadowolenia z siebie. Szeroki w gestach i dość głośny, odzywał się i spoglądał z jakąś pobłażliwą, wesołą wyższością, protekcjonalnie, można by powiedzieć — po pańsku. Widziało się, że tego poczucia wyższości nie potrzebuje wcale motywować; było mu ono wrodzone, z góry dane — i wątpliwości zgoła nie nasuwało.

Omski gniewał się, nie wiedząc o co. Nic go to przecież nie obchodziło. Ale ta pani Hennertowa — taka miła, delikatna, taka jakaś szlachetna, właśnie, szlachetna — że też mogła pozwolić na... Choćby na ten ton. Niechajby sobie tak mówił do Sasinówny, ale nie do niej! „Pani Tereniu" — tak do niej mówił ów „wielbiciel". Pani Tereniu!

Sprawy popisów miały się już ku końcowi. Całe trybuny były teraz w ruchu. Rozebrzmiał chrobot setek podeszew po drewnianych pomostach nad próżnią.

Usuwając się pod naporem otoczenia — bo w loży zmieścił się jeszcze pan Hennert i pan Nutka — zagniewany pułkownik cofnął się ku wyjściu, tak iż stanął tuż obok młodego Laterny.

Ten patrzył wprost na niego już całkiem niewątpliwie. Omski widział tego człowieka po raz pierwszy w życiu i nie miał pojęcia, czym mógłby go zainteresować.

— Czy pan ma mi coś do powiedzenia? — spytał wreszcie zniecierpliwiony.

Tamten poderwał się ze skwapliwością.

— Tak — odrzekł całkiem nieoczekiwanie.

— Tak? — Omski starał się zachować obojętność. — I cóż mianowicie?

— Pańska narzeczona — zaczął mówić Laterna z niezgrabną, ironiczną elegancją — to jest raczej...

Omski uczuł, że się przykro czerwieni. Był tak zaskoczony.

— Kto taki? — spytał.

Powstająca już pani Hennertowa spojrzała w tę stronę z zaciekawieniem.

— Nie, bo ja mam właściwie dla panny Olinowskiej wiadomość i tylko chciałem skorzystać z tej sposobności. Powróciła tutaj jej ciotka i nie wiedziała, jak jej szukać. W tych dniach. I jest w szpitalu.

— Ciotka Basi? — odezwała się z wesołością panna Elżbieta. — To jest na pewno pani Lipska.

Niewinna zupełnie w istocie swej wiadomość wytworzyła pewien nastrój prawie rodzinny, który nie był po myśli pułkownikowi.

Zapytał młodego człowieka o szczegóły i w suchych słowach zapewnił, że nie omieszka donieść ich w najkrótszym czasie pannie Olinowskiej. Jednocześnie widział, jak raz po raz obraca się ku niemu roześmianą twarzą Sasinówna, sunąca z wolna z tłumem obok Hennerta i żywo mu coś tłumacząca.

9

Wcześnie rano, umyta zimną wodą, otrząsająca się jeszcze od przerwanego przez budzik snu, Basia Olinowska wyszła z domu do biura. Mogła iść piechotą, miała dosyć czasu.

Wiosna

Głąb cichej ulicy była biaława od lekkiej mgły wiosennej. Białe też było słońce, zalewające jezdnię drewnianą i kamienne chodniki. Miły chłodek ział z cienia kasztanów, kwitnących koralowymi kwiatami.

Była to wielka radość — móc tak iść i być zupełnie samą wobec kwitnących drzew i białego słońca. Wobec wiosny i jej, dech odbierającego, wzruszenia.

Ulica weszła między ogrody. Poprzez żelazne kraty ogrodzeń widać było nad jasnozielonymi trawnikami kwitnące wszędzie, wszędzie bzy. Bzy białe, sztywno tkwiące na końcu prostych pędów wśród ciemnych liści, i bzy czerwone, które za tydzień dopiero będą fioletowe, puszyste i upalnie pachnące, a teraz są jeszcze twarde i zaledwie odemknięte. Teraz — o tej najcudowniejszej chwili roku.

Teraz i Basia wiedziała, że można podważyć leżący na piersiach ciężar losu, że można odgiąć się jeszcze i żyć. Ciało zmęczyło się już smutkiem i oczy nie chciały, nie mogły więcej płakać. Po umarłych rodzicach, po utraconym domu.

Teraz stała się kimś innym. Daleko silniej niż zmianę losu uczuwała tę zmianę siebie.

Wtedy miniony ów świat wydawał się jedynym możliwym. Był punktem wyjścia wszelkiego sądu, miarą i prawem. Teraz, gdy poznała to inne życie, widziała jasno, że tamto, utracone, było tylko jakimś najdroższym, żałosnym dziwactwem, czymś tak nierzeczywistym, że aż komicznym.

Dom, Rodzina, Sługa, Sielanka, Miłość

Ach, jakiż to był ten dom i ona w nim — dom, przesycony najcieplejszym światłem kochania. Żyło się tam w jakimś puchu cichej szczęśliwości, wśród wymyślnych, drobniutkich wygód życia, zapewnianych sobie nawzajem, w nieustannej trosce o tych dwoje drugich, w słodkim niepokoju, we wstydliwym zamknięciu przed wzrokiem świata.

Oto najważniejszą rzeczą z rana było, czy aby papcio zechciał wypić śmietankę, z wieczora ustawioną na stoliku przy łóżku. Jeżeli wypił — dzień rozpoczynał się pomyślnie, inny zupełnie był humor w domu, inne uśmiechy i pocałunki. Później Basia skrycie wąchała kieliszek przy łóżku mamy. Jeżeli nie pachniał eterem, to znów cieszyli się wszyscy, że nie miała nocą niepokojów serca i nie brała kropel. Przed śniadaniem, które mama piła w łóżku, nowy obrządek, nowa cała heca: papcio własnoręcznie wyciskał maszynką do szklanki sok z kilku pomarańcz, by w nich przemycić zaleconą mamie cytrynę, a mama z jękami i otrząsami wypijała wreszcie ten nektar — po to tylko, by im dwojgu nie robić przykrości.

Potem szły godziny dnia. Każde polowanie papcia, każda konna przejażdżka Basi — to było źródło śmiertelnych niepokojów. Powroty stawały się uroczystościami. Witano się z ulgą, radością, jak po dalekiej podróży, tając przed sobą nawzajem trwogi doznane, by nie krępować najdroższych i nie psuć im zabawy.

Różne małe kaprysy i słabości, różne dziwactwa i przyzwyczajenia jednego były dla drugiego najświętszym prawem, doskonale przyswojoną wiedzą. Każdy miał przy stole swoją ulubioną filiżankę, inaczej parzoną kawę, inaczej przyprawioną sałatę. Wszyscy o tym pamiętali, przestrzegali surowo, pieścili się tym i cieszyli.

Goście, nauczycielki, domownicy wciągani byli w ów systemat troskliwości, pamiętliwości, pieczołowitości. Wszyscy dzielić musieli te niepokoje, uszczęśliwienia i zachwyty.

Służba stawała się podobna do państwa. Ach, ta najlepsza staruszeczka, niezapomniana Marianna, kucharka, która pieściła potrawy jak żywe stworzenia. Mówiła o nich, że „każda rzecz potrzebuje swojego". Bigosik „lubił" trochę madery[54], kawa „lubiła" świeże do siebie bułeczki, nawet indyk coś jeszcze po śmierci „lubił", żeby lepiej państwu smakować. Marianna pamiętała wszystkie osóbki, kaprysy i idiosynkrazje[55]. Bigosik, lubiący maderę, robiono rzadko, aby nie wodzić na pokuszenie mamy, której szkodził na artretyzm. Ciasteczka kruche o niezrównanej konsystencji podawano w trzech gatunkach, by każdemu dogodzić. A nadzienie, lubiane przez kurczęta, to naprawdę był poemat. Po kilkudziesięciu latach służby staruszka co dzień drżała, czy aby dogodziła państwu.

Krąg światła z komina w jadalni był horyzontem świata. W długie samotności jesienne, w wieczory zimowe, jedyni, zdani tylko na siebie, hodowali tak swe dziwaczne, przesadne uczucia. Obmyślali wzajemne podarunki, niespodzianki, niezliczone malutkie szczęścia. Życie intymne rozświetlało się wewnątrz, pęczniało ponad miarę. Rodziło wyłączność egoistyczną, pogardę nieświadomą dla reszty świata. Dobrotliwie lekceważono sąsiadów, gości, nawet dalszą rodzinę. Tych troje nawzajem najukochańszych nie wchodziło w żadne zestawienia, w żadne porównania z innymi. Każde z nich było najważniejsze w świecie dla dwojga pozostałych.

Przemiana, Sierota

Teraz Basia była kimś innym.

Teraz mogła budzić się w pustym pokoju, gotować herbatę na maszynce dla siebie samej, spieszyć się do biura. Nikt nie przygotował puchowych pantofelków przy łóżku, nikt wcale nie pomyślał, co przed wyjściem zjadła. Życie i cała dusza przemieniły się do samego dna. Minęły tylko niedługie lata i zmiotły z ziemi wszelki ślad. Nawet w sercu nic z tego nie zostało jako wartość. Została tylko pamięć i niedowierzanie.

I oto przyjechała ciocia Lipska i jest w szpitalu.

Ciocia Lipska — wesoła wdowa, tęga, o szerokich ramionach i grubych rysach, zawsze trochę rozczochrana. Jakaż to radość była, gdy przyjechała. Miała humor rubaszny, wyśmiewała zwyczaje, panujące w domu siostry: „Wy wszyscy patrzycie się tylko nawzajem w swoje żołądki. Nikt u was nie ma sam kataru; jak jedno kichnie, to drugie uciera sobie nos, jak kogo zaboli brzuch, to jęczą wszystko troje".

Śmiała się z nich. Ale gdy przyjeżdżała, musiała być dla niej sałatka specjalnie przyprawiona bez oliwy, tylko z tartymi żółtkami.

Tak, to był niemożliwy, sztuczny świat, zamknięty w szklanej bani, zawieszony ponad zupełną próżnią.

A teraz Basia była jak ci inni — tajemni, nieznani dawniej ludzie pracy. Miała co jeść w zamian za pożytek, który z pracy jej wynikał dla innych. Robiła coś, co niewątpliwie było pożyteczne — tak sądziła. Nikt dla niej się nie poświęcał, nikomu nie była za nic wdzięczna. To była niezależność. Uważała ją za moralne źródło siły, dającej jej żyć — i jeszcze życiem się cieszyć.

Myślała nieraz o tamtym czasie minionym, o dawnym domu. Myślała źle i niechętnie. Umiała już teraz zdobyć się na potępienie. Cóż, że mówiono o nich wtedy, jako o ludziach najzacniejszych w świecie, że kochała ich służba, że nawet chłopi... Tak żyć — to był grzech, grzech...

Nie wiedziała tylko, czy to obecne, ta twardość, ta pewna oschłość uczucia — czy to było już gotowe w niej tamtej. Czy ona wtedy — pieszczona, psuta, owinięta najtkliwszą miłością, odgrodzona nią jak murem od prawdy — była już wewnątrz taka jak dziś.

Nikt tego na pewno nie czuł w niej wówczas ani ona sama. A przecież ten cały stosunek do życia nie mógł wytworzyć się nagle — bez gotowego gruntu, tylko z powodu samej zmiany losu. Właśnie dlatego zdołała przetrwać wszystko, że już wtedy była inna niż tamci najbliżsi.

— Dzień dobry, Basiu!

Przystanęła i pozwoliła się dogonić Elżbiecie Sasinównie. Były już przed gmachem, w którym mieściły się biura. Wesołe słońce leżało na szerokiej, renesansowej fasadzie. Na trawnikach przed oknami ogrodnik polewał z hydrantu kwitnące irysy.

[54] *madera* — wzmacniane wino portugalskie, słodkie lub wytrawne, produkowane na Maderze. [przypis edytorski]

[55] *idiosynkrazja* — różnica, cecha wyróżniająca. [przypis edytorski]

— Jak się ma pani Lipska? Byłaś wczoraj w szpitalu?

Witały się jak przyjaciółki, znały się bowiem od dziecka. Pan Sasin był przed laty nadleśnym[56] w lasach pana Olinowskiego.

Basia naturalnie była w szpitalu i powiedziała, że z ciotką jest bardzo niedobrze. Mają robić operację i jakoś nie robią. Ciocia wygląda jak staruszka.

— Widziałam znowu twego pułkownika — mówiła Ela. — Wiesz, u Hennertów...

Basia minęła rozwarte szeroko drzwi od sali maszynistek. Było tam, jak zawsze, ładnie, jasno, pełno słońca i kwiatów. Na stolikach sterczały ze szklanek i butelek z wodą pęczki narcyzów i gałęzie bzu.

Korytarze i sale pełne już były rozbierających się z płaszczy i witających ze sobą nawzajem urzędników. Rozpoczynało się życie biura.

Praca, Urzędnik

Basia — poważna, spokojna, poprawna — uważana za pracowniczkę wzorową, weszła do swojej sali i zabrała się do roboty. Z szuflady wyjęła teki i rozłożyła je na poplamionym, wiśniowym suknie biurka. Łokciami oparła się na stole, wzięła głowę w obie ręce i pochyliła ją nad papierami.

Przez różne drzwi wchodzili interesanci, urzędnicy, maszynistki, woźni; zbliżali się do różnych biurek, mówili prędko, z bliska, przyciszonym głosem, składali i odbierali papiery, załatwiali jakieś swoje sprawy, odchodzili. Wielka sala pełna była płynnego ruchu, szeptanych rozmów, przytłumionych sporów i perswazji. Basia musiała zatykać uszy, marszczyć czoło, by skupić myśl. Gdy podniosła oczy, gniewnie z natężenia uwagi, spotykała się z takim samym wejrzeniem siedzącego naprzeciw urzędnika, którego biurko stykało się grzbietem z biurkiem Basi.

Praca, Kobieta

Było tu zupełnie inaczej niż w sali maszyn. Widać było jakąś histerię w rodzaju tej pracy — pospiesznej, gorączkowej, męczącej. Tu się denerwowano, „wyłażono ze skóry", tracono zdrowie i humor. Urzędnicy palili mnóstwo papierosów, posypując sobie popiołem zniszczone ubrania, wsuwali za rękawy brudne i wystrzępione mankiety, spieszyli się i niecierpliwili. Kobiety były tu starsze, surowe, gorzej ubrane, chociaż zarabiające więcej, przywalone obowiązkami i troskami. Wiele z nich miało wyższe wykształcenie i wyższą rangę od kolegów mężczyzn.

Tu były zadania do rozwiązania, konieczność szybkiej decyzji i wzięcie za nią całej odpowiedzialności.

Po prawej ręce Basi siedziała za swym biurkiem pani Bielska, kobieta przeszło trzydziestoletnia, blada i chorowita. W godzinach popołudniowych miała jeszcze inną posadę w biurze prywatnym. Utrzymywała sama trzech synów, chodzących do szkoły. Pracowała ciężko, miewała migreny, zawroty głowy, bicie serca. Zażywała wciąż jakieś proszki, które miały przykry zapach, unoszący się wokół niej jak sfera. Basi tłumaczyła, że pensja jej męża, majora, nie wystarcza mu nawet na reprezentację.

Praca jej była sumienna, gorliwa, ale dziwnie bierna. W każdym wypadku okazywało się, że zrobiła wszystko, co do niej należało — ale poza tym nic dla istotnego załatwienia sprawy. Nie miała wcale poczucia związku między działalnością biura a życiem rzeczywistym. Zbywało jej na inicjatywie, na jakiejkolwiek energii. Z podziału zajęć wynikało, że wszystkie te niedociągnięcia i zaniedbania wykończać musiała Basia.

Gorsza od owej majorowej była najbliższa pomocnica Basi, panna Stefa. Również zdeklasowana przez zmianę losu, rozpieszczona, rozbawiona, wyraźnie grawitowała ku sali maszyn. Uczyniła była wszystko, by ową posadę dostać, przedstawiała najlepsze referencje, dyplomy, miała ze wszystkich stron poparcie, zapewniała, że da sobie radę. Przyjęta wreszcie — od razu utraciła tę niewątpliwą wiarę w siebie. Ze wszystkim przychodziła do Basi — niby po wskazówki.

— Niechaj pani zobaczy, co się tu porobiło. To jest za trudne, ja tu nic nie rozumiem. Tu jakoś wszystko się poplątało... — waliła się na nią całym ciężarem swego lenistwa.

O dwunastej przynoszono urzędnikom herbatę.

Trzymając w prawej ręce pióro lub konwersując z interesantem, lewą dobywali jednocześnie kanapkę z papierowej serwetki, pogryzali i popijali, nie przerywając pracy. To jedzenie wśród papierów, kurzu i zamętu raziło z początku Basię. Teraz jednak jadła jak inni, z doskonałym apetytem.

[56] *nadleśny* (daw.) — nadleśniczy. [przypis edytorski]

W łańcuchu wchodzących i wychodzących osób zobaczyła Basia nadciągającą z wolna starą hrabinę Oskienną.

Zrujnowana przez wojnę kresową arystokracja przewijała się tu często. Zdezorientowani, oszołomieni, przychodzili załatwiać jakieś smętne swoje sprawy, szukali poparcia, ofiarowywali młodemu, demokratycznemu państwu swoje służby. Ich przesadna, salonowa uprzejmość przy brudnych kołnierzykach i zdeptanych butach wydawała się natrętnym pochlebstwem.

Hrabina Oskienna przychodziła jak inni. Była to dawniej osoba szeroko znana i szanowana, strasznie bogata, trzymająca krótko rozrzutnych wnuków, skąpa dla siebie i swoich, a uczynna dla obcych. Służba ją ubóstwiała, a krewni obmawiali. Chodziła wówczas ubrana w gruby, skórzany kaftan, w męskie buty, zaniedbana, zdziczała, uparta. Na tle starego pałacu, odwiecznej służby i zabiegającej o łaski rodziny — było to tylko wielkopańskie, z miłą pobłażliwością traktowane dziwactwo.

Dziś — zrujnowana zupełnie, w futrze mimo wiosny i pantoflach zabłoconych mimo pogody, w filcowym kapeluszu z przekomiczną „fantazją" — przychodziła błagać jakiegoś referenta o ułatwienie podróży dla swego również zrujnowanego wnuka przez poselstwo czy konsulat. Była to rzecz w danych warunkach niemożliwa. Sprawa sprowadzała się do zwykłej prośby o pieniądze, o cenę biletu, była wprost nieprzyzwoita i bezwstydna. Uboga dama nie zdawała sobie z tego sprawy — ona, która dawniej tyle robiła dla innych.

Referent odmawiał — nie po raz pierwszy, tłumaczył grzecznie i dość cierpliwie, ona zaś nalegała z uporem, z wypiekami na białej, tłustej twarzy. Gdy wreszcie zaczęła mu mówić „kochasiu", lekko powstał, dając poznać, że rozmowę uważa za skończoną — on, który tak niedawno nie mógłby marzyć o zaszczycie zasiadania przy jej stole.

Basia widziała to i sądziła surowo. Oto jest zemsta losu. Oto dowód, jak strasznie nierzeczywiste było wszystko tamto — ten świat jak szklana bania, zawieszony ponad próżnią.

Pani Oskienna podeszła przywitać się z Basią — uśmiechnięta tym swoim zupełnie nowym, niepewnym, zabiegającym o wyrozumiałość uśmiechem.

— Basieczko kochana — zaczęła, zionąc na nią zaduchem niewietrzonej garderoby i niedokładnie mytego, starego ciała. — Ja nie przeszkadzam, ja tylko...

Czuła, że właśnie przeszkadza, że jest niepożądana i natrętna — i dlatego tak mówiła. Bo nie traciła nadziei i szukała poparcia choćby u tej małej Olinowskiej, która — kto by pomyślał...

Więc nie przeszkadza. Chce tylko dowiedzieć się o zdrowie tej kochanej, tej biednej Niusi Lipskiej — i zaraz ucieka.

Nie uciekała jednak. Usiadła nawet — niezaproszona — tylko by ulżyć starym, zmęczonym nogom. A raz usiadłszy, mówić zaczęła bez zwłoki o swojej sprawie, której szczegóły Basia znała już nazbyt dokładnie.

Basia spojrzała na zegarek i wstała.

— Przepraszam, pani hrabino, ale właśnie w tej chwili muszę iść do dyrektora. Tak, do dyrektora Hennerta.

Na dźwięk tego nazwiska twarz staruszki zajaśniała nowym blaskiem nadziei.

— Do dyrektora Hennerta, mój Boże! Czybyś nie mogła, kochasiu...

Ale Basia już się jej wymknęła. O godzinie pierwszej istotnie miała stawić się w jego gabinecie dla omówienia szczegółów i warunków nowej swojej pracy.

Była to w jej życiu urzędniczym wielka zmiana i zarazem przyczyna radości i dumy — to wezwanie. Jeden protokół z posiedzenia i parę przekładów zwróciły na nią łaskawą uwagę. Dyrektor cenił dobry styl i zechciał dać jej miejsce sekretarki przy swojej osobie.

W korytarzu zmieszała się z tłumem oczekujących. Miała być przyjęta nie w kolei, posłała przeto przez woźnego kartkę z paru słowami i czekała spokojna, pewna swego. Wbrew spodziewaniu, woźny powrócił i powiedział, że szef prosi ją na godzinę dziesiątą nazajutrz. W czasie krótkiej chwili, gdy drzwi gabinetu były uchylone, ujrzała tam stojącą pośrodku Elę Sasinównę.

Przemiana

Wracała powoli z niejasnym uczuciem doznanego niepowodzenia. „Jak ona wyładniała", pomyślała teraz dopiero, mając wciąż w oczach wysmukłą sylwetkę Elżbiety, widzianą przez sekundę w wąziutkiej ramie drzwi, jej hardy profil i roześmiane usta. Ta sama —

chuda, czarna, lękliwa dziewczynka, przywożona kiedyś co niedzielę z leśniczówki dla wspólnej zabawy, obdarowywana zmiętymi lalkami i zepsutymi zabawkami.

Nic dziwnego... „Widziałam znowu twojego pułkownika, wiesz, u Hennertów", tak powiedziała.

Basia weszła do swej sali i z ulgą zobaczyła, że hrabiny Oskiennej już tam nie ma.

„Wszystkie zmieniłyśmy się jakoś", pomyślała, siadając przy biurku i biorąc pochyloną głowę w obie ręce.

IO

Spotkanie, Społeczeństwo, Obyczaje, Elita, Zabawa, Gość

Wbrew nadąsanemu postanowieniu, Omski wziął udział w wycieczce zamiejskiej, urządzonej przez panią Teresę, i kupił bilet na raut generałowej Chwościkowej.

Samo się to jakoś zrobiło, że należał teraz do świty pań Hennert, matki i córki — wraz z Anglikiem Curllem, porucznikiem Linem i panem Sednowskim. Młody Laterna nie pojawiał się więcej w tym towarzystwie.

Po złożeniu pierwszej wizyty z rękawiczkami w dłoni i twardym rzemieniem przez piersi, pułkownik od razu się zadomowił. Dostarczał kwiatów do ozdoby salonu, karmił ciastkami szarą charcicę Klingę, doradzał, co zrobić z resztą wieczoru; stał się cenionym i zaufanym przyjacielem pani domu, dość z dala trzymającym się od panny. Parę razy na tydzień bywał na obiedzie lub kolacji — niekiedy nawet w ściśle rodzinnym gronie.

Nie od razu przywykł do panujących tam zwyczajów, które były wesołe.

Po kolacji zasiadano w małym salonie. Był zawsze pan Nutka, pan Sednowski, porucznik, Curll, panna Elżbieta, często jeszcze jakaś mała przyjaciółka Wandy. Słuchano egzotycznych melodii Anglika, który grał chętnie na żądanie, pito do kawy przedwojenne likiery i koniaki, jedzono wszelkie słodycze, nawet chałwę i rachatłukum[57]. W kącie pokoju, na wolnej od dywanu przestrzeni, Wanda z Linem tańczyła prześliczne figury tanga, wpisując je bez trudu w czworobok nie większy od powierzchni stołu.

Na prośby pana Hennerta Elżbieta stawała przy fortepianie i w takt akompaniamentu Curlla śpiewała arie z nowych operetek.

— Co za temperament, co za temperament — mówił Hennert do pana Sednowskiego.

Pięknej dziewczynie płonęły oczy, grały rytmem ramiona i biodra. Krople światła sypały się z jej palców, ubranych pierścieniami. Wyuzdane słowa kupletów[58] śpiewnie płynęły z jej ust. Melodia muzyki krążyła jak krew po jej ciele, które całe biło pulsem rytmu.

— Na scenę, prosto na scenę! — bił oklaski rozpromieniony pan Nutka.

— A teraz napije się pani jeszcze kawy — częstowała pani Teresa.

Omski siedział jak na przedstawieniu. Oto właśnie Hennert cieszył się, że panna Ela utyła — i odsuwał rękaw jej złotawej sukni, jak się dało najwyżej, by wszystkim to unaocznić.

Pani Teresa patrzyła uważnie.

— Tak, tak, utyła pani. I bardzo pani z tym ładnie — mówiła ze swym ujmującym uśmiechem.

Omski obserwował panią Teresę, poszukując czegoś na jej twarzy. Czyżby naprawdę nic jej w tym nie raziło? Była taka inna od swego otoczenia, taka spokojna i szlachetna. I wcale jak gdyby o tym nie wiedziała, nie zdawała sobie sprawy z tej różnicy.

Hennert znowu odwijał ten sam rękaw Elżbiety — tym razem po to, by jej rękę wysoko ponad łokciem ucałować.

Szeroko rozsiadły z drugiej strony pan Sednowski, mniej skory do romantyzmu, gładził tylko wielką ręką jej smagły kark — gestem ojcowskiej pobłażliwości czy zachęty.

Ona opędzała się niedbale. Obie ręce bowiem zajęte miała obieraniem mandarynki nad talerzykiem, który trzymała między kolanami.

— No, dosyć, ojej! Bo stłukę talerzyk, jeżeli zaraz nie przestaniecie.

Nie przestawali jakoś.

---

[57] *rachatłukum* — tradycyjna turecka galaretka owocowa. [przypis edytorski]

[58] *kuplet* — dwuwierszowa poezja o charakterze pieśniowo-tanecznym, charakterystyczna dla francuskiej poezji średniowiecznej. [przypis edytorski]

— Młodość, młodość! — cieszył się pan Nutka.

Nastrój naprawdę był zupełnie rodzinny. Wanda z przyjaciółką siedziały na jednym fotelu, trzymając się wpół, i patrzyły. Pani Teresa — spokojna i pogodna — zajmowała się nalewaniem czarnej kawy do filiżanek.

Curll przestawał grać i obracał życzliwie ku rozbawionym swe oczy poważne i niebieskie.

— Może naprawdę nie ma w tym nic znów takiego — pocieszał się niejasno Omski.

Był nie wiadomo dlaczego rad, że i Sednowskiemu podobała się Sasinówna.

Tak bawiono się zresztą tylko w gronie najbliższych. Na większych przyjęciach i *five'ach*[59] Elżbieta skromnie usuwała się na dalsze plany. Nawet jej uroda nabierała wtedy bardziej dyskretnego charakteru.

W pewnym dniu tygodnia przez duży i mały salon Hennertów przewalały się tłumy ludzi. Na ulicy przed bramą hukały samochody, w przedpokoju wisiały na kołkach płaszcze i czapki, pełne szychów i różnokolorowych tasiemek. Dyplomacja swoja i obca, nazwiska najlepszego kalibru i zwłaszcza pieniądze, pieniądze. Były to wciąż te same oblicza, które Omski znał z dziesięciu innych eleganckich domów, gdzie także bywał.

Mógł teraz podziwiać wielki życiowy i towarzyski talent pani Teresy. Jakże wszystko szło składnie, jak weseli i zadowoleni byli wszyscy. Stali, siedzieli, przechodzili, gwarzyli, zatrzymywali się, witali i żegnali. Wciąż coś się działo, odbywało w najwyższym stopniu i bezustannie. Po dwóch, trzech godzinach znikali wszyscy, jakby ich nigdy nie było.

I znów zasiadało do stołu szczupłe grono najbliższych, którego skład zaledwie nieznacznie się zmieniał.

Raz wreszcie zdarzył się, niemiły Omskiemu, młody Laterna. Powrócił z jakiejś podróży po kraju i tym wytłumaczył swą dłuższą nieobecność.

Przyszedł z Curllem dość oficjalnie, w dzień przyjęć. Mimo pozornego braku obycia, okazało się, że ma wielu znajomych w rozmaitych kołach towarzyskich, reprezentowanych u Hennertów. Pani Teresa witała go serdecznie, a później zatrzymała na wieczór. Chętnie przystał.

Do najbliższych należał tego dnia jeszcze młody pan Niemeński, zaszczycony zaproszeniem Hennerta, swego zwierzchnika.

Taniec, Erotyzm, Młodość

Po kolacji Curll musiał grać wyłącznie do tańca, gdyż Elżbieta życzyła sobie tańczyć z panem Niemeńskim, do czego dotąd nie miała wcale sposobności. Leniwy i znudzony młodzieniec uległ pokusie, chociaż musieli obijać sobie boki, kręcąc się z Wandą i Linem na zbyt małej przestrzeni.

— No to każę zdjąć dywan, jeżeli państwo naprawdę chcecie tańczyć — zatroskała się pani Teresa.

Wcale nie chcieli naprawdę. Tak było dobrze, właśnie tak.

Elżbieta śmiała się i z odchyloną głową patrzyła głęboko w przymrużone oczy swego tancerza. W tańcu jej było to samo, co w jej śpiewie.

— Szampańska dziewczyna — mówił z bliska Hennert do Sednowskiego. — Ale diabelnie droga...

Pani Hennertowa rozpytywała Laternę o zdrowie jego siostry. Zmartwiła się, słysząc, że znów ma się gorzej, chociaż nie znała jej wcale.

— Pan się nie bawi, panie pułkowniku — zwróciła się nagle do Omskiego.

Uśmiechnął się bezbronnie w świetle jej kryształowego spojrzenia.

— Jest mi tak dobrze... — powiedział.

Gdy przestali tańczyć, Laterna podszedł do Lina i wdał się z nim w dłuższą rozmowę.

Porucznik ocierał pot z czoła i z żywą uwagą słuchał opowiadania Laterny o wrażeniach z podróży. Młoda, szczupła twarz chłopca powlekała się wyrazem powagi i troski.

Laterna wracał z Kresów, gdzie właśnie... Tam widzi się dopiero, do czegośmy doszli, co okupiliśmy takim kosztem — za cenę potoków krwi.

Porucznik także już o tym myślał. Białorusini, Ukraińcy — przecież to zupełnie to samo... Teraz decydują „względy państwowe", teraz się już przestało mówić o wyzwoleniu ludów... I to Polska, która przez tyle lat wiła się w kajdanach niewoli (porucznik

[59] *five* a. *fajf* — popołudniowa potańcówka, rozpoczynająca się około 17.00. [przypis edytorski]

był poetą) — teraz sama... Więc po to się walczyło... Więc to tym właśnie jest niepodległość... Tutaj w więzieniach zamknięci siedzą ludzie — tylko za wyznawanie najwyższych, najszlachetniejszych idei... I nikt nie protestuje, i wszyscy milczą!

Laterna krótkimi przytwierdzeniami zachęcał porucznika do wywnętrzeń, nie ciesząc się jakby wcale z odnalezienia tutaj współwyznawcy. Z niemiłą ironią, z wyższością pobłażliwą niby to koił, w istocie zaś jątrzył młode wrzenie.

— To jest w porządku. Taka jest Polska. Nic innego nie należało oczekiwać.

Rewolucja, Państwo, Polityka, Idealista

Zwrócił był już dawniej uwagę na tego młodego chłopaka — rozczarowanego, ideowego, zadzierzystego[60]. Wiedział o nim, że mimo tanecznego usposobienia do spraw świata odnosi się z powagą, że jest naturą „głębszą", skłonną do złudzeń i zawodów. Podczas wojny pisywał wiersze, z których wynikało, że śmierć dla ojczyzny jest lepsza od jakiejkolwiek innej. A teraz już żałował niekiedy, że nie przyszło mu zginąć wówczas — jak tylu, tylu innym.

Takich szukał — ale wiedział, że ta kategoria potrzebna jest tylko na pierwszą chwilę wrzenia, że przydać się może do pierwszych podniosłych, deklamacyjnych drgawek przewrotu, kiedy trzeba jeszcze haseł dla zmagnetyzowania[61] i ujarzmienia tłumów. Tacy już nazajutrz mieliby wątpliwości, czy wskazane jest stosowanie terroru dla szerzenia idei, cierpieli nad militarnymi koniecznościami rewolucji, piętnowali hańbę kompromisu ze zwalonym porządkiem rzeczy, oburzali się na „względy państwowe"... Tacy dobrzy są do robienia rewolucji, ale muszą być przez nią pożarci w samym dniu zwycięstwa, iść do więzień, skazani na ciche uprzątnięcie.

Nie lubił materiału „ideowego", ale na razie musiał go cenić. Usiadł z Linem na boku i zapytywał go, czyby nie zechciał, czyby nie mógł... Bo wobec tego, że w Polsce za samą ideę idzie się do więzienia, że cierpi się prześladowanie, tortury, że zdarzały się nawet ukartowane, niby przypadkowe, zabójstwa... Że w tej odzyskanej, niepodległej ojczyźnie zostały zachowane bez zmiany haniebne instytucje caratu — żandarmeria, policja, szpiedzy...

Curll zbliżał się do nich. Z sympatią patrzył na obu, węsząc subtelną intuicją te sprawy. Nie rozumiał ich słów, ale czuł, co się tu gotuje. I sprzyjał.

— Wszystko nic nie znaczy, póki jest Azja — mówił do Laterny. — Sowiety zawalą się bez Azji. Nie powinny patrzyć na zachód, gdy mają przed sobą cały wschód... Nic nie jest pewne, póki komunizm nie przegryzie kolonii. Indie, Indie: oto pierwsze zadanie... Bogaty, cudowny kraj; gotowy, ofiarowujący się sam, łaknący wyzwolenia spod brytańskiego jarzma.

Laterna znał i tę mrzonkę. Obiecywał, nastrajał. Wszystko było mu dobre — zarówno ideowy patos naiwnego, zawiedzionego w miłości dla Polski, oficera, jak dalekie polityczne plany irlandzkiego arystokraty i monarchisty, przebiegającego świat bezimiennie za wizją zmartwychwstałej i potężnej swojej ojczyzny, utęsknionej, nieszczęsnej Kathleen[62]...

II

Basia była zdziwiona, nazajutrz bowiem i dni następnych dyrektor wciąż nie miał czasu, by ją przyjąć.

Pani Bielska tego dnia pracowała gorzej niż zwykle, a wkładała w tę pracę wysiłek, który zmęczoną jej twarz powlekał wypiekami. Przed śniadaniem uskarżała się przed Basią na ciężary życia wojskowego. Oficer musi bywać wszędzie, musi utrzymywać stosunki z ludźmi, brać udział w uroczystych obiadach, zjazdach, obchodach, płacić składki, ciągłe składki, musi przyzwoicie wyglądać, by nie obniżać prestiżu armii. Ale skąd wziąć na to wszystko, skąd?

Żołnierz, Pieniądz, Bieda

Ostatnio majorostwo znowu musieli sprzedać mahoniową toaletę, której pani Bielska nie mogła odżałować. Miała w każdej szufladzie tyle przegródek, że teraz wciąż jest nieporządnie, nie ma gdzie pochować wszystkich drobiazgów. Na blacie i na ramach były inkrustacje, lustro podłużne, nogi ciężkie, ślicznie wygięte. Odkąd sięgnie pamięcią,

[60] *zadzierzysty* — skłonny do zaczepki. [przypis edytorski]

[61] *zmagnetyzować* (daw.) — zahipnotyzować. [przypis edytorski]

[62] *Kathleen* — zapewne chodzi o Kathleen Ni Houlihan, mityczny symbol irlandzkiego nacjonalizmu, obecny w literaturze i sztuce, niekiedy przedstawiający Irlandię jako uosobienie kobiety. [przypis edytorski]

czesała się przed nim jej matka. Teraz jest moda na stare rzeczy, więc naturalnie chętnie to kupują i nawet płacą dobrze.

Pani Bielska popijała herbatą proszek na migrenę. Miała oczy zaczerwienione, a ręce jej drżały, gdy bezradnie przekładała na biurku papiery.

Na krótko przed wyjściem odwiedziła Basię Elżbieta, by ją poczęstować cukierkami. Całe wielkie pudło przyniósł jej do biura ten zabawny Niemeński.

Mówiła Basi z drwinami, że jej się oświadczył. Także! Miała jeszcze dosyć czasu na to głupstwo. Powiedziała też, że teraz gra na giełdzie i zarabia tym więcej niż robotą w biurze.

— Wyjdziemy razem, bo nie chcę, żeby mnie znów odprowadzał. Ktoś na mnie dzisiaj czeka, moja nowa flama[63], zobaczysz!

Basia znała go już z widzenia — tego śmiesznego, grubego i starego porucznika Gondziłła. Nie wierzyła ani na chwilę, by naprawdę podobał się Eli.

Na ulicy przed biurem, a nawet na schodach, stali często obcy mężczyźni, kochankowie albo narzeczeni pracujących tu dziewcząt. Witano się wesoło, z tą koleżeńską prostotą, którą wytwarza w kobietach niezależność, życie bez domu i obowiązków.

Omski nie przychodził po Basię nigdy. Uważała to z jego strony za dowód delikatności i szacunku.

Na Elżbietę istotnie znowu czekał Gondziłł. Wpadała w szaloną wesołość, widząc tę postać Sancho Pansy[64] w zalotach.

Przecież jednak nie była zupełnie okrutna.

Interes, Żołnierz

— Papa skarży się na pana — mówiła, rozwijając małą parasolkę na grubym kiju, bo spadać zaczęły pierwsze krople deszczu. — Pan im coś kręci. Przecież tu idzie o czas. Każdy dzień to może parę tysięcy straty... Pan widocznie jest bogaty, kiedy pan może tak tracić...

Była cudna, śpiewna swą postacią, ruchami, strojem. Wąskie jej pantofelki migały po trotuarze, szybko czerniejącym od wilgoci...

— I z Bielskim nic pan dotąd nie zrobił, prawda?

— Owszem, już dwa razy postawiłem mu kolację i przygotowałem grunt doskonale.

— Grunt! — śmiała się Elżbieta. — Grunt zawsze jest gotowy, trzeba prędzej działać.

— A Omski... — zaczął Gondziłł, ale znów mu przerwała.

— O Omskim sama wiem. To jest idiota...

Zatrzymywała się przed wystawami magazynów, bezpieczna pod parasolką, podczas gdy Gondziłłowi lało się za kołnierz. Patrzyła na wywieszone suknie, bluzki, kostiumy. Wydymała usta i mówiła: „Świństwo" — najwykwintniej, jak można.

Przed wystawą jubilerską powiedziała:

— O, to jest agrafka, jakiej mi potrzeba: jeden ładny kamyk i nic więcej. Jak pan z papą dobrze zarobi, to mi obaj musicie kupić to w prezencie...

Kobieta, Pozycja społeczna

Basia zaś poszła z biura na obiad — jak zwykle sama. W restauracji siedziały przy stolikach całe towarzystwa albo pary, albo wreszcie samotni mężczyźni, zwabieni porą, w której dawano tu niedrogie obiady. Ale tylko samotnie siedzące kobiety były tymi upośledzonymi, wydziedziczonymi, lekceważonymi przez służbę.

W restauracji mężczyzna — choćby przyszedł zupełnie sam — zawsze wypije przed jedzeniem wódkę i zje jakąś przekąskę. Kobieta pracująca je pokornie to, co koniecznie trzeba, gryzie i łyka bez apetytu potrawy, mające w jadłospisie najniższe pozycje.

Największym zbytkiem, na jaki czasami pozwalała sobie tutaj Basia, był deser z kremu. Ale stara Marianna w domu robiła go znacznie lepiej.

Miłość, Tajemnica

Z Omskim Basia nie chodziła nigdzie. Z początku była jeszcze w żałobie, więc teatry, koncerty, miejsca, gdzie grała muzyka, były dla niej same przez się niedostępne. A później zostało po dawnemu. Jedynym miejscem, gdzie się widywali, był jej pokoik.

Ten stan rzeczy tłumaczyła sobie Basia koniecznością zważania na opinię. Myślała też, że Omski w ogóle ma takie usposobienie, że miłość nie przenika się u niego z innymi sprawami życia. Nie chcąc mu robić przykrości, Basia wspólnie z nim przestrzegała tej tajemnicy. Jedna tylko Elżbieta coś wiedziała, niespodzianie bowiem odwiedziła raz Basię,

[63] *flama* — kochanka, sympatia. [przypis edytorski]

[64] *Sancho Pansa* — bohater powieści *Don Kichot* Miguela de Cervantesa (1547–1616). [przypis edytorski]

gdy był Omski. Ale pewno nie wzięła tego zbyt poważnie — ona, która sama tak wielu miała znajomych.

Myśli krytyczne, myśli podejrzliwe nie przenikały łatwo do świadomości Basi. Miała jeszcze zabrany z przeszłości wielki zapas dobrego mniemania o sobie. W instynktownym, podświadomym poczuciu była zawsze jeszcze tą panną Olinowską, którą może spotkać przykrość, może spotkać nieszczęście — ale nigdy upokorzenie.

Zaraz po obiedzie pojechała Basia do szpitala, gdzie leżała chora jej ciotka.

Choroba, Cierpienie

Pani Lipska zajmowała pokój wraz z trzema innymi chorymi. Dotąd nie zrobiono jej właściwej, poważniejszej operacji, tylko dla umożliwienia oddechu w chore gardło włożono rurkę, której otwór znajdował się na szyi pod brodą. Ten wylot rurki objęty był metalową obrączką — jak dziurka w gumowej lalce, która piszczy, gdy ją nacisnąć. Z początku zasychanie w ustach i w nosie męczyło ją tak, że zdawało się nie do wytrzymania. Ale później przestała się na to uskarżać.

Zniosła niewymowne cierpienia i jedynym leczeniem było stosowanie wciąż nowych narkotyków.

Nowotwór rozszerzał się z gardła — poprzez kark — na plecy i tam powodował najsilniejsze bóle. Pod pachą, rozepchniętą przez opuchlinę, rwał wiecznie ropiejący wrzód.

Najgorsze jednak były ataki duszności. W tchawicy tworzyły się skrzepy i nie mogły wydostać się przez rurkę. Kaszel chorej nie brzmiał tak, jak u wszystkich; z rurki wychodził tylko ostry świst.

O stanie chorej zawsze objaśniała Basię zakonnica — w olbrzymim kornecie[65], grubym, szarym odzieniu, z fartuchem i różańcami. Wewnątrz tego surowego kształtu tkwiła młoda, dobra i prosta dziewczyna.

— Tej nocy już myślałyśmy, że chora się udusi — mówiła. — Nie wiedziałam, co robić, tak się męczyła. Myślę sobie: „Wszystko jedno, co będzie, spróbuję" i wyjęłam rurkę. I na szczęście skrzep wyleciał, wyskoczył aż tu, na środek pokoju.

Ciocia Lipska słuchała tego i potwierdzała oczami. Tak było, wszystko prawda.

Pomimo tych cierpień nie jęczała nigdy, nie mogła jęczeć, nie mogła nawet wydać głosu. Gdy musiała coś powiedzieć, zatykała palcem otwór rurki. I wtedy mówiła najcichszym szeptem.

Basia słuchała z natężeniem. Były to zawsze nie skargi, ale małe, nieważne szczegóły choroby. Cała treść życia zawierała się w tym, kiedy zasnęła, kiedy zażyła proszki, jaki przyszedł doktor.

Basi było przykro, jeżeli czegoś nie mogła dosłyszeć. Wtedy słowa chorej powtarzała zakonnica, która lepiej rozumiała jej szept.

Później Basia próbowała jednak coś mówić, coś opowiadać. Gdy zdarzyła się jakaś rzecz zabawna, ciocia uśmiechała się w milczeniu — tylko ustami, leciuchnym ruchem warg.

I tego dnia Basia mówiła jak zwykle. Nie wspominała nigdy przeszłości, matki, ojca, ani domu. Tak tylko opowiadała, co działo się w biurze, jaką miała robotę, jakie sprawy.

Pani Lipska dała znak, że chce mówić. Położyła palec na otworze rurki. Basia schyliła się, słuchając szeptanych słów:

— Gdyby nie religia to, to nie byłoby możliwe. Rozumiesz Basiu? Nie mogłabym wytrzymać. Gdyby nie wiara, że to cierpienie moje potrzebne jest Bogu.

Basia pokiwała głową na znak, że zrozumiała.

Pocałowała rękę ciotki i odeszła.

Ściany tego szpitalnego pokoju zamykały wszystko, co jej zostało z przeszłości.

Przypomniała sobie, że w parafii Krzywe, do której należały Chowańce, cmentarz był na górce. Ciocia miała miejsce na grób obok wuja, który dawno już nie żył. Patrzyło się stamtąd na rzekę w dole, płynącą głęboko między drzewami, na łąki, na okrągłe stoki wzgórz, puszyste od zboża. A przecież przyjechała aż tu — i tutaj umrze.

Szła do domu dość długo. Była zmęczona. Miała usta ściągnięte i raczej surowy niż smutny wyraz oczu.

W pokoju swym zastała Omskiego, który czekał.

— Pamiętałam, że dziś przyjdziesz. Ale nie mogłam wrócić wcześniej.

[65] *kornet* — tu: dawniej nakrycie głowy zakonnic. [przypis edytorski]

Ich powitanie nie potrzebowało wcale uśmiechów.

— Idziesz od pani Lipskiej?

— Tak.

Omski nie zapytał nawet o stan chorej — nie było co do tego wątpliwości. Wystarczyło, że się zasępił.

— Właśnie miałam pić herbatę — rzekła Basia. — Jest coś, co lubisz. Usiądź tutaj.

Basia miała w swym pokoju uczepioną do ściany gazową maszynkę, na której cichym płomieniu nastawiła wodę. W bibliotece, na niższej półce, ukrywała szklanki i talerzyki z prowiantami. Czymś, co Omski lubił, okazał się wędzony ozór.

Całe to małe życie zorganizowane było w sposób, zdradzający ład nerwowy i zgodę na każdą rzeczywistość.

Okrągła, rumiana twarz Basi, o wypukłych nieco oczach bursztynowych i niewysokim czole, nosiła — mimo prawie dziecinnych rysów — piętno powagi i decyzji, wyrobione życiem niezależnym, poleganiem tylko na sobie.

Omski z niejasnym uczuciem skrępowania patrzył na nią, gdy się krzątała. Była w ruchach zręczna, czynna — lecz wcale się niespieszająca, była zawsze całkowicie spokojna. Uczesana i obuta starannie, miała na sobie czarną sukienkę, niedrogą, modną — z typu tych, które kupuje się gotowe.

Ten brak wszelkiej tradycji uderzał też w wyglądzie pokoju. Mebli było mało, ale wszystkie nowe, kupione niedawno i za jednym razem. Tak było: sprzedały pierścionek i zaraz kupiły te meble. Małe biurko, szafa, stolik i krzesełka były z jednakowego drzewa, „robionego na mahoń". Przedtem były i łóżka, ale Basia jedno sprzedała w czasie choroby matki, a drugie po jej śmierci. Sam Omski pomagał jej w tych transakcjach. Zamiast łóżka stała ukośnie pod ścianą niewielka i jakże niewygodna różowa sofa. Okno osłaniała czyściutka, licha firanka, a w jej rozchyleniu, w cienkim wazonie ze szkła, kwitł bez.

Obwodząc pokój spojrzeniem, Omski ze skruchą pomyślał, że jednak dawno nie przysłał Basi kwiatów i postanowił naprawić to nazajutrz. Wina

Miał poczucie jakiejś nieokreślonej winy. Nigdy tutaj, z nią razem, nie było mu dobrze, nigdy tu nie doznawał radości ani wytchnienia. Czuł się skrępowany, przygnębiony, winny, chociaż nic konkretnego nie miał na myśli, chociaż nie słyszał wyrzutów. Sam tylko siebie oskarżał.

— W Chowańcach, pamiętasz? Jak zobaczyliśmy się pierwszy raz, to kwitły bzy.

Powiedział to tak miękko — i jakby prosił o zgodę. Chciał sam w sobie dać jej jakieś zadośćuczynienie za te myśli, które ją krzywdziły i których nie znała. Chciał wskrzesić koniecznie to, co już nie chciało żyć.

Basia wstała, by nalać herbaty. Nie odpowiedziała nic. Tam się spotkali, właśnie tam — u cioci Lipskiej! Nie chciała wcale myśleć o tym. Nie lubiła wspomnień.

A Omski jedynie poprzez sugestię przeszłości mógł widzieć Basię taką, jak pragnął.

Ta drobna dziewczynka o rysach pospolitych, niedbała i obojętna pośród szlachetnego zbytku starego domu, podniesiona i uwypuklona przez tło, jakże go wtedy pociągnęła! Jej nosek zbyt szeroki nie raził wcale, nie był wadą. Wszyscy Olinowscy mieli duże nosy. W płaszczyźnie wyznawanego tam światopoglądu wcale nie zalety były motywem miłości i tematem dumy. Wystarczały cechy. Być Olinowską znaczyło już podobno tak wiele. Jako dziecię motłochu, Omski wrażliwy był na te akcesoria. Miłość, Wspomnienia, Dom, Rodzina, Szczęście

Lecz nie to było najważniejsze.

Czar, któremu uległ wówczas Omski, tkwił w tym, co Basia uważała dziś za śmieszne dziwactwo Olinowskich — w przeroście ich uczuć rodzinnych. To uwielbienie wzajemne, pedanteria delikatności, wyrafinowana sztuka kochania, stwarzały atmosferę, która była dla niego wymarzonym od dzieciństwa rajem.

Omski przybył wówczas do pułku z urlopu, który ze względu na matkę spędził w domu rodzinnym. Matkę kochał gorąco — i to głębokie, dziecinne uczucie poiło go przez całe lata goryczą bezradnej litości. Nic nie umiał uczynić, by jej pomóc — bezsilny wobec jej ciężkiego losu. Przybył z tego domu, który zatruł jego dzieciństwo, pełen świeżej pamięci wszystkich doznanych tam udręczeń. I miejscem, w którym znalazł kwaterę, były Chowańce, sąsiadujące o niecałą milę z Czarną Wsią, majątkiem Olinowskich.

— Cóż ja zrobię — mówił do dorosłego już syna stary Omski. — Rzeczywiście, nie Matka, Ojciec, Dzieciństwo, Nienawiść, Krzywda, Okrucieństwo, Małżeństwo, Cierpienie, Rozpacz, Zazdrość, Rodzina

mogę jej nic zarzucić, jest pracowita, uczciwa, dobra kobieta. Ale swoją histerią zmarnowała mi życie.

Był to dla syna najbardziej nienawistny człowiek na świecie. Nawet fizycznie nie znosił jego postaci, nie mógł patrzeć na niego bez obrzydzenia.

Stary Omski był nienormalnie niski, miał dużą głowę, twarz o tłustych, pijackich rysach i malutkie, zupełnie karykaturalne ręce i nogi. Jako dziecko Omski drżał z nienawiści do ojca, zaciskał pięści, marząc o zemście, o ucieczce z matką gdzieś daleko albo o tym, żeby ojciec umarł. Jakże gorąco — przez całe lata — pragnął tego.

Matka miała jakieś lepsze wspomnienia z przeszłości. W częstych scenach, wszczynanych po pijanemu, ojciec wymawiał jej to właśnie. Przez całe życie mścił się na niej, że przewyższała go wychowaniem i pochodzeniem — chociaż ona nigdy tego nie mówiła i nie myślała nawet. Ze szczególnym okrucieństwem, z rzadką umiejętnością dotykania do żywego wypominał, że to ona w nim się zakochała, nie on w niej. Dziwne, co takiego w nim znalazła — to już jej sprawa. On się nie ubiegał, nie śmiał nawet marzyć. Sama tego chciała, sama tak wpadła — niechaj więc do siebie tylko ma pretensję.

Mówił to przy dzieciach albo przy obcych, umyślnie się nie krępując. Matka bała się scen gwałtownych, robiła wszystko, by ich uniknąć. Milczała, zajęta jakąś robotą, powściągając się, długo hamując łzy. Udawała, że nie słyszy, że nie rozumie. Ale ojciec nie ustępował. Chciał upokorzyć jej ambicję, niestępioną wcale przez lata poniewierki; z całym wyrafinowaniem doprowadzał do wybuchu, do głośnego płaczu, do skandalu. Znał tę jej słabą stronę. Wiedział, że nad tym najwięcej cierpi, iż usłyszą to dzieci i sąsiedzi. Nie miał spokoju, póki nie zobaczył jej łez, jej rozpaczy, jej największego poniżenia. Bo wciąż jeszcze zdawała się nie móc uwierzyć, że to takie rzeczy ją spotykają.

Najdziwniejsze czy też najgorsze w tym było, że naprawdę go kochała. On zaś — mimo swej okropnej powierzchowności — podobał się jakoby kobietom, miał szczęście czy też tylko próżność na tym punkcie. I uważał to za swą przewagę.

Bo drugą słabą stroną matki, z której korzystał, była zazdrość. Więc — niby nieumyślnie, bez żadnego zamiaru, z miną niewinną i wesołą — opowiadał jej o swych kochankach w najplugawszych terminach rozpusty, w żargonie szynkowni[66] i ulicy. Były to szwaczki, służące, prostytutki. Wolał je od niektórych dam edukowanych, miały swoje zalety, trzeba było tylko je znaleźć, umiały kochać. Wdawał się w szczegóły, opisywał figle, wdzięki, sposoby. „Nie, co za szelmutka[67], powiadam ci, niech jej nie znam…". Matka nagle bladła, wybiegała z pokoju, tarzała się w ataku płaczu, rwała włosy. Tego tylko czekał: szedł za nią, śmiał się, pękał ze śmiechu: „Czego też ona chce, taka stara i jeszcze zazdrosna. Cóż ja zrobię, że wolę młodsze". I ze śmiechem patrzył na szalejącą kobietę — dusiła się, nie mogła chwycić oddechu, traciła przytomność. Omski z młodszą siostrą dawali jej krople, rozcierali sztywniejące ręce i nogi. A ojciec brał palto i wychodził, mówiąc, że w takim domu doprawdy trudno wytrzymać.

Pośród tych wspomnień z dzieciństwa wyryło się w pamięci Omskiego jedno powiedzenie ojca: „Ją to wystarczy dotknąć, żeby zaraz miała dziecko". Była to forma, w jakiej przyszło do Omskiego „uświadomienie".

Bo istotnie najgorsza ze wszystkiego była myśl, że tego człowieka matka kochała — ona, taka dobra i łagodna, taka szlachetna. Cierpiał nad tym w tajemnicy, nigdy przed nią — w czasie najszczerszych rozmów — z tym się nie zdradził. Nie wyznał jej tego najgłębszego żalu, jaki miał do niej, krwawego wstydu za nią, że po takich upokorzeniach jeszcze przychodziły na świat dzieci.

Mimo tych wspomnień — czy może za ich sprawą — w duszy Omskiego pozostał nienaruszony dogmat rodziny. Marzył o domu, gdzie dzieci są szczęśliwe i mogą kochać ojca, gdzie matka jest wesoła i nie płacze. Wiedział, że to jest możliwe, widział u innych, układał sam w myślach i marzeniach.

To, co poznał w domu Olinowskich, zaspokoiło jego najwyższą tęsknotę, dało mu uczuć w całej pełni harmonię i słodycz rodziny szczęśliwej. I Basia stała się dla niego jakby warunkiem koniecznym urzeczywistnienia jego marzeń.

---

[66]*szynkownia* (daw.) — szynk, karczma. [przypis edytorski]

[67]*szelmutka* — kobieta zalotna i sprytna, uwodzicielka. [przypis edytorski]

Teraz wszystko się zmieniło. Przeszłość odpadła od niej, nie zostawiła nawet żadnego śladu w jej duszy. Gdybyż chociaż na chwilę poczuła się ofiarą losu!

Gdy jej nie widział, myślał o niej jeszcze jako o kimś bezbronnym, kogo nie można krzywdzić, kto potrzebuje opieki i troskliwości. A przecież nie potrzebowała nic.

Był nieraz winny wobec niej, ale jednak ją kochał.

Nie znała tej jedynej swej wobec niego siły, zapierała się jej jak słabości. Siły szukała gdzie indziej.

— Wiesz, mam taką miłą rzecz w biurze — powiedziała. — Hennert chce mnie wziąć na sekretarkę. Byłoby to znacznie lepiej niż teraz.

Patrzył na nią — i nie umiał już nic w niej odnaleźć.

— Ach, znowu to biuro!

Omski walczył z ogarniającą go niechęcią. Musiał jednak zapytać o coś, co dawno już leżało mu na sercu.

— Słuchaj, Basiu, skąd ten Laterna mógł wtedy wiedzieć, że my jesteśmy zaręczeni?

— Nie wiem, ja go nie znam. I przecież wcale nie jesteśmy...

— No tak, ale ktoś musiał to mówić w tej formie.

— Doprawdy nie wiem. Tylko raz Ela Sasinówna zastała cię wtedy u mnie i może coś sama wymyśliła. Mogła powiedzieć temu porucznikowi Gondziłłowi...

— Tak, tak... Właśnie Laterna jest jego siostrzeńcem.

Widząc, że się nachmurzył, powiedziała:

— Więc miałam ją wtedy prosić o dyskrecję? Chyba tego nie myślisz.

Omski się zmieszał. Powiedziała to tak wyniośle, że na krótką chwilę uległ dawnemu urokowi. Znalazł się w tym świecie, w którym to być Olinowską znaczyło już tak wiele.

— Basieńko, przecież jeżeli mówię, to tylko dlatego, że sama tak chciałaś...

Sama tak chciała. Rzeczywiście. Na jej to życzenie okryli niegdyś swe zaręczyny najgłębszą tajemnicą. Bo papcio tyle miał przesądów, a znowu mama była chora na serce.

Zaczął tłumaczyć, że sam gorąco pragnąłby częściej przychodzić, że zbyt mało przebywają ze sobą.

Uspokoiła go z łatwością.

— Wiem, drogi, co to jest życie oficera. Pani Bielska prawie nie widuje własnego męża.

Rozumiała doniosłość jego zadań, ciężar obowiązków i ponoszonej odpowiedzialności. Daleka była od tego, aby chcieć przeszkadzać mu w jego pracy. Nie należała do tych kobiet, których miłość staje na drodze do czegokolwiek.

Ten brak podejrzeń dowodził mu, jak bardzo pewna jest siebie — i jego. Nigdy nie dostrzegł w niej cienia zazdrości. Jej zaufanie zobowiązywało go silniej niż największy despotyzm uczucia.

Nagle zrozumiał to tak jasno. Najtkliwsza wdzięczność zalała mu serce.

— Jestem twój, Basiu, jestem zawsze twój — mówił, klęcząc przed nią i przyciskając czoło do jej kolan.

Zapewniał ją tak gorąco o tym, o czym przecież ani na chwilę nie wątpiła.

12

Dzień był sobotni i Stanisław, ordynans[68] Gondziłłów, robił porządki w ich małym mieszkaniu. Dom, Sługa

Był jak zwykle milczący i poważny, pełen niezachwianego, zupełnie dziecięcego szacunku dla wykonywanej pracy.

Sposób, w jaki składał zdjęte dywaniki, przestawiał meble, gładził pióropuszem na kiju ramy obrazów, obcierał najdrobniejsze przedmioty, by z uwagą ustawić je znów na właściwym miejscu — wzruszał Binię. Pieczołowicie z każdego zakątka, zza każdej nogi wygarniał kurz, uparty i powszechny jak żywioł. Zawiasy drzwi smarował oliwą, by nie „kwicały", jak się wyrażał. A gwoździem zagadnienia, dumą i największą radością była posadzka. Jej połyskowi i barwie poświęcał wielu trudu i przemyślności. Tu poskrobał jakąś plamkę dużym i czarnym własnym paznokciem, tam przytarł woskiem, ówdzie suknem,

[68] *ordynans* — szeregowy żołnierz lub podoficer, pozostający w dyspozycji oficera. [przypis edytorski]

tu szczotką. Przykładał się twarzą do ziemi, patrzał pod światło, jeździł po gładkich taflach dębowych rękami i nogami. I jeszcze nie zawsze sam rad był z rezultatu.

Binia, lubiąca czystość jak powietrze i zawsze na nią wrażliwa, pracowała z nim razem. Obmywała z kurzu małe liście tradeskancji[69], zwisających z plecionych trzcinowych koszyków.

Stanisław był małomówny, żyjący swym własnym życiem wewnętrznym. Czasem jednak uczuwał właściwą rodzajowi ludzkiemu potrzebę podzielenia się z kimś myślami. Do Bini miał wiele zaufania. Ona też ceniła go i żyła z nim w serdecznym porozumieniu.

Klęcząc na podłodze, przerwał robotę w pewnej chwili i, nie odejmując rąk od szczotki, zwrócił na nią swe spojrzenie.

— A kot to jest bardzo twardy do zabicia — powiedział.

— Czy tak? — spytała Binia.

— Jak go, na przykład, wziąć za ogon i tłuc łbem o kamienie, aż się cały zakrwawi, to uda, że zdechł. Zostawić go, poleży z pół godziny, podniesie się i pójdzie. A najlepiej to go wziąć, nogą depnąć na łeb, a za ogon dobrze do góry pociągnąć. Wtedy coś tak w nim jęknie i już nie wstanie.

Zastukano w kuchni i Binia poszła otworzyć. Ucieszyła się, widząc, że to przyszedł profesor Laterna.

Nie zraził się tym wcale, że zastał „porządki". Usiadł na jakimś krześle w kącie i patrzył życzliwie, jak się trudzili.

— Sprząta się ciągle i nie wiadomo, skąd się tyle zawsze tego kurzu nabierze — dziwiła się Binia.

Obraz świata, Człowiek, Kondycja ludzka

Laterna z namysłem powiedział:

— Trochę dywanu, trochę sukni, odrobina skóry ludzkiej i skóry z podeszew, małe piórka z poduszek, nieco sufitu, papieru z książek i gazet, różnego suchego jadła... To wszystko spada jako kurz, co już nie chce dłużej być osobno. Jest to tendencja zgodna z naturą rzeczy. Tylko człowiek lubi wszystko wyodrębniać.

Binia zainteresowała się tym żywo.

— Ja właśnie już myślałam, że przyroda nie lubi porządku. Chociaż niektóre zwierzęta otrzepują się i liżą sobie sierść. Ale co to znaczy polizać taką sierść po wierzchu. Pomyśleć sobie tylko: futro żywego niedźwiedzia, na przykład, już dosyć starego. Czego tam nie ma, mój Boże!

Laterna ciągnął:

— Mycie, szorowanie, odkurzanie przedmiotów jest to indywidualizowanie ich. Wbrew naturalnemu porządkowi, zacierającemu granice, człowiek ustawicznie wszystko rozgranicza. Porządek ludzki dąży do tego, by powierzchnia przedmiotu stanowiła granicę jego istoty. Czysty człowiek kończy się całkowicie na swojej skórze. A futro żywego niedźwiedzia, które chciałabyś wytrzepać, jest jakby sferą graniczną między nim a lasem. Jest tam trochę potu i tłuszczu zwierzęcia, i wiele błota, mchu, igieł, żywicy...

— Człowiek chciałby się kończyć na swojej skórze — przerwała Binia — ale się nie kończy. Dla mnie, na przykład, bardzo niemiła jest myśl, że składam się z tych samych rzeczy, których tyle widzę koło siebie, że jestem jakby pomieszana z tym wszystkim. Że się jakoś zupełnie przenikam nawzajem ze światem...

— Tak — zgodził się Laterna. — To jest przykre dla naszej miłości własnej. Dogmat supremacji człowieka łaknie jakiegoś potwierdzenia chemicznego. Na próżno.

Gdy ukończono porządki, Stanisław poszedł po chłopców, pozostawionych przez rano w parku pod czyjąś najpewniejszą opieką, a Binia pociągnęła do kuchni, by wziąć się do obiadu. Profesor towarzyszył jej jak zwykle.

Poszukiwanie partnera stanowiło najmilszą troskę jego życia. Specjalnym węchem psychicznym wynajdywał go sobie pośród gęstego tłumu, w zupełnie nieoczekiwanych sytuacjach, na całkiem dowolnym tle — rozeznawał nieomylnie po jednym słowie, po pierwszym uśmiechu. I nie doświadczał zawodu — to było wykluczone.

Partner — to nie musiał być wcale „człowiek ciekawy", obdarzony niezwykłym charakterem, umysłem czy losem. Laterna nie miał słabości do ludzi oryginalnych. Partner to tylko musiał być ktoś, przy kim miłą rzeczą było myśleć i szukać dla myśli wyrazu, kto

[69] *tradeskancja* — trzykrotka, rodzaj rośliny doniczkowej. [przypis edytorski]

swym życzliwym zaciekawieniem, swoją skwapliwą uwagą do myślenia zachęcał, kto był wobec słów — jak sala koncertowa wobec dźwięków — akustyczny.

Do takich ludzi akustycznych należała według Laterny Binia — chociaż Gondziłł nieraz pokazywał mu na swej dłoni, jak szczupły jest jej umysłowy „horyzoncik".

Dla Gondziłła bowiem miarą wartości myśli były ich tematy, a dla Laterny każdy temat był dobry. Był jakby niewybredny, nie uznawał hierarchii zagadnień.

Binia rzeczywiście myślała o rzeczach najzwyklejszych, o swoim domu i o swojej rodzinie. Ale, mój Boże, czyż w pewnym sensie to malutkie ognisko nie jest punktem przecięcia się wszystkiego?

Myśli Bini były przyziemne, przeważnie tworzące jakieś projekty, jakieś najdokładniejsze plany idealnego systemu, przy którym mechanizm życia szedłby gładko i dawał tę ustawiczną radość, której tak umiała doznawać. W istocie swej były to zupełnie cenne próby wykrycia i zgłębienia praw ekonomii, by na nich w pogodnym, nieustającym trudzie budować życie i szczęście.

Laterna nieraz ze zdziwieniem słuchał jej zwierzeń. I ze wszech miar pochwalał sposoby, jakie wynajdywała, by wszelkie zło życia we własnych oczach usprawiedliwić i wytłumaczyć. Było to zawsze konstatowanie i ustalanie podstaw szczęścia.

Teraz rozpaliła ogień w tym przez siebie przerobionym piecu i rozstawiała na blasze naczynia czyste i świecące jak zabawki. Na białej stolnicy rozsypała mąkę i robiła ciasto, z którego miał wyniknąć później makaron. Profesor zainteresował się, czy będzie dość twardy i czy każde włókno będzie osobno.

— Naturalnie! — powiedziała Binia. — Ja nie dodaję ani kropli wody.

Nagle na twarzy jej odmalowała się troska.

— Mój Boże, gdybyż tylko Julek się nie spóźnił...

Znając dobrze swego szwagra, Laterna myślał nieraz, że Binia nie jest żoną szczęśliwą. Przecież nie skarżyła się nigdy — o tym nawet nie mogło być mowy.

Julek był co najwyżej „nerwowy", przeciążony pracą, skłopotany. Ale miał najlepsze serce, gotów z każdym podzielić się ostatnim groszem, dla siebie nie żądając nic...

Tak mówiła Binia. W tej paradoksalnej formie uspokajania siebie tkwiła potrzeba wiary, konieczność zgody z życiem. Często jednak — wobec niezaspokojonych potrzeb domu, wobec rosnących braków i wykrywanych raz po raz nowych długów — miewała chwile zwątpienia. Znajdowała wtedy mnóstwo argumentów przeciwko sobie. Myślała, że nie ma racji, że jest przesadna, że może naprawdę — jak mówił Julek — jest skąpa. Że skąpy jest ojciec, który jednak wciąż coś przysyłał — teraz już w tajemnicy przed zięciem. Przecież wszyscy mężczyźni muszą mieć tę swoją wódkę, karty, różne rozrywki. Przecież skoro tak pracuje, ma prawo być czasami lekkomyślny...

Ale fakty, gromadzące się w ciągu miesięcy i lat, godziły wciąż w ten systemat wiary.

Jednakże — nawet ulegając słabości — Binia miała w głębi swego uczucia taką fortecę, do której nigdy nie sięgało zwątpienie. Honor

Była to pewność niezachwiana, że Julek, chociaż lekkomyślny, jest do gruntu uczciwy. Że to jest czysty człowiek, że nie może nigdy popełnić nic *naprawdę* złego.

W tę żelazną granicę jego lekkomyślności, w jego honor Binia wierzyła jak w dogmat.

— Ale dopięłaś swego, Biniu — rzekł Laterna. — Ostatnimi czasy i Julek zaczyna kończyć się na swojej skórze. Wyelegantowany, wygolony, czyściutki, aż miło patrzeć.

Binia zaczerwieniła się, zmieszana, nie wiadomo czemu.

— Nie jestem pewna, czy to jest moja zasługa, doprawdy — powiedziała z uśmiechem.

„Ach, więc już wie", zdziwił się Laterna. I sam się trochę zmieszał, gdy teraz patrzyła na niego.

Binia była z tych kobiet, o których mówi się w młodości: „śliczna dziewczyna" i które po wyjściu za mąż szybko tracą urodę. Przy dzieciach, gospodarstwie i kuchni mała jej twarz zszarzała i pokryła się mnóstwem suchych, drobnych zmarszczek. Tylko ciemne oczy i uśmiech pozostały młode. Ubiór, sporządzony w domu, nie dodawał jej wdzięku, a postać ruchliwa, drobna i zbyt szczupła, nie zwracała niczyjej uwagi.

Usiadła na niskim stołku i ręce, oparte łokciami o kolana, unurzane w mące, skrzyżowała daleko od siebie.

— Jeżeli ktoś postępuje źle, to jest lepiej, gdy przy tym złym się upiera... Czy profesor tego nie myśli?

Laterna nie zrozumiał.

— No tak — tłumaczyła. — Ja na przykład wolę, jeżeli to jest nieumyślne, jeżeli to jest *nieświadome*... To stanowi dla mnie wielką pociechę. I myślę dlatego, że człowiek mądry jest zawsze trochę gorszy w tym samym wypadku, niżeli ten, który po prostu nie wie... Nie pozwala sobie na zło, tylko wcale nie rozumie, że źle robi, nie jest świadomy swej winy.

— I ty to wolisz, Biniu?

— Tak, ja to wolę...

Po chwili powiedziała jeszcze:

— I bardzo ważną jest rzeczą, żeby mu tego nie powiedzieć... Żeby się czasem nie dowiedział...

Laterna z wolna pojmował. Pomyślał o Bini, że jednak musi bardzo głęboko sięgać, aby znajdować podstawy dla swego szczęścia.

13

Salon, Pozycja społeczna, Elita, Pozory

Raut wiosenny, urządzony przez generałową Chwościkową, raz jeszcze zgromadził „towarzystwo". Przyszli znowu ci sami, którzy byli na konkursach, którzy zapełniali salony Hennertów, którzy spotykali się siedem razy na tydzień w dziesięciu innych salonach, bez których nie odbyła się żadna uroczystość narodowa, państwowa ani miejska. Poznawało się to od razu po hukaniu samochodów przed bramą, kolorowych czapkach z galonami w szatni, toaletach i klejnotach na sali.

Dzień zdarzył się dżdżysty, chłodny, sprzyjający powodzeniu ostatniej zabawy w sezonie.

Mówiło się: raut. Istotnie — wydekoltowana pani śpiewała stare piosenki francuskie, pewien mało znany muzyk grał koncert Chopina[70], nie jednając sobie niczyjego uznania, zupełnie nieznany aktor recytował złośliwe wierszyki polityczne, niesłuchany już przez nikogo. W kilku salonach przechadzano się tam i z powrotem, siadano przy stolikach, rozmawiano. Było tak jasno i ciepło. Przez uchylone nieco tu i owdzie okna na jakiś szczątek dawnych ogrodów, domierających w dziedzińcach wielkich kamienic i hoteli, szedł chłód rzeźwiący i słychać było bębnienie deszczu po liściach. Pito doskonałą czarną kawę, słodkie wina i likiery, jedzono tort orzechowy, cukierki i ciastka. Witano się z taką żywą radością, z takim podskokiem brwi na czoło, jak gdyby tutaj przybyć było naprawdę czymś niespodzianym, czymś nieoczekiwanym w żadnej mierze.

W pierwszym rzędzie troskała się, zabiegała i świeciła radością generałowa Chwościkowa; na jej malutkiej twarzy wszystkie odcienie sensacji towarzyskich znajdowały sobie wyraz w błyskawicznych mgnieniach, skurczach i grymasach. W jednym niejako momencie radowała się w prawo ku francuskiej dostojniczce, która „miała tę dobroć", gdy oto już zbiegały się jej brwi w najwyższej trosce na lewo, że wysokiego oficera włoskiego małżonka nie zechciała raczyć czy też nie mogła... Jednocześnie z wyrazem najwyższej zgrozy w rozskoczonych powiekach mówiła w tył: „Generale, nie wypuszczę za nic" (chciał pożegnać się wcześniej od innych) — i już nie bacząc na niego, rozpłynęła się znowu w tkliwej radości, ściskając oburącz dłoń nadchodzącej swojskiej księżny.

Funkcjonowała tak w najwyższej mierze, obwieszona ciężką, barwistą suknią jedwabną o wieloletniej tradycji, w kolorowych klejnotach, kupowanych niegdyś w Tule[71] i Saratowie[72], z czarną obróżką aksamitki na szyi żółtej i długiej jak u obskubanego ptaka. Była rodowitą Polką — a przecież cała powleczona pokostem Wschodu, egzotyczna jaskrawym ubiorem, anachronizmem uczesania i ozdób, przesadą prysiudów[73], strapień i uśmiechów, niefrasobliwością, z jaką na żółtym czole malowała sobie czarne brwi wysoko ponad paru włoskami, oznaczającymi przyrodzoną ich linię.

W pobliżu generałowej przebywała hrabina Oskienna, odziana niemal w łachmany, ale świetna jeszcze dwojgiem olbrzymich brylantów, strażujących po obu stronach jej pełnego, białego, rozbrajająco uśmiechniętego oblicza. Ozdabiała się nimi teraz już tylko

[70] *Chopin, Fryderyk* (1810–1849) — polski kompozytor i pianista. [przypis edytorski]

[71] *Tuła* — miasto w europejskiej części Rosji, w podmoskiewskim zagłębiu węglowym. [przypis edytorski]

[72] *Saratów* — miasto w Rosji, port rzeczny nad Wołgą. [przypis edytorski]

[73] *prysiudy* — przysiady w rosyjskich i ukraińskich tańcach ludowych; tutaj prawdopodobnie chodzi o ukłony. [przypis edytorski]

w wyjątkowych okolicznościach życia. Trzymała pod rękę śliczną Elę Sasinównę, wspierając się na niej cokolwiek. Mówiła do niej „kochasiu", wdzięczna do głębi serca za parę przysług, które ta wyświadczyła jej w biurze.

Panie Hennertowe przybyły z całą swoją świtą, w której znalazł się tym razem i dyrektor Hennert. Generałowa nie miała wprost słów dla wypowiedzenia swej radości. Uścisnęła gorąco wszystkie po kolei dłonie, nie wyłączając młodocianego Lina i Laterny. Omski, Curll, Sednowski, Niemeński — nikogo nie brakło.

Ku tej grupie zdążała Elżbieta ze swoją hrabiną, by ją na jej tkliwe prośby zetknąć jakoś z nieosiągalnym dotąd Hennertem. Stało się wedle jej życzenia. A Hennert na tym terenie okazał się miły, dostępny, ludzki — i hrabina musiała się powstrzymywać, aby nie mówić do niego „kochasiu".

Jakkolwiek na pozór i na ogół wszyscy się znali, przecież wciąż zachodziła potrzeba jeszcze nowych prezentacji. Generałowa Chwościkowa nie szczędziła trudu. We wszystkich językach wymieniała wzajemnie nazwiska, tytuły, rangi i dostojeństwa — i wszyscy, zawierający nowe znajomości, byli radzi, i wszyscy raz jeszcze ze swych dostojeństw i tytułów się cieszyli.

Ze swej strony działał też żywo generał Chwościk. Gdziekolwiek się znalazł, mówił wciąż „dużo, byle jak i prędko". Na chwilę przystanął z młodą, urodziwą wdową po generale Uniskim i, nie dając jej dojść do słowa, sam sobie odpowiadał na zadawane jej pytania. Mówiąc zaś, jednocześnie szukał oczami ponad jej głową, czy nie ma w pobliżu kogoś dostojniejszego — i prawie nie kończąc zdania, przeskoczył do sunącej z wolna, bardzo otyłej i z przepychem odzianej hrabiny Opockiej. W jej pobliżu odnalazł bez trudu księcia i księżnę Wiślickich i im dopiero w wartkim nurcie szczebiotu wyraził swą radość z udanej zabawy na cel „tak godny poparcia, uznania i zasługi".

Wszystko to jednak nie było ważne i odbywało się tylko dla formy, tylko jak gdyby po wierzchu i tymczasem.

Dopiero w najdalszej sali — dyskretnie i nieoficjalnie — biło serce zabawy. Przy fortepianie siedział taper[74] i z towarzyszeniem jedynych skrzypiec przygrywał do tańca. Tam pomykano skwapliwie — z cichymi, radosnymi uśmiechami, drżąc z niecierpliwości, już po drodze chwytając się w objęcia. Boże, jakże ciągnęło wszystkich w ten cichy, stąpany, kołyszący się czar.

Taniec, Muzyka, Obrzędy, Kapłan

Muzyka — monotonna w upartych nawrotach niby wahanie w obie strony łba zmagnetyzowanej kobry — napojem narkotycznym wypełniała powietrze. Urzeczeni tym rytmem mężczyźni i kobiety stąpali zgodnie, łącznie, solidarnie — jakby już na śmierć i życie związani. Zdani na swój los, szli tak w ten taniec nieznaczny, powściągliwy, bez wiru i upojenia — pełen jakiejś tępoty obrzędu, drętwej zmysłowości ceremonii, zapamiętałego, ofiarnego odurzenia.

Kobiety tańczyły jak kapłanki — o nagich plecach i ramionach, o piersiach płaskich i biodrach zatartych prostą linią sukien. Ich czoła z gładko uczesanymi włosami dawały, zwłaszcza z profilu, wrażenie nieskazitelnej, surowej czystości. Oczy spod brwi, narysowanych na nagim czole, patrzyły jawnie i bezbronnie. W tańcu ich była raczej smutna, cicha zgoda na wszystko niżeli poryw i pokusa.

W tej sali znalazł się i profesor Laterna, który zresztą bywał wszędzie. Nie tańczył sam, ale wielkim swym ciałem oparty o ścianę spoglądał z aprobatą życzliwą. Oto, jak krzepią się serca niewinne dzieci ziemi, jak są bezpieczne na tym małym kawałku, który wykroiły sobie z całego świata — by się tu cicho weselić, chociaż obok jest choroba, a jutro jest śmierć.

Zrobią trzy kroki na prawo i łącznym ruchem, jak zgodne kłosy od wiatru, nisko pochylą głowy i postacie — by zaraz zawrócić i oddać światu ten sam ukłon po tyluż krokach w lewo. Tak chodzą tu i tam — niepewni, rozchwiani, szukający nieznużenie jakiegoś swojego jedynego miejsca czy tylko dziwnej, niepotrzebnej, nigdzie niewiodącej drogi...

„Tańczyć jest to właściwie: *iść nigdzie*", myślał.

W pobliżu zatrzymał się pan Niemeński z Wandą Hennertówną.

[74] *taper* — pianista akompaniujący w niemym kinie. [przypis edytorski]

— Tak tańczą tango tylko w Polsce — mówił z niesmakiem. — Tego nie zobaczy pan profesor ani w Paryżu, ani w Wiedniu, ani nawet w Gdańsku[75]...

Szło o takie subtelności interpretacji, które wymykały się całkowicie pojęciu profesora. Powiedziane przyjął jednak na wiarę, ufając kompetencji młodego bywalca. Zwłaszcza, że gorąco poparła go Wanda, z którą zabierał się do dalszych pląsów.

Sensacją dla przyjaciół było zobaczenie tutaj Gondziłła, który tańczył bacznie i troskliwie, mając w objęciach swych generałową Uniską — ową „nieszczęśliwą kobietę", która „została zupełnie sama z małymi dziećmi na głowie". Była to śliczna naprawdę osoba, przyprowadzona tutaj przez jakiegoś młodego lwa, który gonił za tańczącą oczami i czekał swojej kolei, nie wątpiąc, że na niego przyjdzie. Gondziłł przed niedawnym dopiero czasem posiadł sztukę taneczną i po raz pierwszy odważył się popisywać nią publicznie. Wyglądał zupełnie elegancko i nawet zdawał się być nieco szczuplejszy.

Niedaleko od nich przewijała się w tańcu pani Hennertowa w objęciach Curlla. Miała na swym szczupłym, wysmukłym, młodym jeszcze ciele piękną toaletę z koronki. Obnażenie długiej szyi i ramion dawało jej małej, uroczej głowie urok słodkiej wyniosłości.

Wanda Hennertówna była tą szczęśliwą, która tańczyła z Niemeńskim. Jeżdżąc w celach dyplomatycznych po świecie, zapoznał się on dokładnie z wyższą umiejętnością taneczną obcych stolic — i był dla Wandy autorytetem. Z całą podatnością młodości przejmowała od niego doktrynę taneczną według europejskiego obrządku.

Jednakże, tańcząc, patrzyła czasami w stronę Andrzeja Laterny i ponad ramionami swego tancerza uśmiechała się do niego złośliwym uśmieszkiem psotnego dziecka.

14

Pogarda

Andrzej stał pod ścianą obok ojca i ze skrzyżowanymi na piersiach rękami przyglądał się tańczącym.

Czuł się nieskończenie wyższy ponad tę zgraję, oddaną niefrasobliwej zabawie, bezmyślną, płytką, zadowoloną. Grymas na jego milczącym obliczu wyrażał wzgardliwą ironię. Jednakże ironia jego nie była szczera, a gorzki uśmiech wyższości pokrywał zupełnie co innego.

Andrzej nie tańczył sam po prostu tylko dlatego, że tańczyć nie umiał — a miał zbyt ważne sprawy na głowie, ażeby uczyć się tańca. Dzieje życia nie usposobiły go wesoło ani lekkomyślnie.

W istocie był nie wiadomo czemu przeświadczony, że tańczyłby niezgrabnie, na pewno gorzej niż wszyscy. W jego pogardzie dla innych było bardzo wiele niechęci do siebie.

W pobliżu obu Laternów zatrzymali się Omski i Lin. Porucznik ubrany był po cywilnemu.

Nie bacząc na protesty nowego przyjaciela swego, młodego Laterny, wystąpił świeżo z wojska; pragnął być w zgodzie ze swą „wewnętrzną prawdą", która opowiedziała się przeciwko szlifom, orderom i militaryzmowi.

„Włożył frak, żeby robić rewolucję", myślał Andrzej Laterna ironicznie.

Wcale nie to było mu teraz potrzebne. Co innego miał przecież na widoku, przypuszczając Lina do konfidencji, poświęcając mu godziny rozmów i pracując nad jego uświadomieniem.

Nie było co się łudzić. W rozsypującej się, przywalonej straszną powojenną rzeczywistością, ideologii niepodległościowej Andrzej Laterna nie znajdował dla siebie nic. To była strata czasu. Żerował i tam, nawiązywał, jak wszędzie, znajomości, zbierał dane, badał, próbował utylizować jakoś ich rozczarowanie — motyw przewodni wszystkich poczynań, zgryzot i niemocy — jak utylizuje się przecież nawet padlinę. Ale jakież to było słabe, jakie pretensjonalne i żałosne.

Rozczarowanie, Rewolucja

Widział ich i tutaj, tych ludzi. Byli tacy jak wszyscy — zaledwie cokolwiek gorzej ubrani, a i to często tylko przez kokieterię, przez sentyment dla górnej, sankiulockiej[76] młodości. Doszli do znaczenia, stanowisk, dobrobytu. Mieli swoje niezakonspirowane mieszkania, legalne żony, mieli — rzeczy.

[75] *Gdańsk* — miasto powiatowe w płn. Polsce w województwie pomorskim, położone nad Morzem Bałtyckim. [przypis edytorski]

[76] *sankiulocki* — odnoszący się do sankiulotów, najbiedniejszej i najbardziej radykalnej grupy uczestników rewolucji francuskiej. [przypis edytorski]

W poczuciu własnej niemocy nadzieje swe w jednym położyli człowieku. Na jego rzecz zrzekli się wszelkiej odpowiedzialności. Na niego zwalili teraz ciężar żalów swoich i zawodów.

Kiedyś, w chwili szczerości, Lin wyznał Andrzejowi jak tajemnicę rzecz, o której nikt nie wątpił: „On pochwycił za koło rozpędzony wóz rewolucji (Lin był poetą), jego obowiązkiem było, by rewolucja stała się niepotrzebna (Lin był idealistą)".

Obietnica zawierała się w tym, że wówczas, gdy lud chciał rewolucji, on go uspokoił. I tej obietnicy nie dotrzymał.

Więc Lin włożył frak, żeby robić rewolucję.

— To prawda — uśmiechał się wzgardliwie Andrzej. — Rewolucja nie stała się teraz niepotrzebna, stała się tylko niemożliwa.

Bo na kogóż to liczył Lin w naiwności swojej, kto ją miał robić, tę rewolucję? Czy ci panowie, co tu dziś przyszli — posłowie, senatorowie, ministrowie, przywódcy partii, dzisiaj — szefowie biur, firm, przedsiębiorstw, banków.

Rewolucja jest niemożliwa, gdy rewolucjoniści boją się nawet przeprowadzki...

Toteż Andrzej wierzył jedynie w przyjście rewolucji *z zewnątrz*.

Andrzej wziął po ojcu ciekawość ludzi. Terenem jego działalności były przecież przede wszystkim psychologie. Ale nie był bezinteresowny jak ojciec i nie był jak on życzliwy, gdyż nie był obojętny. Życzliwość dla ludzi znaczyła przecież w starym Laternie tylko obojętność...

Przy tym stary Laterna do każdego inną przykładał miarę, w innej każdego widział płaszczyźnie. Laterna-syn jedno miał tylko kryterium.

Świat w tym ujęciu układał mu się jasno i przejrzyście. Ludzie, stosunki i sprawy — to były tylko narzędzia.

Lin podszedł blisko. W swym świeżym fraku, wyszczuplony, wysoki, wydawał się starszy niż w mundurze. Jego młoda twarz nabrała surowości i powagi. Pośród tego rozbawionego, błyszczącego otoczenia był naprawdę do głębi przejęty swoim „czynem".

Pochylił się ku Laternie.

— Nigdy nie myślałem, że taką ważną rzeczą jest forma — powiedział. — Inaczej niepodobna wyzwolić się od tej wewnętrznej sugestii, trzeba koniecznie zerwać z jej symbolem.

— To było zupełnie niepotrzebne — przerwał Andrzej.

Lin myślał, że odradzając mu wystąpienie z wojska, Laterna miał na względzie jego własne dobro, że pragnął go oszczędzić.

Mówił ze wzruszeniem, jak do kogoś najbliższego:

— Myślałem, że mi to ciężej przyjdzie. Nie z powodu jakichś głupich osobistych nadziei, na niczym zresztą nieopartych, nawet nie ze względu na matkę... Ale sam przez te lata wiele z tym związałem, zbyt poważnie w tym tkwiłem. I dlatego może było mi w pierwszej chwili jakoś dziwnie. Ale niczego nie żałuję. To jest skarb: wolność. Teraz nie potrzebuję już kłamać. Jestem gotów na wszystko, jestem naprawdę wasz.

Podniósł na Laternę oczy ciemne, łagodne, trochę smutne, i dodał:

— Jestem szczęśliwy.

— Nie wątpię — rzekł Laterna i roześmiał się. — Panie pułkowniku — zwrócił się głośno do Omskiego — czy Linowi nie było w mundurze bardziej do twarzy?

Omski spochmurniał i nic nie odpowiedział. Nie lubił tego tonu. Ale Andrzej Laterna nie zniechęcał się tak łatwo.

Żołnierz, Idealista

Właśnie ten Omski — wzorowy oficer — obcy, psychicznie nienawistny, pociągał go nieprzeparcie, zaciekawiał i intrygował. Jego wyprężona postawa, doskonały wygląd wojskowy, opanowanie, pochmurna, zdawkowa grzeczność, nawet jego uroda — nie dawały mu spokoju. Jakże bacznie śledził jego żądzę walki i czynu, gorzki bunt, hamowany dyscypliną i subordynacją, ten spokój, będący ofiarą z całej natury.

To bowiem właśnie cenił jako narzędzie: tacy jak Omski są mężni, kochają wojnę, biją się dobrze — *niezależnie od tematu*, niezależnie od hasła. Sam płomień bitwy, sam krwiobieg organizacji — są dla nich dostateczną, samą sobie wystarczającą treścią. Rozkaz wodza rozprasza najgłębsze wątpliwości, rota przysięgi zastępuje sumienie.

Zaś tych, co walczą wbrew swej naturze, jedynie porwani hasłem — entuzjastów tematu, wyznawców wartości — tych się obawiał. On — człowiek idei — tylko w ludziach idei widział niebezpiecznych przeciwników.

Właśnie Lin, który, pozostawszy w wojsku, mógł był tyle dokonać, tyle wiedzieć, który zdawał się być już opanowany...

Raczej wszystko inne: posiadacze wiedzy technicznej, mędrcy finansów, ludzie ambitni, zgromadzeni tutaj potentaci i karierowicze — to wszystko był podatny, cenny materiał przewrotu. To wszystko da się kiedyś zaprząc do rydwanu rewolucji.

Zdawałoby się: Omski — cóż to za wartość rewolucyjna — to precyzyjne kółko w mechanizmie wojskowym. On, któremu dobre jest wszystko, który stoi na stanowisku faktu. On — obcy wszelkiej ideologii, niemający żadnych ambicji dzielnicowych ani formacyjnych, nierozumiejący głębi błahych pozornie rozłamów wojskowych. Nie żywi szczególnego uwielbienia do żadnego z przeciwstawianych sobie jak sztandary generałów, a za każdego — z chwilą znalezienia się w sferze jego władzy — bez uwagi na sprawę, której służy, oddałby życie. Rozkaz wodza jest dla niego wyrokiem, objawieniem życia i śmierci, prawdą najwyższą.

„Właśnie on — wyznawca aksjomatu władzy — oto jest człowiek potrzebny rewolucji", myślał Andrzej.

Nie podejrzewając nawet nadziei, jakie pokładał w nim młody Laterna, pułkownik Omski rozmawiał spokojnie z jego ojcem.

Udzielali sobie nawzajem spostrzeżeń o tańczących — przy czym profesor, łaknący wszelkiej wiedzy, ważył sobie wielce każde słowo pułkownika.

Taniec, Erotyzm

Właśnie przesunęła się koło nich generałowa Uniska. Obaj żałowali jej dla niedźwiedzich ramion Gondziłła, który odrabiał sumiennie swoje *pas*[77] z całą żarliwością neofity. Tańczyła spokojnie i niewątpliwie ładniej niż mijająca ich teraz, wtulona w objęcia kolorowego włoskiego oficera, Elżbieta Sasinówna. Pani Uniska całe swoje przejęcie się tańcem wyrażała tylko wiernością dla rytmu. Jedno jej nagie ramię, z którego zsuwała się czarna koronka, drgało przy każdym takcie. Była szczupła, rasowa, niemal koścista — i ta krótka fala dreszczu pod białą skórą jej ramienia miała w sobie więcej zmysłowej ekspresji niż rozkołysana i rozśpiewana sobą bujność cielesna Elżbiety.

Pułkownik zresztą nie lubił Elżbiety z różnych względów — najbardziej jednak dlatego, że z obecnych tu osób ona jedna znała Basię.

Nie tańczył jeszcze, chociaż widok tańczących silnie go pociągał. Każde drgnienie upartej melodii podrywało go, budziło znane mu dobrze pragnienie zmęczenia, za wszelką cenę zmęczenia... Mówiąc, patrzył po kobietach. Zdawał się gotować sobie tę ucztę zmysłów, przewlekać oczekiwanie przemyślnie i z wyrafinowaniem. Wypatrywał, oceniał, wybierał. Między kobietami było kilka ładnych, a piękne toalety podnosiły ich powab.

Czekał jeszcze. A zarazem przezwyciężał pewną przykrość, którą nie od razu zrozumiał. I dziwił się w sobie pochmurnie tej komplikacji motywów i chęci. Bo oto patrząc i porównywając, unikał uparcie widoku tańczącej teraz z Sednowskim pani Teresy. Nie godził się w sobie na tę przykrość niedorzeczną, ciągle jeszcze nie chciał jej zrozumieć. A przecież uczuwał był już to samo, gdy zaledwie ją poznał, po paru minutach pierwszej z nią rozmowy...

Teraz pociągnęła ich uwagę młodziutka księżniczka Wiślicka. Miała oczy długie pod grubymi powiekami, obronne prostymi, czarnymi rzęsami, i dziwaczny doprawdy uśmiech, zbyt słodki, rozkoszujący się swą słodyczą. Tańczyła niby surowo — a zarazem dziwnie gorąco, z przyciętą ząbkami zbyt słodką wargą, z rozwartymi nozdrzami.

Nastała krótka przerwa. Wszyscy rozpierzchli się pod ściany, a na środku sali zaciemniała naga posadzka. Muzyka milczała. Część towarzystwa odpłynęła przez rozwarte podwoje do innych sal.

Gdy znów zaczęto tańczyć, Omski skierował się ku Wandzie Hennertównie, o której nie myślał przedtem. Zanim jednak doszedł do tego miejsca, zabrał ją Lin, więc Omski poprosił jej matkę, która właśnie usiadła była na krześle.

Na jego ukłon podniosła się zaraz — posłusznie, biernie i jakby pokornie.

[77] *pas* (fr.) — krok, kroki. [przypis edytorski]

To, co czuł w tej chwili, przejęło go nagłym wstydem. Prawie, że chciał się jeszcze cofnąć, gdy tak powstała — gotowa, ufna, cała wydana na jego objęcia.

Dotąd miał wobec niej zawsze to pragnienie, żeby była szlachetna, lepsza od swego otoczenia. Czuwał niejako — sam w sobie — by nie dosięgło jej nic niegodnego. Tak mu była miła, tak dobrze było mu obok niej. A teraz sam, on sam...

I dziwnie upokarzająca była ta jednoczesna myśl, że przecież starsza jest od niego. I że to jest *niewłaściwe*.

Taki właśnie podwinął mu się wyraz, gdy obejmował ją lekko — z przedziwną nieśmiałością, z cichym, lękliwym szczęściem. Była chwila, że nawet spojrzała na niego. Że się spotkały ich oczy.

Lekka, giętka, wysmukła, tańczyła równo, bez ożywienia, bez porywu. Nic z siebie nie traciła przy tym oddaniu. Miała raczej pewne ociąganie się czy rozmarzenie w cichości posunięć, w nieruchomym płynięciu głowy wysoko ponad ramionami.

Przez jedwab i koronkę czuł dłonią przesuwanie się jej łopatki pod skórą, czuł łagodne ciepło ciała.

— Czy nie jest pani zmęczona? — spytał.

Odpowiedziała, że nie. I wcale nic nie wiedząc, co się w nim dzieje, popatrzyła na niego pogodnie i słodko.

Wtedy na najkrótszą chwilę mocno zamknął powieki, by wytrzymać, by jakoś znieść to szczęście — szczęście nad siły. Nawet myślał, że to nie może być prawda.

Muzyka urwała się nagle — i wtedy, zaskoczoną i znieruchomiałą, miał ją jeszcze przez chwilę przy swojej piersi.

Gdy usiadła, odszedł od jej krzesła — czyż można wiedzieć, dlaczego. Powrócił na dawne swoje miejsce pod ścianą i jeszcze raz, powoli, przeżył to wszystko, co się odbyło przed chwilą. Tak. Miał w oddechu, w biciu serca, w cieple ciała całą niedawną rozkosz jej zbliżenia.

Nie podchodził już do niej więcej — tylko z daleka patrzył.

Stała teraz przy wielkim, jednoszybowym oknie, lekko odchylonym na ciemność i z tej ciemności wystające świecące, mokre liście. Rozmawiała z kimś nieznajomym Omskiemu, jakąś panią siwą, ruchliwą i wesołą.

A sama była — jak zawsze — spokojna. Jej nagą szyję owiewało wilgotne powietrze wieczora. Omski uczuł troskę, że może jest jej chłodno, niepokój, że się przeziębi.

Widocznie jednak nie czuła chłodu. Błam[78] mszystych[79] soboli trzymała w nisko opuszczonej ręce.

Tuż obok Omskiego Wanda (jej córka!) mówiła, zdyszana, do Lina:

— Wiem, wiem, o czym pan myśli. A lepiej, żeby pan tańczył. Już to wszystko umiem na pamięć. Ale cóż ja zrobię, ja tego nie czuję.

Wachlowała się pogniecioną, zabrudzoną rękawiczką.

— Nie jest mi nic potrzeba, niczego nie pragnę. Czy tak kto mówi? Może innym trudno się do tego przyznać, ale ja zadowolona jestem ze świata.

— To się widzi od pierwszego wejrzenia — roześmiał się życzliwie profesor Laterna. — Do licha! I to nie potrzebuje żadnych komentarzy...

— Prawda? — obróciła się w jego stronę Wanda. — Dlaczego każdy się wypiera, że mu jest dobrze? A zawsze każdy się wypiera...

— Ja nie — rzekł profesor — i to już potrzebuje komentarzy.

— Nie? Bardzo się cieszę. Ale za to pański syn, ho, ho! On jest zupełnie podobny...

— Do Lina? — przerwał Andrzej z wyraźną wzgardliwą ironią.

— Tak, do Lina. Chociaż nie... Lin przecież znacznie lepszy jest od pana.

— Naturalnie!

I Andrzej pomyślał: „Jestem niesympatyczny, drewniany, niemiły". Jest to rzecz, z którą najtrudniej się pogodzić. Bo zwykle samemu jest się miarą i sądem sympatyczności innych.

Pani Hennertowa podeszła do tej grupy, by odwołać córkę i pożegnać znajomych. Zbierały się już do odejścia.

---

[78] *błam* — oprawione i zszyte skory zwierząt futerkowych. [przypis edytorski]

[79] *mszysty* — przypominający w dotyku mech. [przypis edytorski]

Omski pożegnał je. W krótkim, suchym pocałunku złożył na palcach Teresy całą swą straszliwą wdzięczność, tak, całą swą duszę, umierającą z miłości.

Później przez pustoszejące już salony z daleka podążał za innymi.

W pobliżu usłyszał rubaszny śmiech Gondziłła.

— Patrzaj, profesorze — mówił porucznik do szwagra, którego prowadził pod ramię. — Nikt by nie powiedział, że jeszcze dziesięć lat temu siedziała za ladą i zachwalała swoje towary bławatne[80].

Kobieta, Upadek

Laterna istotnie nie znał tych szczegółów tak dokładnie.

— Kiedy wyjechałem, Terenia była młodą dziewczynką.

— I ja pamiętam ją z tych czasów. Toż pierwsza moja sztubacka[81] flama i pierwszy zawód sercowy. O, Hennert z Sednowskim, co za sielanka! Sednowski robi teraz przy nim ogromne afery[82]. Mój Boże, kto w dzisiejszych czasach potrafi tak dochować wdzięczności.

— Dlaczego wdzięczności?

— Jak to dlaczego? Przecież cała ta Hennerta fortuna toż tylko z posażku Tereni, z tych głupich paru tysiączków *odszkodowania*...

15

Do Latery i Gondziłła przyłączył się dość skwapliwie Andrzej, by wespół z nimi spożyć wieczerzę w Edenie. A po drodze Gondziłł z właściwym sobie entuzjazmem zjednał jeszcze „zdemoralizowanego" Lina dla tej dobrej sprawy.

Znaleźli stół wolny w niewielkim i zupełnie pustym pokoju. Składało się doskonale.

Profesor żartował z „syneczka", że je wszystko jak trawę, nie wnikając w wyszukany i tyle zawierający treści smak dań. Jedzenie jest dla niego zaspokojeniem głodu zaledwie, nie zna jeszcze perwersji jadła i jego histerii.

— Za moich czasów czytało się *A rebours*[83] Huysmansa[84] i stawało człowiekiem. A dziś...

Andrzej niełatwo dawał się rozchmurzyć. Jednakże najwidoczniej usiłował być miły. Ojca swego traktował protekcjonalnie i dobrotliwie — niby jako oswojonego weterana rewolucji.

— Już z samego sposobu odczytywania karty widać w papie „miłośnika ludzi" — szydził. Wziął z ręki Gondziłła spis potraw i sam uważnie go przeglądał. — Wszystko świadczy, że jesteśmy narodem patriotów — mówił. — Tyle poczucia odrębności narodowej: zrazy po polsku, kurczęta po polsku, raki po polsku.

— To jest bardzo charakterystyczne, ten mianowicie odcień patriotyzmu: poszukiwanie odrębności — myślał głośno i skwapliwie Laterna.

— I zrozumiałe.

— Polska, leżąca w samym środku Europy, na tym wielkim rozstaju dróg wojennych i handlowych, rozległy szmat ziemi bez naturalnych granic, miejsce bitew, przemarszów i klęsk dziejowych, krzyżownica wszystkich szlaków kultury europejskiej, arena ścierania się wszelkich wpływów. Uważajcie, to naprawdę jest bardzo ciekawe... Jej dusza, dostępna wszelkim oddziaływaniom, ciekawa, chłonna, sprężysta, bogata, reprezentantka wyrafinowanej kultury na wschód i egzotycznego barbarzyństwa na zachód; łączy w sobie, miesza i jednoczy wszystkie rzeczywistości i możliwości...

Polska

— O tym króciutko powiedział poeta: „Pawiem narodów byłaś..."[85].

— Właśnie! — ucieszył się Laterna. — Bo ta rzadka, cudowna właściwość, to nieobjęte bogactwo jest dla niej samej niepokojące i niezrozumiałe. Można by powiedzieć, że *przekracza jej kompetencje*... I ten niepokój wytwarza potrzebę samookreślenia za wszelką cenę: królestwo za definicję, za formułę, za indywidualność! I patrzcie: gdzie indziej cechy narodowe w życiu, w sztuce, w piśmiennictwie to są produkty uboczne procesu życia albo twórczości, skonstatowane później albo skonstatowane z zewnątrz. Gdzie indziej

Naród, Polska

[80] *bławatny* — tu: związany z tkaninami. [przypis edytorski]

[81] *sztubacki* — właściwy ludziom młodym, w szczególności uczniom. [przypis edytorski]

[82] *afera* (daw.) — tu: interes, sprawa. [przypis edytorski]

[83] *A rebours* — powieść Jorisa-Karla Huysmansa (1848–1907), opublikowana w 1884 roku. [przypis edytorski]

[84] *Huysmans, Joris-Karl* (1848–1907) — francuski pisarz. [przypis edytorski]

[85] *Pawiem narodów byłaś…* — fragment poematu Juliusza Słowackiego (1809–1849) *Grób Agamemnona*. [przypis edytorski]

przezwyciężą się cechy lokalne życia i sztuki na rzecz form wyższych, ogólnoludzkich. A dopiero *sposoby* tego przezwyciężania, dopiero drogi i metody są właśnie mimo woli narodowe. Wszelki egzotyzm musi być nieświadomy. — Sposób gestykulowania profesora polegał na tym, że wyprężonym palcem wskazującym prawej ręki uderzał raz po raz w próżnię przed sobą, mniej więcej na wysokości swej twarzy. — A u nas odrębność narodowa w formach życia, w plastyce, w literaturze jest nie skutkiem, ale *postulatem*. U nas zarzuca się książce lub obrazowi, że równie dobrze mógł stworzyć je cudzoziemiec. Cechy narodowe są poszukiwane jako takie, są narzucane przez teoretyków jako cel usiłowań twórczych, jako obowiązek, jako dogmat. Nie tylko z tym „pawiem i papugą", ale przecież Mochnacki[86] nakazywał literaturze, by przez nią naród uznał się w jestestwie swoim, a Norwid[87] usiłował świadomie wymyślić styl narodowy, projektując wyprowadzenie polskiego łuku architektonicznego z dwóch kos, skrzyżowanych ostrzami. W stosunku do własnej sztuki ludowej — oburzał się Laterna — jesteśmy jak cudzoziemcy w kraju barbarzyńców. To, co w niej niepodobne do niczego, „rodzime", dzikie, to się przyłapuje na gorącym uczynku, to się nade wszystko ceni i utrwala. W trudzie i pocie budujemy to, co gdzie indziej zrobiło się samo. Powiedziałeś, że to jest zrozumiałe — zwrócił się do syna. — Tak, naturalnie. Jest to otrząsanie z siebie piętna wpływów narzuconych, jest to odginanie się spod sztucznego nacisku niewoli politycznej. Ale to ciągłe, uparte wyzwalanie się jest resztą niewoli. Na Boga, bądźmy już wreszcie naprawdę wolni... Polska leży w środku Europy, jest jej sercem, musi brać w siebie wszystką różnorodność jej wpływów i oddziaływań. Jak żaden inny kraj może uniknąć wyłączności narodowej i zacieśnienia...

— Jak żaden inny — łagodnie szydził Andrzej. — Ta skromność jest rozbrajająca... Papo drogi, i oto już mamy malutkie „zacieśnienie"...

Ożywił się i Gondziłł.

— Alboż nie jesteśmy wolni? Niepodległość? A jest już, jest. Są i granice. Mamy wszystko to, co jest gdzie indziej, czegośmy innym tak zazdrościli. Jest łapownictwo rodzime, prywata, protekcje, rządy motłochu, wielkie afery, wielkie majątki, interes, interes przede wszystkim. Jest już i pogarda dla wojska, szczucie na „soldateskę". Wszystko jest. Demokratyczne społeczeństwo oto jak nagradza żołnierza za jego ofiary, za jego zdobycze. A jak się to inaczej śpiewało, gdy skóra cierpła na grzbiecie...

— Tak, tak, papo — nieoczekiwanie poparł Gondziłła Andrzej. — Otwarcie mówiąc, wy przecież wszyscy tutaj jesteście bankrutami. Tylko papa jakoś, dzięki zamiłowaniu do jadła i książek, zachował zadziwiającą pogodę ducha. W gruncie rzeczy jednak, sterawszy[88] swą młodość po różnych więzieniach Rosji Europejskiej i Syberii[89] za zabiegi około wyzwolenia ojczyzny (bo „robociarze", bądźmy szczerzy, to jednak była tylko dekoracja), papa musi być trochę zdziwiony rezultatem tych zabiegów...

Laterna słuchał z rosnącą uwagą, nie przestając jednak jeść.

Andrzej ciągnął, podniecony:

— Spoczywając na zwiędłych laurach chybionej rewolucji, papa w wolnej Polsce oddaje się urabianiu ducha młodzieży, zabawia się nieszkodliwymi refleksjami, jest aspołeczny, apolityczny, do gruntu lojalny. Papa w ten sposób uchyla się od odpowiedzialności za to dzieło, do którego sam przyłożył rękę. A to się nie da. Wasz trud był próżny, bo nie zmieniło się nic: więzienia są przepełnione, a na ulicach rozpędza się bezrobotnych kolbami. Oto jak wygląda wasza Polska!

— *Wasza* Polska — powtórzył Laterna.

I teraz naprawdę się zainteresował. Z widelcem w nieruchomej ręce nie odrywał oczu od syna.

— Bo wam szło tylko o niepodległość. Rewolucja socjalna była pokrywką zwykłego powstania narodowego. To był fałsz i ten fałsz się zemścił... Tak, tak, to był fałsz — powtórzył, nie dając sobie przerwać. — I dlatego wy wszyscy jesteście bankrutami, dożywszy tej chwili, gdy urzeczywistnił się wasz sen...

Fałsz, Rewolucja, Nadzieja

[86] *Mochnacki, Maurycy* (1803–1834) — polski działacz i publicysta polityczny oraz filozof. [przypis edytorski]

[87] *Norwid, Cyprian Kamil* (1821–1883) — polski poeta, prozaik, dramatopisarz, eseista, grafik, rzeźbiarz, malarz i filozof. [przypis edytorski]

[88] *sterać* — zniszczyć przez trudny, męczący styl życia. [przypis edytorski]

[89] *Syberia* — kraina geograficzna w północnej Azji, wchodząca w skład Rosji. [przypis edytorski]

— To prawda — odezwał się Lin, który dotąd tylko słuchał.

Andrzej umilkł i czekał drwiąco na replikę ojca. Ale Laterna nie odpowiedział.

Przez chwilę milczał także Lin — i z niepokojem przenosił wzrok z Andrzeja na starego Laternę. Nagle, jakby przezwyciężywszy wewnętrzną jakąś zaporę, mówić zaczął prędko, z niezwykłym uniesieniem:

— To *był* fałsz, ale nie pan powinien to mówić...

— Jak to nie ja? Dlaczego? — zdumiał się Andrzej.

Lin patrzył mu teraz prosto w oczy.

Prawda

— Wszelkie stanowisko konsekwentnie ideowe, wierność dla ideału czy dla człowieka, to jest unikanie widzenia prawdy, to jest zakrywanie sobie z przerażenia oczu na rzeczywistość... Bo wszystko, aby się urzeczywistnić, musi się siebie zaprzeć, wchodzi w życie tylko za cenę spodlenia. Wszystko, co przychodzi do władzy, już powinno być zwalczane...

— Ach, ach — przerwał szyderczo Andrzej. — Ja się od razu domyśliłem, że to tak jest z tobą, panie eks-poruczniku.

Ale Lin nie słuchał jego słów.

— W życiu politycznym prawda jest przecież rzeczą straszliwą. Ujrzeć prawdę jest to doznać nieszczęścia, rozważać ją jest to cierpieć! Stać przy idei, która się zrealizowała, można tylko z zamkniętymi oczami. Stać przy idei, która się zrealizowała, można tylko z rękami w błocie albo z rękami we krwi!

— Poezja! Poezja! — śmiał się wzgardliwie Andrzej.

— Prawda jest straszliwa nie tylko dla serca, które płonie z męki, ale dla woli, która przecież pragnie, pragnie rzeczywistości... — Urwał i ze zdziwieniem, jakby uczynił odkrycie, dokończył: — Bo prawda jest wrogiem rzeczywistości. Tak! Tak! — Popatrzył na Andrzeja rozpalonymi oczami i, ściskając dłońmi dygocące szczęki, zapytał: — Dlaczego pan mi odradzał rzucenie wojska? Dlaczego? Dlaczego?

— Niech się pan uspokoi — ironicznie mówił Andrzej. — Pan tu nikogo nie przerazi.

— Powiedzmy to zwyczajnie — odezwał się Laterna — że idea urzeczywistniona jest to idea sfałszowana. Ja nie widzę tu jeszcze dramatu: rzeczywistości nie poddaje się myśli, nie jest z nią adekwatna. Nie da się zgoła ująć w ramy i przegrody rozumu. Więc cóż? Żyjemy w epoce rozpadu wszelkiej ideologii, w epoce olbrzymiego, zupełnie cudownego rozrostu rzeczywistości. Hasła od dawna przestały być brane na serio. Zaparto się najświętszych wierzeń z tej i z tej strony. Partie pożerają się jeszcze, ale to, co je dzieliło, już nie istnieje: pożerają się osoby o władzę... Czy mamy wołać, że to jest źle, obmyślać środki ratunku, wzywać pomocy? Nie, nie! Dezagregacja[90] ideałów służy tylko życiu. Słowa programów rozsadzone zostały przez nową, nieoczekiwaną, jeszcze niezrozumiałą, wspaniałą treść... Realnie, poziomo sprawy biorąc, jest co dnia lepiej. Programy nie sprostały życiu, ale życie ratuje się samo. I zwycięża...

Andrzej Laterna śmiał się na cały głos.

— Ha, ha, to jest nadzwyczajne! — wołał. — Papa oto upatrzył sobie w tym wszystkim idyllę! Papie wystarcza, że życie „ratuje się samo"... To jest coś więcej niż rezygnacja, która jedynie przystoi twoim siwym włosom, to jest naprawdę...

Nie dokończył. Nagle bowiem Lin powstał ze swego miejsca i, wsparty na rękach, całą postacią podał się ku profesorowi, jakby mając mu coś ważnego, coś niecierpiącego zwłoki zakomunikować. Ledwie jednak otworzył usta, gdy nagle równie gwałtownym ruchem upadł na krzesło, głowę objętą rękami oparł o brzeg stołu i zatrząsł się od suchego, histerycznego łkania.

Gondziłł zaniepokoił się i zatroskał serdecznie:

— Co też pan robi! — mówił, pochylony nad nim. — Co panu jest? Przecież nic prawie nie pił — zwrócił się do Laterny.

Profesor nalewał wody do szklanki, całkowicie zajęty tą czynnością.

Lin, czerwony ze wstydu, sięgał po wodę.

— Przepraszam panów, naprawdę, sam nie rozumiem... Jestem idiota...

[90] *dezagregacja* — tu: rozłożenie na cząstki, na elementy składowe. [przypis edytorski]

— Nic się tym nie przejmujcie — pocieszał go dobrodusznie Gondziłł. — Jędrek to czarny charakter, ale złote serce. Nie trzeba go sądzić z tego, co gada. Profesor ma w pięcie jego gadanie...

Lin pił do końca swoją szklankę, dmuchając nosem w szkło i kapiąc wodą na wydęty gors koszuli.

Andrzej uśmiechał się wyrozumiale na pochwały Gondziłła.

— Dajże pokój, Julku. — I podczas, gdy Laterna, zajęty rachunkiem, mówił coś do płatniczego, z tym samym urągliwym uśmieszkiem zwrócił się w stronę podnoszącego się już Lina: — Ja nie rozumiem, czemu pan się denerwuje — rzekł półgłosem — przecież nawet cała ta karteczka pisana jest *na maszynie*.

Lin cofnął się jak ukąszony. I w jego łagodnych oczach, gdy spojrzał na Andrzeja, była nienawiść.

— Ja go znam — upierał się jeszcze Gondziłł. — To dobry chłop, złote serce, tylko taki pieski charakter..

16

Nienawiść, Szaleństwo, Zazdrość, Cierpienie, Pogarda

Omski powrócił do domu z rautu zupełnie szalony. Wszystko, co słyszał, huczało mu w głowie jak młot piekielny. Przeskoki od najostrzejszej nienawiści, poprzez długie perswazje — aż do tkliwości, do korzenia się w prochu, do tęsknoty palącej — sprawiały mu niewysłowione cierpienie, którego zupełnie dotąd nie znał, o którym nie miał żadnego wyobrażenia.

Ona, ona! Nagle wracała ta nienawiść ohydna, męka zazdrości i najgorszego poniżenia. Uczuwał pogardę i obrzydzenie, w którym sam płonął ze wstydu — za nią czy za siebie...

Bo skądże wzięło się to wszystko? Skądże, jako najstraszliwszej niespodzianki, doznał tego właśnie, o czym właściwie od początku wiedział, o czym nie wątpi wcale — a tylko myśl tę od siebie odsuwał, jako żenującą, jako niby niewłaściwą.

Wiedział od początku — a przecież jakby dowiedział się dopiero w tej chwili, gdy posłyszał te słowa Gondziłła.

I to już stało się nieodwołalne. Ta sprawa daleka i obojętna miała dla niego teraz znaczenie zupełnego nieszczęścia, najgłębszej klęski osobistej.

Mówił sam sobie rzeczy najgorsze: „Więc jakże to się stało, jakże się stało, że właśnie wszedłem w to błoto... Kim ona jest, ta kobieta?". I mówił sobie, kim ona jest.

A pośród tego widział nagle ją całą na tle tanecznej sali. Widział ją całą — i wcale nie mógł jej zobaczyć. I cała siła męki, oburzenia, pogardy zamieniała się nagle w jedną straszliwą tęsknotę...

Nie był w stanie zachować spokoju, nie mógł tak siedzieć na brzegu łóżka z czołem na drewnie poręczy, z zaciśniętymi, załamanymi rękami. Zrywał się, by biegać w ciasnocie i mroku między sprzętami, roztrącać je o ściany.

Sprawiony hałas przywracał mu przytomność.

Wziął płaszcz i czapkę i cicho wyszedł z pokoju. W ciemności schodów ręki jego dotknął zimnym i mokrym nosem swoim mały, życzliwy piesek Laterny, spacery swoje po sieni i schodach znaczący zwykle śladami nieporządku. Mijając drzwi od mieszkania profesora, Omski posłyszał gniewliwe, niezrozumiałe mamrotanie. Była to zbudzona ze snu zachcianką pieska wieloletnia kochanka Laterny, prosta francuska dziewczyna, przywieziona z szerokiego świata i pędząca tu, przy boku mądrego człowieka, głupie życie, bez przyjaciół i bliskich, całymi dniami zamknięta z psem w brudnych, wypełnionych książkami pokoikach uczonego.

Deszcz ustał, ale mokre były chodniki i ulice w mętnym świetle pochmurnego, wiosennego przedświtu. Z drzew ulicznych zimne krople otrząsał wschodni wiatr.

Omski pogardzał sobą za ten zamiar, ale nie był w możliwości go zaniechać: musiał być tam — na jej ulicy, w pobliżu jej domu, pod jej oknem...

Niedaleko za bramą spotkał Omski Laternę, który wracał do siebie, i Lina, który go widocznie odprowadzał. Spojrzał na nich zdumiony, jak gdyby ich tutaj obecność była czymś całkiem niepojętym, i rzucił im w przelocie ukłon machinalny — bez skinienia i bez uśmiechu.

Szedł dalej szybko, patrząc tylko pod nogi. Ale gdy już dochodził do ulicy, przy której mieszkali Hennertowie, zatrzymał się i nagle zawrócił w stronę domu. Uczuwał niesłychane zmęczenie.

Znalazłszy się znów u siebie, zrzucił co prędzej ubranie i upadł na łóżko, wyczerpany tą wędrówką bardziej niż wielomilowym marszem.

Pomimo późnej pory w mieszkaniu profesora nie było ciszy. Na krótką chwilę zwróciło to uwagę Omskiego, profesor bowiem nie zwykł był prowadzić rozmów ze swoją towarzyszką życia. Domyślił się jednak, że widocznie musiał wraz z profesorem zajść na górę Lin.

Omski zapadł w sen głęboki, ale niedługo trwający. Obudził się, było jasno. Spojrzał na zegarek — spał zaledwie godzinę.

Zamknął oczy i oddał się na żer swojej męce.

Po sto razy przysięgał sobie, że nie zobaczy jej więcej. Uzyska łatwo przeniesienie gdzieś na Kresy, wyjedzie, wyjedzie. W marzeniu przeżywał miesiące i lata rozłąki, tęsknoty żarliwej, daremnej, żywiącej się tym jedynym wieczorem rozkoszy — zanim usłyszał, zanim usłyszał...

„Te głupie parę tysiączków odszkodowania...".

W chmurne, pachnące kwiatami i zielenią rano, zamknięty w sali biura, zatopiony w pracy, trzymany w napięciu przez walące się jedna za drugą sprawy i zadania, skupiony i zacięty, nie pamiętał o niczym. Każde otwarcie się drzwi, każdy nowy człowiek, pojawiający się na progu — to było nowe, twarde i surowe pytanie życia... Tylko w ciele tkwiła pamięć udręki jak mała drzazga w palcu. Na koniec był zmęczony, od stóp do głowy uczuwał w mięśniach ból zmęczenia.

Ale gdy tylko skończyły się godziny pracy i jej treść odpadła od świadomości, zaraz na wolne miejsce w mózgu wtłoczyła się ciężka bryła gniewu, huczący wał nienawiści. Ach, odpłacić jakoś za ten wstyd serca, za najcięższą obelgę duszy.

W miarę, jak zbliżał się wieczór, słabło postanowienie rozłąki i rozrastała się nad nim nieposkromiona chęć zemsty.

A wieczorem — ponury, żółty, udręczony — wyświeżył się i poszedł do Hennertów.

Zemsta, Rozstanie

W momencie, gdy przestępował ich próg, rzeczy stały w sposób niejako kompromisowy; przyszedł mianowicie nie wprost z zamiarem zemsty, nie, krótko mówiąc, aby zabić, ale aby sprawę „wyjaśnić" Co z jednej strony miało być wstępem do wyjazdu i rozstania, z drugiej zaś stanowić formę zemsty wyrafinowanej.

Wszedł, przywitał się, usiadł. Nie było Sednowskiego. Nie było Sednowskiego! Cóż za ulga. I Omski stał się nagle wewnętrznie dobry, rzewny, pełen wdzięczności — za to jedno, co przecież nic nie znaczyło.

Byli tylko domowi, pan Nutka i znowu Lin. Omski coś jadł z innymi przy stole. Nie było Sednowskiego, ale w każdej chwili mógł przyjść. Omski patrzył, doznawał upojenia i męki. Pioruny leciały mu z oczu, a twarz miał żółto-bladą jak męczennik chrześcijański.

Nienawiść, Przemiana

Tak nadszedł czas odejścia. Stali już w przedpokoju, żegnając się i jeszcze gawędząc. Omski, mówiąc półgłosem, odciągnął panią Teresę we wnękę drzwi, otwartych do salonu, na miejsce dla wszystkich zresztą widoczne. Patrzyła na niego mile, słodko, trochę pytająco, ale ufnie. I to jej zimne okrucieństwo nieświadomości poderwało w nim teraz nagle całą nienawiść, gotową, kipiącą chęć śmiertelnej zemsty. Blada, pochmurna, ale zwyczajna dotąd jego twarz w mgnieniu oka przeobraziła się dziwnie, jakby zdziczała. Rozsadzone źrenice stanęły samotne wśród białek, długie, złe zęby wyszły zupełnie z cienkich warg.

— Pani nie powinna przyjmować u siebie swego dawnego kochanka! Jak pani może przyjmować u siebie swego dawnego kochanka!

W miarę, jak wymawiał te wyrazy, ponosiła go pasja i hazard. Jeszcze chwila — i mógłby pochwycić ją za ramiona, trząść we wściekłości, rzucić o ziemię.

Strach

Jej odskoczenie w tył, nieopisane zdumienie na twarzy, jej strach, zupełnie zwierzęcy strach wobec niebezpieczeństwa — sprawiły mu szaloną wewnętrzną radość. Nasycił go wreszcie ten dziki popłoch w niej — zawsze spokojnej, zawsze oddychającej bezpieczeństwem — ten ciemny rumieniec męki, który oblał jej policzki i czoło, i nawet oczy napełnił łzami.

Dokonawszy swego, Omski stał się znów zwykły, poprawny. Odstąpił o krok i — jakby nic nie zaszło — złożył przed nią ostatni pożegnalny ukłon.

Wyszedł z Nutką i Linem i co prędzej z nimi się rozstał. Szedł do siebie.

Oddychał ciężko. Wiedział dobrze, co musi tam teraz czuć ona, jak ciężko ją obraził on, obcy człowiek, i jak zupełnie jest wobec tego bezbronna.

Nie miał wcale wyrzutów sumienia, nie czuł litości. Och, nie! Śmiał się. Wiedział, że ona nie ma poskarżyć się komu. Czyż Hennertowi powie, który, wiedząc...? Czy on się oburzy, ujmie za nią, zażąda zadośćuczynienia?

Nie tylko nie powie, ale nawet nie ośmieli się jego, Omskiego, nie przyjąć, gdyby na przykład zechciał jeszcze po tym przyjść, nie ośmieli się nie oddać mu ukłonu na ulicy.

Ach, jakąż miał dla niej pogardę właśnie za ten strach, za tę pokorę wobec ciosu. Przecież nie oburzyła się wcale, nie powiedziała nic — w całym przerażeniu swym i nieszczęściu o to jedynie dbając, by tamci nie posłyszeli, by nie zauważył nikt.

A jemu nie zależało na niczym, dla niego mogli sobie usłyszeć wszyscy. Nie on bałby się skandalu albo pojedynku. I czuł mściwą rozkosz przewagi nad tymi, którym na czymś zależy.

Zemścił się! Umiał dotknąć do żywego i uczuć najwyższą stąd płynącą radość. Cóż to było? Nigdy dotąd nie doznawał niczego podobnego, a przecież nie było to dla niego całkiem nowe... Było zastane w sobie, gotowe, umiane dobrze — od głębin dzieciństwa: ten spokój nagły, ta radość, gdy wreszcie ujrzy się bezbronne przerażenie, bezsilne w oczach łzy rozpaczy...

„Tak, tak", pomyślał. „Jestem teraz taki jak ojciec. Taki właśnie jestem. To nic".

Nazajutrz i w następnych dniach Omski trwał w postanowieniu, że nigdy już nie przestąpi tamtego progu. Był zacięty, mściwy, do głębi zadowolony z ostrego lekarstwa, jakim uleczył słabość haniebną swego serca. A na czwarty dzień zmienił postanowienie — i to zupełnie nagle, łatwo, bez chwili wahania.

Poszedł i przystąpił ten próg spokojnie, pewny swej bezkarności. Myślał nawet: „A jeżeli powiedziała, to jeszcze lepiej.

W przedpokoju witał go Hennert — miły, gładki, przepraszający, że właśnie oto niestety tak się spieszy... Ale „jego panie" są szczęśliwie... O tu, przepraszam... Służę...

Nie powiedziała.

Omski poszedł sobie przez duży salon — niby ktoś domowy, pobieżnym powitaniem wyminął Wandę, która, stojąc, kłóciła się z Andrzejem Laterną — i w drugim salonie zastał samą Teresę. Haftowała tam przy świetle małej, owiniętej jedwabiem lampy jakąś chusteczkę.

Powstała natychmiast, gdy wszedł, wyprostowała się sztywno, pobladła. Nie powiedziała nic, tylko patrzyła powiększającymi się oczyma, jak szedł ku niej. A w tych jej oczach nawet nie było nienawiści.

To raczej on, Omski, miał swoją minę ponurą, trochę obrażoną, wymagającą względów i szczególnej delikatności. Podszedł, wziął ją za rękę, której mu wcale nie wyrwała, pocałował krótko, w sposób zwyczajny, w ukłonie — i, nie puszczając tej ręki, pociągnął Teresę z widowni drzwi otwartych w bok ku oknu.

Patrzyła, czekając, co powie lub uczyni — i znów tą bezbronnością, tym zamarciem z przerażenia zdawała się całkowicie na jego łaskę.

Bez najmniejszego oporu pozwoliła się zgnieść w objęciach i całować sobie skronie i włosy.

Zrozumiał, że ona leci w to jak w otchłań — tylko ze strachu, *bez cienia uczucia* — i znowu jego długie, białe zęby wyszły z rozciągniętych nienawiścią warg. Miłość, Cierpienie

— Czemu ty mnie tak dręczysz? — powiedział on do niej, nie ona do niego. — Czemu, powiedz!

— Jezus Maria — wyszeptała Teresa, załamując ręce z całej siły, wciskając je sobie w usta, by nie krzyczeć. Jej oczy były znowu mokre od łez.

Pomyślał: „Co to znaczy? Nie można tak cierpieć, ja chyba umrę z tej męki".

— Nie bój się. Jeżeli wejdą, zabiję ciebie i siebie — uspokoił ją, gdy próbowała przez chwilę się wyzwolić.

Jakaż to była męczarnia! Nic nie dawało mu szczęścia — całowanie jej rąk, jej ust, nagiej szyi.

— Nie rozumiesz, co to jest tak kochać — szeptał chrapliwie, zesuwając się po niej ramionami aż do stóp.

Leżał na ziemi i całował jej małe pantofelki. Nie odrywał od nich głowy. Skrępowana uściskiem, stała w miejscu, bez ruchu, lekko pochylając w dół głowę.

Po długiej chwili, gdy sam odsunął się w milczeniu, usiadła bezsilnie na krześle i odezwała się, przejęta zgrozą:

— Jak pan mógł, o Boże, jak pan mógł!

Zaraz później z Wandą, Andrzejem i Curllem poszli razem do teatru.

Odtąd Omski stał się łagodny, cicho gorejący w męce. Był pokorny, cierpiał w milczeniu.

Sednowskiego nie było — i to mu wystarczało. Straszny gad zazdrości leżał na dnie uśpiony.

Omski kochał bez wzajemności i bez skargi.

17

Binia siedziała blisko okna — przy wąskiej rynience z kwitnącymi pelargoniami, w słońcu ciekącym przez batystowe firanki. Obok, na kwiecistej, kretonowej kanapce leżała świeżo wyprasowana bielizna, oczekująca naprawy. Binia miała przed sobą dwie godziny miłej pracy — zanim nadejdzie pora przyrządzenia kakao dla chłopców.

Zdrada, List

Szyjąc, ocierała łzy. Tak. Od czasu owego listu... Bo miała tę słabość, bo była tak nieszlachetna, że przeczytała ten list — znaleziony na dnie szafy z ubraniem, pognieciony, wyświechtany, noszony już od dawna w jakiejś kieszeni munduru. I odtąd zaczęła się ta łatwość płakania o byle co...

Binia płakała nad balią, nad teneryfami, na spacerze. Ale umiała przestać płakać natychmiast, gdy tylko tak sobie postanowiła, gdy tylko tak było trzeba. Szło bowiem o to, by Julek nie odgadł, że wie, by się ani przez chwilę nie domyślał.

To była prawda, co powiedziała Laternie. Nie jej wcale było zasługą, że Julek zrobił się taki elegancki. Na „po domu" miał swoje dawne, dziwaczne ubiory: koszulę nocną bez kołnierza, ranne pantofle, rozhuśtane z tylu szelki. Na „po domu" zawsze był zmęczony, niechętny, głowę miał „pełną swoich kłopotów". A gdy ubierał się w wyczyszczony mundur, brał świeży kołnierzyk i mankiety, naciągał miękkie, ślicznie uprane białe rękawiczki — to już było wiadomo, co to znaczy...

Wspomnienia

I Binia wystrzegała się wspomnień, które dla innych bywały pokrzepieniem. Ale gdy tak siedziała sama, przez głowę jej przesuwały się myśli jakiekolwiek, niechciane, samowolne, nieprzerwane jak długa taśma. I czasami — wbrew chęci — musiała myśleć o tym czasie, gdy zobaczyła go pierwszy raz, w szpitalu, zwykłego prostego żołnierza, umierającego bohatera. Miał umrzeć i nie umarł. Robiono mu sześć razy operację rannej nogi w biodrze i dziesiątki opatrunków, przy których, oblany potem, z bólu tracił przytomność. Musiała myśleć o jego smutnym męstwie, jego milczących, chrapliwych, tajonych jękach po nocy. Podchodziła do jego łóżka, pytając, a on odwracał ponuro oczy, nie odpowiadał wcale, nie chciał nic — udręczony miesiącami gorączki, bezsenności i cierpienia.

Musiała myśleć — nie chcąc — o jego miłości, która rozpaliła się na najwyższych progach duszy. Doznawał jej wówczas z tą samą zaciętą dumą, z tą samą śmiertelną mocą, co dawniej bólu. Tak samo chmurnie i milcząco. Przecież mógł był popełnić wszelkie szaleństwo dla uzyskania jej uśmiechu, każdy pocałunek mógł być zapłacony życiem... Wtedy...

Ale nie, nie... Nawet gdy zdarzyło się jej na przekór woli myśleć o tym, nawet wówczas wiedziała na pewno, że nie zmieniło się nic. Tylko tyle, że jej już nie kocha — ale w głębi swojej jest taki sam jak wtedy, jest ten sam. Trwała w niej wciąż — poprzez wszystko — wiara w niego i płynąca stąd duma, trwała niezmiennie solidarność z nim i całkowita zgoda na jego jakość.

Binia ocierała łzy i myślała sobie, że przeszłość, nawet szczęśliwa, zawsze mniej warta jest od teraźniejszości.

Przede wszystkim dlatego, że już jej nie ma. Rozmawiała o tym kiedyś z profesorem Laterną. Następnie zaś, że w czasie nawet szczęścia minionego było się przecież uboższym o wszystko później doznane.

Po prostu strach ogarnia zawsze na myśl, jak głupim było się jeszcze przed dwoma albo trzema laty. Cóż tam za szczęście może być w młodości, kiedy jeszcze nie ma się pojęcia o niczym.

A dzisiejszy dzień — z całą swoją zgryzotą — jakże jest drogi i kochany...

Tego dnia Gondziłł nie był w domu na obiedzie, nie przyszedł także na kolację. Binia czekała do ostatniej chwili jak zawsze, później przestawała czekać, a później czekała znowu.

Płynęły godziny wieczora, później płynęły godziny nocy. Każdy szelest wydawał się znakiem oczekiwanego powrotu.

Długo noc za oknem była ciemniejsza od wnętrza pokoju, aż z wolna wnętrze pokoju stawało się ciemniejsze.

Binia zamykała oczy i otwierała je znowu. Te same myśli przesuwały się przez głowę jak długa taśma — nieprzerwane, niechciane, byle jakie. Aż nagle wszystko stanęło, zamarło w bezruchu — tylko serce uderzało powoli: buch, buch...

To Stanisław zerwał się w kuchni ze snu, otwierał drzwi wchodowe, klekocząc łańcuchem. Gorliwy i pośpieszny, wpuszczał do domu powracającego nad ranem pana porucznika, przejęty ważnością swej misji, pełen niezachwianego szacunku.

Stuknęły jedne drzwi i drugie. Binia miała oczy zamknięte.

— Nie śpisz? — zapytał Gondziłł, wchodząc do sypialni.

Zrozumiała natychmiast to pytanie, odczuła jego treść. Znała ową miękkość głosu, która to jedno tylko oznaczać mogła.

Od dawna już między nimi nie było miłości — na długo nawet przed owym listem. Wiadome było nawzajem i ustalone, że już więcej nie można mieć dzieci, że z dwojgiem nazbyt jest ciężko... Milczała przez chwilę, myśląc prędko.

— Nie śpisz? — powtórzył.

— Nie, nie...

Nie zdradziła się ze swym popłochem. Jej smutne myśli przepłynęły tylko przez głowę, ale nie obeszły serca, które biło teraz po cichu najgłębszą tkliwością i szczęściem.

Przy krótkim świetle zapałki ujrzała jego twarz, jak zwykle zagniewaną. Gondziłł zły był sam na siebie, że „ulega".

I to zrozumiała także. Ale nie wiedziała wcale, co sprowadziło tę nagłą zmianę, ten powrót. Co stało się z tamtą kobietą? Czy to jest coś ważnego, coś prawdziwego — czy jakaś przelotna chwila? Ach, mniejsza o to... Dbała teraz jedynie, by nie okazać zdziwienia, by ukryć łzy, by tylko się nie domyślił, że ona wie...

Miłość, Poświęcenie

Odsunęła się od brzegu dawnym nawykiem — jak gdyby nic wcale się nie zmieniło — zrobiła mu miejsce obok siebie i w szarej ciemności wyciągnęła ręce.

Miała oto zmazać winę jego i nawet żal za nią, miała przekonać go, że nie przerwie się szczęście, miała zataić przed nim prawdę o nim.

Wydając się tak na nowe macierzyństwo, nie uczuwała już obawy ani troski. Myślała, że jeżeli teraz może urodzi się córeczka, to on będzie szczęśliwy, będzie dobry i pogodny — i wtedy wszystko się zmieni.

Z radością czuła, jak płomień jej szczęścia i miłości ogarnia go upojeniem. W milczeniu, jednym pocałunkiem wyznała mu to, co w niej było — i nigdy nie mogło się zmienić.

Przez to, co ona czuła, on stawał się lepszy, piękniejszy, droższy nade wszystko. Musiała więc tak czuć.

Całe jej ciało przesycone było światłem duszy.

W ciemności i tajemnicy, w milczeniu i pieszczocie dokonywało się to pojednanie — jakby w sekrecie przed nim samym, by go nie upokorzyć. By nic nie wiedział, na jakim smutku, na jakiej pustce i zniszczeniu wykwitła ta noc szczęścia i wartości.

18

— Co pan zrobił z tym moim Linem? — dąsała się Wanda na Andrzeja Laternę.

Andrzej wzruszył ramionami.

— Ja z nim nic nie zrobiłem — odrzekł. — I zresztą co on panią obchodzi. Jeszcze póki nosił mundur, popisywał się na konkursach... Ale teraz...

— O, niechaj pan tylko nie będzie zazdrosny. Ja doskonale wiem, że z nim coś się stało. Od tamtego wieczora boczy się, nie przyszedł ani razu. To było po tych waszych konszachtach. Ja się wszystkiego dowiem od Curlla, niech pan poczeka!

Andrzej uśmiechnął się tylko z politowaniem.

Przyszedł tu w nadziei, że zastanie Omskiego. Ale Omskiego nie było.

W drugim pokoju pani Teresa siedziała sama i coś sobie haftowała.

Z gabinetu Hennerta wysunął się Sednowski. Zdziwiła się i jakby przelękła na jego widok.

— Nic nie wiedziałam, że jesteś — powiedziała. — Czy nie ma Józika?

Sednowski ucałował obie jej ręce i rozsiadł się szeroko tuż obok, na tej samej kanapce.

— Hennert jest — powiedział tonem uspokajającym.— Ale teraz przyleciał Sasin z jakimiś wiadomościami o Gondzille i ogromnie wystraszoną miną. Naradzają się nad czymś, więc nie chcę przeszkadzać.

— Może to idzie o małżeństwo Eli? — spytała Teresa.

Nie, gdzież tam. Małżeństwo Eli jest już zupełnie zdecydowane.

Teresa wątpiła.

— Czyż to jest prawda? Czy to jest możliwe, ty myślisz?

— Czy jest możliwe? Ojej, dlaczego nie! Jeżeli tylko sam Hennert przystaje na utratę sekretarki. — Śmiał się głośno. — Tu nie ma żadnego mezaliansu, Elżbieta to całkiem posażna jedynaczka.

Roześmiała się i Teresa, ale spoważniała zaraz i obejrzała się niespokojnie.

— Nie jesteś usposobiona? — zapytał, przechylając się ku niej blisko. — Czy źle się czujesz?

Ona się zmieszała. Mówiła z trudnością, nieśmiało:

— To źle, że tak lekceważysz ten mój niepokój. Bo to nie jest rzecz błaha, to nie jest żadna imaginacja. Tak chciałabym, żebyś tu nie przychodził, przynajmniej przez jakiś czas. Niedługo przecież wyjeżdżamy.

Sednowski śmiał się swym pełnym, dźwięcznym śmiechem człowieka pewnego siebie i z siebie zadowolonego.

— Jesteś nieporównana — mówił, trzymając ją wpół i bawiąc się jej rękami. — Zawsze taka rozumna, taka rozsądna. I teraz to dzieciństwo[91]... Ty wierzysz naprawdę w miłość tego chłopaka? To spryciarz, umiejący robić karierę. Jemu po prostu potrzebny jest do czegoś Hennert, jestem tego pewien. Chce cię ująć, chce ci pochlebić tą zazdrością, nic więcej.

Teresa słabła, niezdecydowana. Chętnie dawała sobie wyperswadować rzecz kłopotliwą.

Siedziała bezpieczna, pogodna i z miłym roztargnieniem słuchała teraz gawędy Sednowskiego.

Stosunek ich był jakby przyjaźnią bliskich kuzynów lub starego, zgodnego małżeństwa.

Sednowski, tak zawsze pewny siebie, swobodny, panujący nad otoczeniem — wobec niej jednej, sam na sam, stawał się zupełnie inny. Pozwalał sobie być szczerym, być słabym. Był to z jego strony jakby negliż psychiczny.

Skarżył się, że jest już stary, gdy ona zachowała tyle młodości. Miał dolegliwości artretyczne, niepokoje serca, z których powodu przestał palić i pić. Opowiadał różne troski swoje, małe kłopoty. Musiał oto sprowadzić teraz żonę ze wsi, a nie chciał. Nie wiedział, czy ma tu kupować mieszkanie — tak dobrze, tak swobodnie czuł się w hotelu. Narzekał też na Hennerta, że korzysta z jego zaufania i naiwności, że bez ceremonii obłupia go ze wspólnych zarobków.

Interes

— Prawda, że on dał tę koncesję, ale cały prawie kapitał był mój. I moje nazwisko, to też przecież coś znaczy. A dziś mi powiada...

Teresa słuchała, ze skrzyżowanymi na kolanach dłońmi, spokojna, trochę znudzona. Nagle przerwała:

[91] *dzieciństwo* — tu: dziecinada. [przypis edytorski]

— Ale gdyby on przyszedł, mój drogi, to jednak wejdź zaraz do Józika. Przyrzecz mi, to naprawdę tak mię denerwuje...

Sednowski objął ją znowu i, przechylony ku niej, całował ją w szyję i włosy.

— Pyszna jesteś, Tereniu, z tym zalęknieniem sarenki w twoim wieku... Podobasz mi się, daję słowo... — Odsunął się nieco i patrzył na nią, rozbawiony, podniecony. — Daję słowo, jeszcze ładniejsza jesteś teraz niż dawniej. Z każdym dniem ładniejsza... — Zniżył głos. — Jakże to już dawno nie byłaś u mnie... Pomyśl, niedobra...

Jej oczy zrobiły się okrągłe z przerażenia. A Sednowski trząsł się ze śmiechu — znowu teraz odzyskujący przewagę, pełen wyższości pobłażliwej, protekcjonalny i dobrotliwy.

— No, nie bój się, nie bój... To nie są czasy sztyletów i trucizny...

Wszedł Laterna, by pożegnać się z Teresą. Ani on, ani Wanda nie byli wcale zdziwieni tym bliskim sam na sam. Sednowski miał w tym domu przywileje.

Andrzej wyjaśnił, że zamierza znów wyjechać na jakiś czas, a Teresa życzyła mu szybkiego i szczęśliwego powrotu.

Po jego odejściu Wanda ubrała się pośpiesznie i wyszła z domu.

Nie wiedziała, gdzie to jest, nigdy tam nie była. Ale pamiętała adres — i sama odszukała ulicę, dom, brudne drzwi na czarnych, drewnianych schodach.

Zadzwoniła — niespokojna, niepewna, czy go zastanie. Na szczęście, usłyszała kroki w przedpokoju. Drzwi otworzyła stara kobieta, którą wzięła za służącą, a która była matką Lina.

Nazbyt uprzejma i skwapliwa, a przy tym zakłopotana, wprowadziła Wandę w głąb mieszkania. Musiały minąć jakiś cudzy pokój jadalny, w którym na stojącym pod ścianą łożu spoczywała tłusta kobieta z włosami w siatce i na brudnej kołdrze rozkładała pasjans. Z ciemnej sieni weszły do pokoiku przy kuchni. Lin leżał czy spał na sofie, z której zerwał się na widok Wandy.

— I pani przyszła sama — powiedział prawie bez zdziwienia, jakby z żalem czy współczuciem.

Miał wyraz twarzy ludzi cierpiących na bezsenność, był blady i oczy mu błyszczały.

— Naturalnie, że przyszłam — odrzekła Wanda.

Teraz dopiero przywitała się ze starszą panią, która pozostała w pokoju i patrzyła na nią wyczekująco. Rozejrzawszy się, Wanda zrozumiała, że ten pokoik zamieszkiwali razem.

Usiadła na brzegu jakiegoś łóżka, spoważniała, patrząc na niego.

— Co panu się stało? Co pana dręczy?

Była zdziwiona jego zaniedbanym wyglądem. Miał na sobie starą kurtkę wojskową i włosy nieprzygładzone.

Starał się uśmiechnąć.

— Nic, zabrałem się do pracy, do pisania, o, widzi pani. — Na rozstawionym pod oknem stoliku do kart zobaczyła paski papieru i niezatkaną buteleczkę z atramentem. — Zabrałem się do pisania, ale jakoś mi nie idzie...

— Tak?

Lin znowu uśmiechnął się z przymusem.

— Chciałem tylko uporządkować to cokolwiek...

Umilkli i chwilę siedzieli w milczeniu. Wtedy Wanda spostrzegła, że matki Lina nie ma już w pokoju, chociaż nie zauważyła, kiedy wyszła.

— Przekonałem się, że nie mam woli, że jestem człowiekiem niezdolnym do czynu — wyznał wreszcie Lin.

Mówiąc, podniósł się i palcami, bezwiednie jakby, przewracał w papierach na stoliku.

— Więc cóż? — spytała Wanda. — Do jakiego czynu?

— No, uważam na przykład, że powinienem coś zrobić, dokonuję tego z największym wysiłkiem, odnoszę nadludzkie zwycięstwo nad sobą i później okazuje się, że to właśnie...

— Co panu jest? — przerwała niecierpliwie.

— Nie, bo ja mówię pani co innego. Właściwie nie o to idzie. Tylko, że jeżeli mogłem znieść tę myśl, to powinienem też móc znieść ten czyn. To jest wszystko. A nie mogę. Widzi pani: zupełnie nie mogę, nie mogę go znieść.

— Jakiego czynu?

Lin nie odpowiedział.

— A pan wie, co to jest człowiek silnej woli? Taki na przykład, za jakiego ma się Curll? To taki, który nie rozumie potrzeby robienia tego, czego robić nie ma chęci. — Po chwili dodała jeszcze pouczająco: — Właśnie człowiek woli nigdy siebie nie przezwycięża.

Lin słuchał uważnie, nie mogąc jednak zrozumieć. Gdy skończyła, milczał, patrząc na młodą jej twarz w cieniu kapelusza, na żywe, świadome jej oczy.

— A teraz właśnie był Laterna — przerwała tę ciszę, trochę zmieszana.

Straszny ból wykrzywił bladą twarz Lina.

— O Boże, co panu jest? — zapytała z niepokojem jeszcze raz.

Wstała i podeszła do niego.

— Pan nie jest szczery. Dlaczego pan mi nie mówi wszystkiego? Czy ja nie mam prawa pytać?

Tak powiedziała: „Czy ja nie mam prawa pytać?". I młode jej oczy świeciły czystym uczuciem. A Lin pomyślał z rozpaczą, że właśnie teraz, gdy już jest za późno, że może teraz...

Cofnął się z jej pobliża, zachwiał dziwnie i upadł na sofę, na której dotąd leżała zgnieciona jego głową poduszka. Wanda usiadła obok i wzięła go za rękę.

Idealista, Honor

— To zaczęło się dawno — mówił ze schyloną głową. — Nie chciałem się wykręcać, nie chciałem zasłaniać sobie oczu. Ten dylemat jest wszędzie naokoło, sterczy z życia jak natrętny dyl[92] z płotu. Oczy go widzą tutaj, tam, ciągle. Zacząłem myśleć, czybym zdołał, czy miałbym siłę w pewnej, nieodzownej chwili wyrzec się człowieka... Bo idea, oderwana od człowieka, staje się łatwo mrzonką, tanim marzeniem, za które można co najwyżej stracić życie... — Zaciął się. — Za które nie potrzeba tracić honoru... Mówi się: „siła ducha"... Jaka słodycz i słabość w tym słowie, gdy stoi się samotnie i nie roni z siebie nic. Ale wziąć na siebie odpowiedzialność za cudze błędy, za cudze winy, po prostu stanąć w szeregu do czynu, trwać solidarnie poprzez wszystko... Tylko tym okupuje się rzeczywistość. Bo to jest łatwo iść za swoją prawdą, dobrą i czystą, którą z wielu innych uważa się za jedyną, pozostać na boku i tylko „być w zgodzie z sobą"... Ale przecież przychodzi ta chwila, kiedy myśl domaga się swej rzeczywistości, kiedy trzeba wyciągnąć z niej konsekwencję, kiedy się w imię idei robi podłość.

Wanda słuchała czujnie, pytała oczami. Nagle Lin się roześmiał.

Ojczyzna

— Jak to powiedział ten Laterna... Ojczyzna. Jej doniosłość moralna, jako dogmatu, jest całkowicie zapoznana. Mówi się: mój język, moje pola, lasy, ta ziemia, w której spoczywają prochy przodków, w której spocznę ja... Wcale nie o to chodzi! Ojczyzna to jest „najwyższa racja", tak się wyraził. Tam, gdzie już nie wystarcza rozum, sprawiedliwość, tam gdzie nie wystarcza sumienie, tam właśnie potrzebna jest ojczyzna. Czyż nie? — Chciał się jeszcze roześmiać, ale skrzywił się tylko. — Otóż, proszę pani, rzecz w tym, że znowu dla nich taką samą najwyższą racją jest rewolucja. — Wysunął rękę z dłoni Wandy, zaplótł ręce, zacisnął z całej siły. — Ale to właśnie zrozumiałem o dziesięć dni, może tylko o tydzień, za późno. — Odetchnął głęboko. — Tak. Póki tego nie zrozumiałem, wszystko niejako było w porządku. Po prostu dalszy ciąg, naturalny wynik tej pewności, jeden jeszcze krok na tej samej drodze, na jej przedłużeniu w świecie „czynu". Bo wewnętrznie nie miałem wcale wahań, nie miałem wątpliwości: było to zbyt ciężkie, aby nie miało być ofiarą... Tak: ofiarą i bohaterstwem... A potem — Wanda nie wiedziała, co miał na myśli — byłem prawie przez całą noc u jego ojca, u starego Laterny.

— I jemu pan powiedział?

— O, nie aby mu się zwierzać. Nie powiedziałem mu nic. Słuchałem. I oto może mógłbym teraz myśleć jak on, może mógłbym zgodzić się. Nie tylko na naturę, która powinna być przyjęta w całej swej rozciągłości, ze słońcami i gwiazdami, z niebieskim niebem i zieloną ziemią, jak dar, jak wieczna, szeroko rozkwitła radość i całkowite zadośćuczynienie. Nie tylko na zwierzęta pośród niej, żwawe istoty, dziwaczne stwory, sobie ku czemuś potrzebne, które żyją bez żadnej troski, co z tego wyniknie. Ale zgodzić się na ludzi... Można myśleć o cudownej ich roli, małych i czarnych, pośród tajemnych obszarów świata. Można myśleć i płonąć z uniesienia, zdumienia czy zachwytu. Wszystko podziwiać i pochwalać: bieg huczący pociągu, niesłychaną, nieznaną w naturze prostolinijną koncepcję miast, szumiący dygot organizmów żelaznych w halach maszyn i te zwierzęta,

[92] *dyl* — belka, deska. [przypis edytorski]

wprzęgnięte w mechanizm celów ludzkich, nierozumiejące, ale ufające, że tak trzeba... Wiadome i niewiadome żyje obecne w ludziach i naokoło nich. I może mógłbym teraz myśleć o tych niektórych, co pochylają się niżej, patrząc, poznają uważniej, wiedzą. I oto na cegłach asyryjskich, na papirusach, na pergaminach, na czerpanym i drzewnym papierze, pełni radości i męczarni, czułego niepokoju i upajającej nadziei — *mówią siebie*. I słowo to swoje z dziwną beztroską wiarą wysyłają w świat, poprzez epoki i wieki. Czekają długo na odpowiedź i nigdy się nie niecierpliwią... Wystarczy im to, co sami odebrali, wysłuchali z przeszłości, wystarczy najwyższa słodycz doznawania pobratymstwa z dawno zmarłymi, poprzez mroki lat i zasłony egzotyzmów, owa tożsamość smutku i uśmiechu, i wiecznej samotności pośród ludzi, ów na nic niedający się zamienić, bezcenny *dreszcz porozumienia*. Mógłbym może sam żyć w tym świecie cudownym, przez nic niezaprzeczonym, świecie zgody wewnętrznej, pochwały i radości... Ale to jest za późno. Tak samo, jak i to, że pani przyszła. Bo oto wiem, że mogłem był tego nie zrobić, a zrobiłem. I była taka chwila, gdy jeszcze nie zrobiłem, był na tym samym świecie taki dzień!

Lin wziął głowę w dłonie i poruszał nią w obie strony, nieprzytomny z męki. Wanda pochyliła się blisko i, hamując łzy, pytała:

— Na Boga, coś ty zrobił, chłopaku drogi, co ty zrobiłeś? Dlaczego tak się męczysz?

Pocałował obie jej ręce i odsunął ją od siebie. Przez chwilę patrzył w jej twarz.

— Więc tobie jednej powiem. — Ale jeszcze milczał. — Tobie to mówię: napisałem taką kartkę, taki spis, dokładny wykaz z całego pułku, co i jak. Prawie tylko cyfry. Jedna kartka. I niepotrzebnie nawet się denerwuję; sam mi to powiedział, że przecież ta kartka pisana była na maszynie...

Jeszcze raz schyliła się i objęła ramionami jego głowę, przycisnęła ją mocno do piersi. Łzy kapały z jej oczu, gdy mówiła, gdy tak dziecinnie usiłowała go „pocieszyć"...

Prosiła, by się otrząsnął z tego, zapomniał, przestał myśleć wciąż o tym jednym. Jeżeli to jest taka wina, to całym życiem dalszym może ją naprawić.

Przeczył uparcie:

— Wiem, wiem, można myśleć i tak, że dobro i zło zarówno jest potrzebne, że zbrodnia jest warunkiem koniecznym pokuty i odkupienia. Ale cóż mi, gdybym nawet jakoś się oczyścił, gdybym wyznał, odcierpiał, naprawił. Cóż, że uzyskałbym gdzieś jakieś przebaczenie, ja sam, jeżeli w głębi wszystkiego tkwi ten fałsz, ta niemożliwość prawdy. Naturalnie, polityka musi być kompromisem. Nie tylko polityka: w sednie rewolucji tkwi kompromis. I od tego już nie ma ucieczki.

Prosiła, by z nią wyszedł. By — jak dawniej — u nich spędził ten wieczór. Ale odmówił.

Wyszła sama. W ciemnym przedpokoju wstała z kufra matka Lina, która tu przesiedziała czas ich rozmowy.

— Co mu jest? — spytała zalęknionym szeptem. — Czy pani się dowiedziała?

— Nie — odrzekła, nie wiedząc, co powiedzieć, a później dodała prosząco: — Niech pani go pilnuje, ja jeszcze przyjdę jutro...

Gdy stara kobieta wróciła do pokoju, syn nie powiedział do niej nic i nie podniósł na nią oczu. Myślała, że się gniewa na nią. Ale to było co innego.

Spróbował znowu wziąć się do porządkowania swoich papierów. Oto dawniejsze poezje — naiwne, patriotyczne, wojenne. A oto nowe — o mieście, tramwajach, samochodach i domach, o rewolucji... I myślał sobie, że gdyby był mógł ogłosić je drukiem, to ze swoją książeczką („pociecho moja ty...") wszedłby do rodziny tych cierpliwie poprzez wieki czekających na uznanie, na słodką nagrodę zrozumienia...

Gdy matka już usnęła, zasławszy wprzódy na noc jego sofę, Lin leżał na wierzchu pościeli w ubraniu, a łzy ciekły mu z oczu po skroniach.

Musiał jeszcze raz pomyśleć o tym. Była to śmierć Ralfa, młodego wyżła, o której nigdy wspomnieć nie mógł bez zdławienia gardła łzami. Och, był wcieleniem dobroci, życzliwości i uciechy. Ze swą melancholijną, obwieszoną fąflami i uszami, mordą, kipiał szałem wszystkich szczenięcych uniesień. Kto jak on radował się z przybycia pana, kto wielką łapę chętnie podawał na żądanie, kto bardziej złotymi oczami patrzył w głąb serca?

Pies, Śmierć

Za wszelką cenę chciał odgadnąć życzenie, w twarzy pana wyczytać chciał swój los. Czynił źle albo dobrze — ale zawsze w najlepszej wierze, płonąc od gorliwości, od radosnego pośpiechu i zapału. Jeżeli zbłądził, to tylko przez roztrzepanie.

I stało się, że musiał zdechnąć, że już dla niego nie było ratunku. Nawet nie miał żalu do ludzi, że tak się staje, nie wydał z siebie jednego jęku. Pozwolił wlewać sobie w odciągniętą wargę lekarstwo, które powodowało straszliwe wymioty i nie pomogło już nic. Pozwolił zrobić sobie kompres na chore płuca, choć jeszcze ciężej było mu oddychać... Także może myślał, że tak trzeba.

Wstawał ze swego posłania, by jakoś wejść na sofę, gdzie nikt mu już teraz leżeć nie bronił, nikt się nie gniewał... Znowu schodził, postępował parę kroków powoli, podszedł bliżej na chwiejnych łapach, kładł się z wahaniem na gołej ziemi. Czy myślał, gdzie jednak będzie — *najlepiej*...

Lin wziął wtedy w obie ręce jego łeb, objął miękkie uszy z aksamitu — najlżej, najdelikatniej, by nie zakłócić niczym tej w nim straszliwej zgody na śmierć — i wyszeptał błagalnie: „A może jednak nie zdechniesz, Ralfutku".

A później usiadł daleko i patrzył długo, jak znów ułożył się na jakimś miejscu posadzki, omijając plamę słoneczną. Nie podchodził już, nie mówił nic, nie dotykał go, by go nie męczyć, by mu już nie przeszkadzać... Siedział daleko i patrzył, jak jego oczy złote stawały się mętne i tępe, a oddech krótki i męczący. Ale jeszcze nie to miejsce było ostatnie...

Ralf podniósł się, postał chwilę — i zaczął iść, nie wiadomo czemu, w stronę drzwi. Czy tam chciał pójść, do drugiego pokoju, gdzie nikogo nie było? Czy jeszcze na coś liczył w tym losie straszliwym? Doszedł tylko do progu i tu się zatrzymał, u drzwi niezamkniętych, gdzie każdy mógł przejść, gdzie najmniej było schronienia...

To miejsce było ostatnie. Stał chwilę — i zachwiały mu się tylne łapy, że z wolna przysiadł. A później opuścił się i na przednie. Ale rozłożył je dziwnie — szeroko, na zewnątrz łokciami, przypłaszczył się tak, przywarł do ziemi. I zaraz łeb znużony śmiertelnie, brązowy, aksamitny, pełen zawsze psiej pustoty i jedynej troski, aby oto pojąć życzenie i za wszelką cenę dogodzić — ten kochany łeb serdeczny złożył bokiem na lewym łokciu, jak dziecko w trwodze i opuszczeniu. Już wiadomo było, że to teraz. Oczy patrzyły najbliżej, nie były mętne i tępe, tylko nieruchome. Morda z ząbkowaną, brązową wargą otworzyła się trochę i z boku pokazały się kły.

Pokazał kły — on, który był taki dobry, który szczekał tylko z pustoty i zaraz gotów był do nowych pieszczot. On, który nigdy się nie gniewał, nawet odepchnięty, uderzony — patrzył serdecznie, wyczekująco, zawsze pełen najczulszego przebaczenia, zawsze bez zastrzeżeń gotów do zgody i pojednania.

Stał się już tylko zdechłym psem, „padłem", jak napisali w kwitku ci, co go zabrali.

I Lin tego wieczora poświęcił mu ostatnie wspomnienie. Każdy odepchnięty kiedyś gest psiego uczucia, każde surowe słowo — dziś jeszcze wydawało się jak rana.

„Jest dusza", myślał Lin. „Jest dusza w człowieku i w zwierzęciu. Ale to ciało jest duszą...".

I tak — z nieobeschłymi łzami — zapadł w sen.

Coś mu się śniło. Mógł to uważać za bardzo jasną noc jesienną, od ziemi do nieba pełną mgły, która zasłania księżyc, ale nasiąknięta jest jego światłem.

Na niskiej, płaskiej, ciemnej ziemi leży osada ludzi, przypadła do równiny, mała pośród pustki i skazana na zgubę. W ten sposób jednak, że nie wymierają jej mieszkańcy ani nie walą się w gruzy małe domki — *osada przestaje być rzeczywista*.

I tak umierając, przerzuca od siebie, poprzez białą pustkę mgły, ponad czarną, płaską równiną — przerzuca powietrzem jeden muzyczny ton, przesyła go do innej osady ludzkiej, daleko leżącej, osady, która pozostanie. I ton, upadając tam, jest niższy o tercję[93].

W przerzuceniu owego tonu jest uśmiech śmiertelny, śmiertelne, najsmutniejsze pozdrowienie. Ofiara, przechodząca siły i znacząca śmierć.

19

List

Jednego poranka Omski odebrał w biurze list anonimowy. Nieznany autor zawiadamiał w nim, że porucznik piechoty z takim a takim przydziałem, Julian Gondziłł, wart jest, aby się nim trochę bliżej zajęto. Od soboty po południu do poniedziałku z rana kasa jest zawsze pusta. W poniedziałki Gondziłł przyjeżdża do biura z walizką i o porze wcześniejszej

[93] *tercja* — interwał muzyczny (odległość między 3 stopniami skali). [przypis edytorski]

niż inni urzędnicy. Wespół z innym jeszcze oficerem, jednym urzędnikiem i paru „cywilami" zarabia on znaczne sumy, puszczając w obrót państwowe pieniądze i spekulując ponadto na dostawach wojskowych. Następnie, mowa była o „utrzymance" Gondziłła, Sasinównie, i o broszce z dużym brylantem, kupionej przez Gondziłła w oznaczonym dniu i u wymienionego jubilera. Między nazwiskami znajdowało się nazwisko majora Bielskiego, Sasina, a nawet pana Nutki i — Sednowskiego. Przy tym ostatnim zagotowało się w Omskim. Zakończenie listu brzmiało swojsko: „Oto jakie są skutki z polskich oficerów".

Omski — mimo biegłości w zakresie prawa wojskowego i honoru — przez czas pewien wahał się, jaki zrobić użytek z otrzymanego dokumentu. List pisany był przez człowieka prostego, zapewne niższego jakiegoś funkcjonariusza w biurze, rozżalonego może złym potraktowaniem przez Gondziłła. Brak podpisu i naiwna forma kwalifikowały list do zniszczenia. Jednakże fakty, podane dość ściśle i szczegółowo, domagały się rozpatrzenia sprawy.

Po krótkim wahaniu Omski przesłał list zwierzchności bezpośredniej majora Bielskiego i przestał o tym myśleć.

Absorbowały go własne sprawy. Stosunek do Teresy wypełniał całe jego życie psychiczne. Co dzień teraz bywając u Hennertów, doznawał tego straszliwego upojenia jej obecnością, które resztę świata czyniło dla niego pustynią.

Kobieta, Piękno

W tym opętaniu jej osobą nie było jakiegoś jednego cielesnego szczegółu, cechy wyłącznej, która by niewoliła zmysły, stawała się myślą prześladowczą żądzy, niewyczerpanym żerem dla tęsknoty. Teresa nie miała ani osobliwego wyrazu ust w uśmiechu, owego układu zębów w emalii dziąseł albo dziwnego związku wargi górnej z linią nosa, od którego szaleją zmysły, którego nie może zastąpić największa piękność innej kobiety. Ani oczu, za których pewne, jedno jedyne spojrzenie można oddać życie. Ani załamań głosu, z których poznaje się swe przeznaczenie — po latach, w przebraniu, spośród tysiąca innych...

Z Teresą nie można było walczyć. Nie można było zdemaskować, nazwać jej wdzięku, nie można było jej przezwyciężać.

Ten powab tkwił w niej całej i naokoło niej, tkwił jak gdyby w powietrzu, które ją otaczało. Oczy miłe, nie za wielkie, tak zwykłe, że trudne do spamiętania i powtórzenia, usta o prawidłowej linii i umiarkowanym uśmiechu, nos zgrabny, ale bez charakteru, owal twarzy, cera stanowiły całość, niedającą się w wyobraźni zróżniczkować. Jej postać i razem z nią strój, czoło już z uczesaniem, kształt już z ruchem, usta już ze słowami i głosem — składały się na ten urok, którym była proporcja, zgoda i spokój wszystkiego razem. Nic nie wyróżniało się, nie wysuwało ku uwadze z tej całości, od wszystkiego razem szedł powab łagodny bezpieczeństwa, ładu i spokoju.

Miłość

W swoje noce tęsknoty i męki był bezsilny, był głodny: nie miał żeru do rozmyślań. Nie mógł się paść i upijać — jak inni kochankowie — jednym jakimś słowem czy gestem, czy szczegółem postaci. Nie miał nic. Trzeba było koniecznie być przy niej — w jej sferze, w jej powietrzu, tam, dokąd sięgała harmonia jej stosunku ze światem.

Z widzeń z nią nic nie mógł zabrać sobie ze sobą do domu. Była nierozrzutna, zamknięta w swej piękności, dośrodkowa, skąpa.

Takie bezsilne były wobec niej myśli, które mogłyby nasycić, ułatwić tęsknotę. Nic — nic! Pustka zupełna z chwilą, gdy tylko jej nie ma.

Raz sobie pomyślał: „To jest dziwne, kocham jakby nie ją, ale jej obecność".

Jaka okropna miłość, wcale niemająca wspomnień, namiętność dziwna — taka trudna, taka niczym niedająca się oszukać.

Jakże więc wiele musiał pragnąć... Gdyby bowiem nawet go pokochała i należała do niego... Gdyby — jak inni zakonspirowani kochankowie — mogli widzieć się co parę dni w ukryciu, mieć utajone spotkania pieszczot, wspomnieniem ostatniego widzenia żyjąc, czekać na następne... Nie, nie — nic nie było możliwe — prócz bycia ciągle z nią, we dnie i w nocy, oddychania jej powietrzem, karmienia się nieustannego jej bytem.

To, że ona gdzieś jest, nie było żadną pociechą.

Udręczony, upokorzony, wściekły, pozbawiony godności — szedł tam znowu w charakterze przyjaciela domu, uznanego, mającego prawa i nikogo niekrępującego.

Po pierwszych scenach wyrzutów i wyznań Omski uspokoił się na pozór, zaciął w swym smutku, wyrzekł zarówno zemsty, jak nadziei. I Teresa, oswojona teraz z jego codzienną obecnością cichego adoratora, przebaczyła mu jakoś niesłychane zuchwalstwo, nie pamiętała doznanych obelg. Była znowu spokojna, ufna i słodka jak pierwej.

On jednak nie zapomniał niczego.

Zniknięcie Sednowskiego nie zapewniło mu całkowitego uspokojenia. Sam fakt dawał pole rozległe do dociekań i podejrzeń. Jednak na tyle bał się prawdy, co nie miał odwagi, nie miał siły o nią zapytać.

Pożerany nieuśpioną zazdrością, wściekły i podejrzliwy, śledził nieraz Teresę, by czegoś się dowiedzieć, by uzyskać wreszcie jakąś straszliwą pewność.

Czekał długo na ulicy, wiedząc, że w domu jej nie ma. Wreszcie zobaczył ją z daleka, wracała sama. Wracała sama! Jaka ulga, jaki bezmiar szczęścia, jaka rozkoszna cisza bezpieczeństwa — na dzień może, może tylko na jedną godzinę...

Pocałunek

Znalazł się — jak zwykle — na jej drodze. Cała jej postać na tle zmierzchu, ruch jej, gdy tak szła, kolor opływającego ją powietrza, uśmiech, ukłon głowy, podanie ręki napełniły go zachwyceniem. Wziął kluczyk z jej torebki sam. Razem weszli do windy. Wtedy, nie obejmując jej wcale, nachylił się nad nią i, tylko ręką odginając jej głowę, pocałował jej usta.

— Pan źle zrobił — rzekła poważnie, gdy wyszli na schody.

Odwrócił się bez pożegnania, bez ukłonu — i odszedł szybko, ponoszony ponurą wściekłością, najgłębiej sięgającą nienawiścią.

Nie mógł zrozumieć, nie chciał za żadną cenę przystać, aby, nikogo nie kochając, nie kochała także i jego. Wiedział, że Hennert ma kochanki, że niczym jest dla żony — obojętny, tolerancyjny, wygodny. Nie uznawał przeszkód, które podawała od niechcenia: różnica wieku, obowiązki wobec córki... Z ludzi otaczających, z różnych mężczyzn znajomych zatrzymywał się na każdym i po przebyciu wszystkich mąk nieuzasadnionej zazdrości odrzucał ich, jako niemożliwych. I myśl wracała do tego jedynego, o którym na pewno wiedział, do Sednowskiego.

Obiegłszy przez godzinę mnóstwo ulic, przychodził jednakże z powrotem, jechał windą, stawał przed tymi drzwiami. Wchodził ponury, zacięty w smutku, wymagający względów, dobroci i delikatności, ale już ugłaskany, bezsilny ze zmęczenia i udręki.

Czasami przecież nie wracał.

Uczuwał się do głębi nieszczęśliwy, marzył o otrząśnięciu się, o wyzwoleniu, o ucieczce. Myślał o tym, co było dawniej, o czasie, gdy miłość Basi wydawała mu się szczęściem. Gdy z brudu i trudów frontu, z oparów dymu i wódki oficerskich zabaw, z głupich żartów i ordynarnych przygód kasyna — wydzierał się do niej po dziewczęcą pieszczotę, delikatne słowa, miękkie ciepło uczucia.

Poszedł drogą znajomą, przebył te ubogie schody. Otworzyła drzwi — zachłysnęła się powietrzem i zbladła.

Pocałował ją w rękę. Nie miał żadnego planu. Nie wiedział nawet, czy przyszedł do niej jako do kochanki czy inaczej.

— Proszę, niech pan usiądzie — powiedziała półgłosem.

Wydało mu się, że było może jakieś oczekiwanie w tym jej tonie. Ale poznał, że jest w błędzie. Basia wiedziała, że przyjście jego nic nie znaczy.

Usiadł. Zapytał ją o zdrowie cioci Lipskiej.

— Już dwa tygodnie, jak jest pochowana — odpowiedziała ze smutkiem.

Zdziwił się bardzo, że o tym nie wiedział — chociaż nie było w tym nic dziwnego. Powiedział, że jest mu tak przykro, że żałuje... Słuchała ze spuszczonymi oczyma.

Uczuwał chęć pochylenia głowy i przytulenia do jej piersi. Było mu wszystko jedno, co pomyśli. Tak przywykł do jej bezrozumnej, wytrwałej ufności.

Mówiła znowu o biurze. Teraz, po zaręczynach Eli Sasinówny, która porzuca pracę, otrzymała wreszcie dawniej przyrzeczone stanowisko sekretarki u pana Hennerta.

Mówiła głosem łagodnym. Ale gdy chciał bliżej usiąść, gdy było w nim to pozwolenie sobie na żal, na czułość, na nieodpowiedzialną miękkość serca — usunęła się prędko.

Uczyniła tak bez trwogi i zalęknienia. Tylko w wyrazie jej ust zobaczył surowość.

Rozstanie

Raz jeszcze wypił u niej filiżankę herbaty. Wstał, by się pożegnać.

— Przepraszam, że przyszedłem — rzekł.

— Tak, to nie jest dobrze, że pan przyszedł — odpowiedziała, nie podnosząc oczu.

Jednakże po upływie paru dni przyszedł jeszcze raz.

Opowiadał poważnie i ze smutkiem, że bardzo jest zajęty, że ma duże troski. Basia nie zapytała, jakie.

Pomyślał, jak jest słaby wobec niej, jak jest godny pogardy. I nie umiał się bronić, nie miał nic na swoje usprawiedliwienie.

Jeszcze chciał na nią zepchnąć trud decyzji, cały ciężar rozstania. Sam nie miał siły tego organizować i brać za to odpowiedzialności.

Wiedział, że dzięki niemu poznała nową rzeczywistość swego życia: mogło mianowicie spotkać ją nie tylko nieszczęście, ale jeszcze i upokorzenie.

Powiedziała mu:

— Dlaczego pan się tak trudzi? Ja i tak przecież zrozumiałam.

Było mu dobrze, nawet to słysząc; czuł wytchnienie po mękach i burzach tamtej miłości.

— Ja wiem — mówiła — widocznie pan nie może inaczej. Więc po co jeszcze się męczyć?

I jeszcze miał ostatnie złudzenie, że gdyby właśnie czyniła mu wyrzuty, gdyby silnym głosem miłości domagała się, aby pozostał — że może wtedy byłby uratowany.

Ale sam o ratunek jej nie poprosił. Nie chciał wcale decydować o swym losie.

— Myślałam nad tym bardzo długo — powiedziała mu spokojnie. — Widocznie pan nie może inaczej, więc niechaj będzie tak. Właściwie nawet tylko o tym myślałam...

Słuchał w milczeniu i znajdował rozgrzeszenie w spokoju tych słów. Tak — nie czuł się winny; porównywał obojętność jej rezygnacji z szaleństwem i męką swojej miłości. Cóż ona wie o cierpieniu, czyż umie kochać?

— Myślałam — mówiła jeszcze — że pewno najgorsze jest w tym, że jednak nie umiem wytłumaczyć sobie tego w taki sposób, abym mogła...

Plątała się w słowach, ale słuchał bacznie. I wreszcie usłyszał:

— Abym jednak mogła pana po tym szanować.

Skwapliwie przyjął tę obelgę. Tak, tak. Miała rację, więc wszystko jest w porządku. Był winny, został ukarany. Mógł odejść.

20

Profesor Laterna, przeczytawszy w dziennikach o rewizji i aresztowaniu porucznika Gondziłła, zaraz tego samego dnia poszedł do Bini.

Był pewny, że jest to nieporozumienie, wynikłe z nadmiaru gorliwości w sanacji młodej armii, że wyjaśni się niewątpliwie po paru godzinach czy dniach.

Jak w każdym, i w nim tkwił przesąd, że tak w pobliżu nie może się stać nic naprawdę złego.

Są bowiem rzeczy, o których czyta się w telegramach, w sprawozdaniach sądowych, w kronice policyjnej, o których wie się z „gminnej opowieści" magla, podwórza lub „kuluarów" — ale one nie mogą się nigdy stać na przykład u własnego szwagra, u wesołego, poczciwego Julka, u dobrej Bini.

I profesor rozważał nawet przy tej okazji, jak duża jest skala, jak liczne są stopnie poczucia rzeczywistości wobec faktów, obiektywnie jednakowo realnych.

„Zrobili rewizję, no, dobrze", przyzwalał w myślach profesor. „Ale, oczywiście, nic przecież nie znaleźli. Na Boga, cóż mogli znaleźć u takiego Julka?".

Binię znalazł lepiej, niż się spodziewał. Była zupełnie spokojna.

Potwierdziła to, co właśnie już wiedział z pism. Zgodziła się, że należy czekać na wyjaśnienie się nieporozumienia. Była naprawdę spokojna — nawet jakby nieco obojętna czy tępa. I z tego jej dziwnego spokoju powiało na Laternę rzeczywistością. Tu — na miejscu — było jednak widoczne, że *to się stało*.

Binia opowiedziała profesorowi, że jest zmartwiona chorobą Witusia. Na pewno te dżdżyste dni znowu mu zaszkodziły, dostał kaszlu i gorączki, musiała go więc położyć.

Obiadu wcale nie było. Binia poczęstowała profesora drobną, sypką kaszką, którą ugotowała dla dzieci. Później siedzieli jakiś czas przy łóżeczku Witusia.

Binia powiedziała z wahaniem:

— Był tu dziś Andrzej. Przyszedł zaraz rano, jak się tylko dowiedział... Nawet wcale nie myślałam, że tak się przejmie, że taki będzie zdenerwowany z powodu tej sprawy Julka.

To mówiąc, Binia nie patrzyła w oczy Laterny.

— Powiedział, że pewno teraz wyjedzie i nie wie, co będzie z Zosią, a tak mu przykro ją zostawić.

Laterna kiwał głową. Jego córka, mało mu znana i nie dość droga, znowu chorowała. Odwiedzał ją kilkakrotnie i zazwyczaj spotykał tam Binię. Zosia wyglądała coraz gorzej, miała czarne cienie naokoło oczu, a na policzkach żywe rumieńce od ustawicznej gorączki.

Mówiła z zachwytem o Rosji, że tam żadne dziecko nie wie, co to głód, że dzieci robotników dostają tam tyle ciastek, ile chcą. Mówiła, że tam nikt nikogo nie uciska, nikt nikim nie pogardza, a każdy, prostak czy arystokrata, sam musi sobie szorować schody.

Laterna nie decydował się podawać w wątpliwość tych szczegółów, widząc, że są one nieodzowną potrzebą jej gorącej wiary.

Binia nieśmiało i delikatnie poprosiła Laternę, żeby tego jeszcze dnia odwiedził Zosię.

— Ona by się tak ucieszyła...

— Będę, naturalnie! — zapewnił profesor skwapliwie i nawet podniósł się, by ją pożegnać.

Wtedy Binia wstała także, i, zatrzymując dłużej wielką rękę Laterny, powiedziała z naciskiem:

— I niech profesor powie Andrzejowi, żeby lepiej już nie przychodził się dowiadywać...

— Co? — zdziwił się. — Dlaczego, Biniu?

Binia zmarszczyła czoło, usiłując to wytłumaczyć.

— Nie mogę więcej go widzieć, rozumie profesor? Nie jestem w stanie go widzieć, nie mogę, nie mogę... — A widząc jego trwające zdziwienie, dodała z wysiłkiem cichym, zmęczonym głosem: — Ja mu *nie ufam*...

Pożegnawszy Binię, Laterna udał się do mieszkania swych dzieci.

Tym razem zastał Andrzeja. Na widok ojca twarz jego rozjaśniła się ironicznym uśmieszkiem.

— A! Profesor szanowny, godny papa! Prosimy, prosimy... Gość niezwykły... — Wpuścił go do swego pokoju. — Zosia całą noc miała silne bóle — powiedział zupełnie zmienionym głosem. — Dostała opium i teraz śpi. Więc nie będziemy jej budzili... Choroba

— Jak z nią jest? — spytał Laterna, sadowiąc się ciężko na małym krześle.

Andrzej wzruszył ramionami.

— Od dwóch dni silne pogorszenie — powiedział tak, jakby to właśnie było winą ojca. — Wczorajsza analiza bardzo zła... A rzecz tym się komplikuje, że moje sprawy skłaniają mię do wyjazdu... Za granicę, za granicę — szybko i jakby uspokajająco dodał, widząc wyraz pytania w twarzy ojca. — Tak się złożyło, że może nawet w najbliższych dniach, może jutro... Czy papa zdaje sobie sprawę, że to wkłada na papę pewne obowiązki, pewne ciężary...

Laterna czuł się źle wśród tych słów.

— Naturalnie, że zdaję sobie sprawę — przerwał. — Jednego tylko zrobić nie mogę, to jest wziąć Zosi do siebie. A to ze względu na Marcelę, która nigdy by na to nie przystała...

— Otóż właśnie! — prawie ucieszył się Andrzej. — Bo w tym stanie, jaki jest, Zosia już wcale nie może być przeniesiona... Idzie o to, że ani przez godzinę, ani przez pół godziny nie można jej zostawić samej. Papa to rozumie? Ktoś musi tutaj spać, musi być na miejscu w nocy i w dzień...

— Więc weźmie się pielęgniarkę — zaryzykował niepewnie Laterna.

— Tak papa sądzi? Owszem. Ale trzeba ją znaleźć, zgodzić, wypróbować. Jeżeli papa przystaje, to ja jeszcze przed wyjazdem zajmę się jej wyszukaniem...

Papa oczywiście przystał.

— Byłem teraz u Bini — powiedział po chwili wobec milczenia Andrzeja. — Czy ty wiesz coś bliżej o tej sprawie Julka. O co go tam właściwie oskarżają?

Andrzej uczynił gest najwyższej niechęci.

— Sprawa ogromnie zwykła, aż nadto zwykła — mówił, symetrycznymi gestami obu rąk opędzając się jakby od nadmiaru niezdrowej ciekawości. — Brał po prostu pieniądze Kradzież, Społeczeństwo

z kasy, obracał nimi... Kradł... Kradł... Co tu mówić... To właśnie maluje pięknie stosunki, panujące w młodym naszym państwie...

Laterna właściwie teraz dopiero zrozumiał, że stało się nieszczęście.

— To niemożliwe, Andrzeju, ja uważam to tylko za nieporozumienie...

— Niestety, papo, nie... I ja nie byłbym nigdy przypuścił, że Gondziłł jest tak paskudnie wkopany... Sam jego właśnie uważałem za budzącego zaufanie... A jednak...

— Wiesz to tak na pewno? Skąd?

— Wiem na pewno. Papa mówił kiedyś, że nie jest tak źle, że „życie ratuje się samo"... Oto jak się ratuje — zaśmiał się Andrzej.

Laterna nie odpowiadał, zdziwiony. Myślał o Julku, który nagle stał się obcy i niezrozumiały, o losie Bini i chłopców. Uczuwał upokorzenie, pospolity, mały wstyd, że ktoś z rodziny, ktoś bliski, że wszyscy to będą wiedzieli...

— To są reszteczki wojny w okresie pokoju — mówił Andrzej — i wystarczą jeszcze na długo. Wiesz, papo, że ten twój pułkownik Omski miał rację: potrzebna jest wojna po to, aby armia mogła stanowić jakąś siłę moralną. Bez wojny bowiem czymże się staje? Wojna demoralizuje, tak by się zdawało. Ale wyjmując z dusz ludzkich i ukazując w słońcu różne czarne demony, nadaje im piękne miana, właściwe epokom wojennym. Gdy nastaje pokój, opada gloria tych nazw, a demony nie zdychają, kurczą się tylko, chowają w małych zakamarkach dusz i tam cicho żyją, czekając. Okazje trafiają się często... Nie ma już bohaterstwa, ślepej odwagi, „pławienia się z rozkoszą we krwi wroga". No tak, ale zdarzają się piękne napady bandyckie, ciche zbrodnie po kątach, tajemne porachunki... No i takie przygody jak Gondziłła... Wojna

Laterna milczał wciąż, dziwnych doznając uczuć. Oto miał przed sobą własnego syna, którego pamiętał małym chłopcem, wobec którego czuł się jak gdyby do czegoś zobowiązany — moralnie czy uczuciowo. I zarazem ten uświadamiany sobie związek krwi wydawał mu się czymś niewiarygodnym, czymś nawet potwornym. Andrzej był mu dalszy niż każdy inny człowiek nieznajomy, idący po ulicy.

— Uważa się powszechnie za zło wojny — mówił Andrzej — że ludzie giną od pocisków, gazów i zarazy. A to wcale nie jest najważniejsze. Ja ci tylko, zacny papo, taki kawałeczek przytoczę, jeden z setki. Na objętym przez wojnę terenie zdarzyło mi się tak jakoś okazyjnie przejeżdżać sobie wioseczkę, wśród wierzb nad piaszczystą drogą, wśród opłotków. Wieś była pusta, chłopi uciekli i tylko jacyś ludzie czernieli z dala nad niewielką sadzawką o brzegach wysokich, w cieniu takich samych wierzb i krzaków dzikiego agrestu. Tam więc podeszliśmy i z bliska, dokładnie obejrzeliśmy to dziwowisko. Wzdłuż brzegu, w odległości paru kroków jeden od drugiego, siedzieli obywatele mojżeszowego wyznania, każdy z odciętą głową, i niejako łowili ryby. Każdy miał rękę opartą o wbitą w grunt tykę, pochyloną ku wodzie jak wędzisko. Ich pozy, trochę sztuczne, trochę zmęczone, trochę, powiedzmy, senne, były jednak wszystkie po prostu siedzeniem nad wodą. Można się było uśmiać. Policzyłem: było ich siedemnastu. Głowa każdego leżała u jego nóg. Żyd, Zbrodnia, Wojna

— Gdzież to było? — spytał Laterna, marszcząc czoło.

— O, już jest: *gdzie to było*. A to zupełnie wszystko jedno, gdzie to było, to właśnie jest obojętne. Idzie o to, że te rzeczy są konieczne do czegoś, oprócz niewinnej, zdrowej uciechy, do czegoś są potrzebne. Faktami tymi mianowicie rzucają w siebie nawzajem nienawidzące się nacje jak pociskami. I tylko do tego potrzebna jest wiadomość, gdzie to było... Licytują się w wypominaniu sobie dziczenia i zezwierzęcenia. To, co było wszędzie i co kompromituje *ludzi*, przerzuca się na jedną stronę frontu, aby kompromitowało *nację*. I oto te fakty są potrzebne, jako zarzewie. Są płodne, są wciąż rodzące nienawiść i chęć odwetu, są nieśmiertelne. Naród, Nacjonalizm

Laterna słuchał tego z największą uwagą. Ale nie odpowiadał nic.

Zagadnienie było zbyt wielkie. Wszelkie wydanie sądu byłoby sfałszowaniem rzeczywistości. Andrzej mówił, jak ten, co zawsze stał na boku, zaledwie potrącony, zawadzony pobieżnie przez wielki, huczący rydwan wojny. Chlapnęła na niego błotem i krwią — nie widział wieńców, które niosła na czole. Wojna

I dzisiaj — oglądając wojnę w projekcji zawartego pokoju — Laterna widział przed sobą nagi szkielet z odartą purpurą, z obłupanym złotem proporców, widział ofiary i kaleki, dogniwające po szpitalach resztki ludzkie — i miał w sobie samym ten sąd gotowy, sąd łatwy: obłęd i zbrodnia.

A przecież — aby to pomyśleć, trzeba wydrzeć sobie z dna serca jakąś wartość niezaprzeczoną, uczucie czci, najgłębszą czułość i wzruszenie, pokrywające się właśnie z owym obłędem i zbrodnią, przylegające ściśle do tego obłędu i do tej zbrodni.

Andrzej mówił:

— Aby żyć, musimy obrać sobie jakieś prawdy, jakieś postulaty moralne. Nie możemy bez nich się obejść, chociaż w życiu albo ich nie ma, albo oznaczają coś wręcz przeciwnego. Właśnie dlatego. Dogmat sprawiedliwości, dogmat winy i kary, dogmat odkupienia. Jest to zbudowane ponad życiem, aby to życiu narzucić, aby życie uczynić możliwym. Do tego służy też dogmat ojczyzny. Ojczyzna — ciągnął — oto jest sposób, aby te same rzeczy oznaczać innymi nazwami, aby tym samym wartościom nadawać odmienne kwalifikacje. Cenimy narody według ich cnót bojowych i patriotycznych, ale dopiero kryterium ojczyzny opatruje je znakiem dodatnim lub ujemnym. Lubi się we wrogu to, czym pogardza się u siebie. Niemiec, tchórz, leniuch, pokorny, to jest dla Francuza dobry Niemiec. Moskal, pijak i niewolnik, to jest dobry Moskal dla Polaka. Jakże zaś nienawidzimy we wrogu wszystkiego, co jest pożądaną, trudno dostępną dla nas wartością. Jakąż szaloną pociechę, jaką ulgę moralną znajdował świat podczas pierwszych lat wojny w nienawiści do Niemców. Rozpętali wojnę i prowadzili ją znakomicie, cóż może być bardziej godnego pochwały z punktu widzenia ojczyny, gdyby miało miejsce po tej, nie po tamtej stronie frontu? Odkąd przegrali, stali się nierównie mniej nienawistni. Ich upadek, demoralizacja budzą u dawnych wrogów wyrozumiałość i współczucie. Ojczyzną, jako kryterium, posługuje się zawsze niesprawiedliwość. Jest to najwyższego porządku postulat nienawiści. W formule: *Bóg i Ojczyzna* zawiera się więc antynomia i bluźnierstwo. Bóg jest tym, co ludzi w najwyższych ich tęsknotach godzi i jednoczy, ojczyzna tym, co według najwyższych haseł, dzieli. Ojczyzna przywraca politeizm: każda armia do swego Boga modli się o zwycięstwo. Lepiej by milczeli, zanim, śpiewając hymny wojenne, rozdzierać zaczną w strzępy Boga, ojca ludzi, który jest właśnie nadaniem wszystkim jednej wspólnej nazwy: braci...

Ojczyzna, Naród, Nacjonalizm, Obcy, Wróg

— Ty więc — znalazłeś Boga? — przerwał Laterna, nagle podnosząc głowę.

Andrzej umilkł, popatrzył na ojca i lekko się uśmiechnął.

— O tym już nie będziemy mówili.

Laterna wstał i obejrzał się za ubraniem, żeby odejść.

— Kiedyż wyjeżdżasz? — zapytał.

— Poczekaj, papo, twoja formuła zbawienia brzmi, że życie ratuje się samo. Nazbyt ufałeś temu zawsze i lękam się... Bo Zosię zostawiam wyłącznie pod twoją opieką, czy to rozumiesz? Wyłącznie.

— Niepotrzebnie mi przypominasz — rzekł Laterna z niechęcią i zniecierpliwieniem.

Twarz Andrzeja zmieniła się, pobladła od nagłego uniesienia.

— Przypominam i więcej przypomnę... Słuchaj, miałem szesnaście lat, gdy matka umierała tam na gruźlicę... Umarła z głodu i nędzy, gdy woda zamarzała w izbie, gdy nikogo bliskiego nie było naokoło i dawno znikła nadzieja powrotu, który przecież obiecywałeś, obiecywałeś... Jakże cierpiała, jakże tęskniła za tobą i czekała... Jakże do końca ciebie kochała, nie skarżąc się nigdy... Wierzyła, że zdeptana została przez pochód bohatera... A przecież nie mogła chyba nie wiedzieć, że miałeś tam kochankę!

Kiedy odszedł ojciec, Andrzej wsunął się cicho do pokoju Zosi. Spała wciąż, spała tak głęboko i spokojnie.

Zaplótł dłonie i patrzył na nią długo, stojąc bez ruchu.

Oglądał jeszcze raz jej nosek ostry, cieniutki, jej oczy jak dwie czarne plamy, jej małą kościstą twarzyczkę — taką zmienioną, taką zmienioną. Gdyby już nie żyła, nie mogłaby inaczej wyglądać.

Wiedział już, że potrwać to może jeszcze tydzień albo dni dziesięć — i to bezbronne, umęczone dziecko umrze. Jedyna na ziemi, którą wszystkimi siłami serca kochał...

Musi umrzeć po życiu krótkim, pełnym tylko smutku i cierpienia. Nic nie mógł jej dać, niczym odmienić jej losu.

Cichutko podszedł do łóżka, ukląkł w nogach i oparł czoło o brzeg koca. Przeklinał swój los, że nie może tu przy niej pozostać do końca, trzymać w rękach jej chudych rączek, nasuwać się spojrzeniu jej oczów...

Przyszło mu na myśl, że może nadejść taka chwila, gdy Zosia będzie się bała... Może się zdarzyć, że się nagle przerazi tym nieuniknionym, że zrozumie.

Ojciec, Syn

Zerwał się, słysząc, że ktoś wchodzi.

To przez niezamknięte drzwi powrócił Laterna, który przypomniał sobie niespełnioną prośbę Bini.

Przez chwilę i on patrzył na pogrążoną we śnie Zosię, a później podniósł oczy na syna.

— Chciałem cię poprosić, Andrzeju... — zaczął półgłosem.

— O co?

Laterna się zawahał.

— Binia chciała, żebyś nie przychodził tam więcej...

— Aha, tak — i Andrzej pokiwał głową na znak, że zrozumiał.

Stali naprzeciw siebie, jak gdyby jeszcze się wahając.

— Tobie musi być ciężko, Andrzeju — rzekł wreszcie Laterna i wyciągnął do syna obie wielkie swe ręce.

— Ciężko — odrzekł Andrzej.

21

Omski przyszedł do Hennertów. Wandy nie zastał, a Teresa miała twarz zasmuconą.

— Ach, panie pułkowniku — westchnęła na jego widok.

— Co się stało? — zapytał.

— Lin strzelał do siebie dziś w nocy. Ma przestrzelone lewe płuco i krwotoki. Jest w szpitalu...

Omski zrobił minę zagniewaną.

— Nic o tym nie słyszałem — niechętnie mruknął.

I to było dla niego najważniejsze, że ona wie coś pierwej od niego i to czyni mu ją obcą. To był ciągle ten cały świat, od którego nie mógł jej odgrodzić.

Teraz mówiła łagodnie:

— Wanda jest tam u niego, nie mam serca jej w tym przeszkadzać. Ta wiadomość zrobiła na niej straszne wrażenie...

Poprosiła go, żeby usiadł, i sama usiadła na swej małej kanapce.

Teatr, Ojczyzna, Władza, Sztuka

— Właśnie wczoraj byłyśmy w teatrze. Wanda dawała mu znać, ale nie przyszedł...

— Pani była w teatrze? — oburzył się nagle.

Tak, była w teatrze na tej nowej sztuce jednego z najmłodszych, budzącej na przemian zgorszenie, entuzjazm i sensację. Teresa nie unosiła się nad niczym, ale wobec wszystkiego miała miłe zaciekawienie i życzliwość.

— Zdaje mi się, że to tylko na razie wydaje się dziwne i okropne. Był profesor Laterna. On mówi, wie pan...

Omski gotował się i pienił. Jego zdaniem, tych młodych należało pozamykać i dać im rózgi. To są kpiny z ludzi, co oni robią.

Nienawidził ich — tych jakichś zuchwalców, kpiących sobie z wojska, z władzy, z miłości ojczyny. Lin także podobny był do nich i — oto, do czego go to doprowadziło...

Tak mówił, a w sobie myślał, że ona zawsze może pójść, dokąd chce, że między nią a nim jest cały świat. Była tam — i on nie wiedział nic. Był tam Laterna i każdy człowiek z widowni, tylko właśnie nie on, nie on...

Pożegnał się, zachmurzony, gniewny. Ale już na ulicy podziwiał jej dobroć, jej urok nieodparty jak przeznaczenie. Widział w tym łaskę nieba, że oto tak zeszła w jego życie i nie wiadomo, skąd się wzięła. W duszy miał chylenie się czołem do ziemi przed czarem tej jedynej, tej wybranej; najtkliwsze dziękczynienie już za to samo, że jest.

Wiedział, że przyjdzie tam nazajutrz, wiedział, co powie, jak ustali, pochwyci za skrzydła ten cud. Jak wprzęgnie go w życie swoje, nieodwołalnie uczyni rzeczywistym.

I zaraz zjawiła się trudność rzeczywistości, zupełna niemożliwość uczynienia pragnienia prawdą.

I znowu przyszedł. Ona wyszła do niego — nie jak inne kobiety, w takiej a takiej sukni, podnoszącej tę lub inną stronę jej urody. Była w jakiejś sukni, której się nie zauważało, ale która nie mogła być inna. Teresa nie miała szczegółów, nie miała jakichś

momentów szczęśliwych. Jej uroda była syntetyczna, jej twarz i postać zawsze jednakowo urok siejąca.

Zanim jeszcze zdążyła powiedzieć lub uczynić coś, zaledwie tylko się uśmiechnęła, ledwie spojrzała słodkimi, spokojnymi oczami — już uczuwał w sobie złość głuchą, chęć odwetu za marzenia głupie, chęć upokorzenia samego siebie i jej. Całe najtkliwsze drżenie serca, nieśmiałość szczęścia, błogość pokory przedzierzgała się nagle w ten gniew bez sensu, gniew jakby sponiewieranego honoru.

Od razu stawało się dlań niewątpliwe, że to jest płytka, pospolita kobieta, zwykła salonowa lalka, taka jak wszystkie.

Z pochmurną miną dowiedział się, że Lin jeszcze żyje, ale jest z nim coraz gorzej. O przyczynie samobójstwa Teresa nic nie mówiła, przypuszczała pewno, że zakochanemu Linowi szło o Wandę.

Teraz czekała na powrót Wandy. Wieczorem jechała na jakiś obiad z mężem.

Chwilę mówiła, później umilkła. Cisza i spokój były naokoło.

Powiedział:

— I znów odejdę, znów będę sam, znów będę szalał.

— O, już pan zaczyna, panie pułkowniku — przerwała z łagodnym wyrzutem, bez cienia obawy; ton jej głosu był prawie macierzyński.

Ona wiedziała dobrze, jak jest kochana. Jego złośliwości i impertynencje brała po prostu za inwersję wyznań. Śmiała się wyrozumiale, gdy zarzucał jej próżność, kokieterię, krzywiła się z lekkim niesmakiem, gdy w napaściach stawał się szorstki i brutalny.

Miłość, Przemoc

Myślał: „Teraz ona znów gdzieś wyjdzie". Wymyka mu się zawsze, jest poza jego możnością i wiedzą.

— Tak dłużej nie będzie, tak dłużej nie będzie...

Nieprzytomny z gniewu, szedł ku niej. Gdy był blisko, podniosła się i lekko wyciągnęła przed siebie dłonie. Czyżby myślała się bronić? Biorąc ją w objęcia, nie czuł prawie ich oporu.

— Kocham cię, kocham cię — powtórzył z zaciętymi zębami.

Teraz całował jej usta. Wszystko ginęło w strasznym łomocie serca. Jak za pierwszym razem, nie czuł żadnej rozkoszy, tylko uniesienie, odbierające dech i przytomność.

Powtórzył to jedno, co wiedział:

— Kocham cię.

Nie czuł jej oporu, nie wiedział, co z nią jest. Tak mały był ten jej spokój wobec sił rozpętanych jego uczucia. Może raz jęknęła cicho. Czuł pod ustami jej małe zęby i musiał je otworzyć pocałunkiem.

Co to było? Jednak nie mylił się. Coś się w niej zmieniło — i jak gdyby przystało. Miała teraz miękkość w ramionach, cała jej postać stała się bliższa — i jakby możliwa, jakby naprawdę dostępna.

To dopiero uczuł jako rozkosz. Czyżby oddała mu pocałunek? Jeszcze nie wierzył, że to czuje. Ciepły dreszcz szczęścia oblał mu całe ciało. Ukląkł z głową na jej kolanach.

Gdy powstał, przez długą chwilę nie ruszała się z miejsca, nie poprawiała sobie włosów ani ubrania. Miała lekkie rumieńce na czole, na policzkach.

Przypomniał sobie, że gdy klęczał, pogłaskała go lekko dłonią po włosach i czole.

Patrzył z wdzięcznością, pełen szczęścia, słaby z rozkoszy. Usiadł daleko od niej.

— Milczysz? Nie mówisz nic? Ja cię kocham...

Nie, nie była tym zaskoczona.

Była zamyślona i trochę smutna, chociaż się jakby uśmiechała.

— To źle się stało — powiedziała nieśmiało.

Był znowu przy niej, miał ją w objęciach całą, rzeczywistą, swoją.

— Za taką śmiertelną miłość...

22

Gdy Hennertowie jechali na wieś i wszystkich najbliższych zapraszali do swojej nowej willi nad jeziorem, Omski podziękował, pewny, że z zaproszenia nie skorzysta.

„Oto", myślał sobie, „doskonałe rozstanie, urządzone przez sam los".

Przemoże tęsknotę, zapomni, będzie wolny, będzie wolny.

Ach, cóż z tego, że była teraz jego kochanką, że bierna — trochę smutna, trochę zakłopotana — godziła się na wszystko.

W jej cudnych oczach było zalęknienie, było zdziwienie wobec jego szału i niezrozumiałej, niemożliwej miłości. Była w jego rękach jak przedmiot bezduszny, dająca sobą powodować, ale w niczym niebiorąca udziału. Była na zewnątrz własnej rozkoszy, nigdy niezapominająca się zupełnie, nigdy własna, nigdy pewna...

Sprawiała mu tym męki, których doświadcza się, kochając kobietę bierną i bez temperamentu. Była tak obca, że podejrzewał ją, iż „wtedy" myśli o innym, że ma poza nim kochanka.

Ale gdy odjechała! Wtedy wierzył z podziwem i zachwytem, że ona jest taka aż do dna — bardziej uduchowiona, bardziej subtelna i tęskniąca, niż temu sprostać może szalona, dzika, przyziemna miłość człowieka.

Wtedy pamiętał chwile niepojętego zachwytu. Gdy żadną pieszczotą nie mogąc nasycić swojej tęsknoty za nią, patrzył długo w jej twarz, leżącą na jego ramieniu, na powieki z domkniętymi rzęsami, na smutny, delikatny półuśmiech ust.

Ileż mógł myśleć o jej zasmuconej duszy, nigdy niechcącej mu się oddać, nigdy niechcącej zstąpić i przesycić ciała palącą słodyczą namiętności.

Zanim skończyła się wiosna, pojechał.

To prawda, źle postąpił, tak w sposób niepojęty zobojętniał dla swych prac, dla najpierwszych swoich obowiązków. Jego urlop, o który starał się jak lekkomyślny oficerek żądny wywczasów, urlop całkowicie mu zresztą przysługujący, wywoła niewątpliwie opóźnienie w całokształcie robót tak pilnych, odbije się ujemnie — ach, wcale go to nie obchodziło. I znów coś mściwego było w tej jego nonszalancji. Właśnie — z frontu nie uciekłby do kochanki, nie wpadłby nigdy w odmęt głupiego szaleństwa tej miłości, gdyby była wojna, gdyby gorąca jego młodość miała inne pokusy, a waleczność inne znajdowała szranki. Niestety — właśnie na dławiącej pustce jego życia żerowała teraz ta zmora „miłości śmiertelnej". Nie on był winien, nie on chciał...

Drgający samochód wyrzucił go na grząski żwir podjazdu. Rozglądał się przez chwilę, ogłuszony jeszcze wichrem drogi, tępy i niepewny.

Nie depeszował umyślnie — a może? Dziwna rzecz: z niecierpliwością łaknął właśnie tego, czego by przecież nie zniósł, co byłoby straszliwe...

Zanim wszedł na schody i nacisnął dzwonek, stał jeszcze chwilę. Było tak cicho. Czy nie słyszeli, czy nie ma nikogo?

Kwiaty, Ogród

Domek z szarego kamienia, z wysokim, podwójnym dachem czerwonym. Balkony, tarasy, okrągłe narożniki, wszystko przezroczyste od okien i szkła, wszystko żywe i zielone od pachnącego *caprifolium*[94] i pelargonii, uczepionych do każdego okna aż po dach.

Ogród przed domem, schodzący do jeziora, wydał mu się mały i zabawny jak cacko — pełen kulek, słupków, piramid, ścian i całych murów, wyciętych w żywej zieleni krzewów. W różnych miejscach stały białe lakierowane ławeczki, a brzegiem równych, gładko skoszonych trawników kwitły tylko niebieskie hortensje. I poprzez tę swawolną ogrodniczą zabawkę, w wylotach tuneli, kolumnad zielonych i żwirowanych alei — świeciła ogromnym, świetlistym spokojem rozległa woda jeziora.

Zdziwiony ciszą, Omski zadzwonił. Natychmiast otworzył mu służący o nieznanym obliczu.

— Ani pana, ani panienki, jest tylko pani.

— Sama?

— Sama...

Była sama; ukazała się biała, mniejsza, młodsza. Patrzył badawczo, surowo w tę twarz — czy się cieszy czy tylko jest przerażona.

— Ależ cieszę się — powiedziała i jej uśmiech był szczery, wesoły, ufny. — Cieszę się, drogi. Jestem sama, widzisz — i rozejrzała się wokół, aby go o tym przekonać czy też lepiej samą siebie upewnić.

Rozjaśnił się, ogarnęła go szalona, młoda radość.

— I mogę zostać do jutra? — spytał.

[94] *caprifolium* (łac.) — wiciokrzew, rodzaj rośliny ozdobnej. [przypis edytorski]

— Ależ musisz zostać, dokąd tylko możesz... Hennert ciągle wyjeżdża i przyjeżdża, wciąż są jacyś goście... Wczoraj dopiero wyjechali państwo Chwościkowie — wymieniła zaraz, by go uspokoić — zatrzymali się tu w drodze nad morze. Curll był także... A to wiesz, że Lin będzie żył, że jest zdrowszy? Wanda wróci jutro, a on pewno też później tu przyjedzie...

Omski miał już wyznaczony swój pokój. Był szczęśliwy. Był taki szczęśliwy!

Dom, Sztuka, Piękno

Willa, wydająca się z zewnątrz małym domkiem, miała wewnątrz masę przestrzeni i dwadzieścia parę pokoi. Hennert kupił ją już całkowicie urządzoną od jakiegoś Niemca, wynoszącego się z tych okolic. Pokój, w którym znalazł się Omski, był do połowy wyłożony biało lakierowanym drzewem i zastawiony takimi samymi meblami, tak, iż przez chwilę Omski nie wiedział, gdzie się kończy ściana i zaczyna łoże. Szafy, półki, ławeczki, półokrągłe stoliki — wszystko wydawało się na wpół wrośnięte w ścianę. Powyżej boazerii ściana pokryta była obiciem szafirowym w złote kraty i tejże barwy było pokrycie białych krzesełek i kanapek, stojących na szafirowym dywanie.

W sali jadalnej, gdzie zszedł wkrótce na obiad, drzewo tylko było innego, jasnożółtego koloru, poza tym efekty te same. Po dwu stronach stały symetrycznie dwa identyczne kredensy, w rogach trójkątne jednakowe kanapki, na ścianach wisiały szeregiem jednakowe duże „martwe natury", oprawione w jasne drzewo i jakby wpuszczone w mur.

Przy jedzeniu nie byli zupełnie sami, ściśle biorąc. Jakaś panna Maria i jakaś pani Skąpska, jedna zarządzająca domem, druga nauczycielka Wandy, tu na nią czekająca. Mimo to czuli się jak nowożeńcy — po raz pierwszy u siebie, swobodni i swoi.

Na gazety, które przywiózł Omski, poszli sobie we dwoje do hallu. Tu dopiero było zabawnie. Na plecionych stołach leżały barwnie haftowane serwety z płótna, na plecionych kanapkach i fotelach znowu masa tak samo haftowanych poduszek. Na plecionych półkach wreszcie stały eleganckie porcelanowe figurki saskie z Meissen[95] i małe krowy, cielęta, szczeniaki, służące i staruszki z porcelany kopenhaskiej. Kwiaty były tu wszędzie — sterczały, wisiały, płynęły po ścianach.

— Ta krowa jest roboty Knuda Kyhna[96] — rzekła Teresa, jakby to było ważne, a Omski oparł czoło o jej rękę i był szczęśliwy.

Woda, Natura, Piękno

Tegoż zaraz dnia byli na jeziorze.

Od brzegu płaskiego szła cicho ta woda, rozległa i spokojna. Pod słońce była ruchoma i paląca się miriadą ognistych cekinów, a w stronie odsłonecznej leżała płasko, była mleczno-błękitna, daleka, szklana. Duże drzewa wybrzeża, podbite gęsto krzewami, podkreślone smugą trzciny, złote w słońcu, długim pasem wkraczały w obręb wód, a dopiero za nimi ciągnęło się jezioro, rozlewało w ogromną toń wodną, złączoną z niebem. Ta wodna dal była jakby bramą, wiodącą w tajemnicę czy inny świat.

Omski siadł do wioseł. Mechanizm wiosłowania był dlań radością i upojeniem. Długa, rasowa łódka o ścianach cienkich jak kruche cacko mknęła przedziwnie, cicho i szybko po szklanej wodzie.

Pióra wioseł wpierały się w twardą toń, głaskały ją, wracając, zagarniały wciąż nowe trójkąty wodne. Omski zrastał się z wiosłami w tym ruchu, uczuwał je jako dalsze długie stawy własnych rąk.

Po raz to pierwszy było mu tak zupełnie dobrze przy Teresie. To nic, że przyjechał pan Nutka, że przyjechała Wanda, że był przez dwa dni Curll, który przybył z pożegnaniem przed swym ostatecznym wyjazdem z kraju, że wreszcie przyjechała pani Uniska z tym swoim małomównym, ale pewnym swego, wielbicielem. O dzieciach, z którymi na głowie pozostała sama po śmierci męża, nie było teraz jakoś wcale mowy. To nic, że przyjeżdżał i wyjeżdżał ciągle Hennert — okrągły, gładki, wszystkim rad i ze wszystkiego zadowolony.

Było tyle swobody. Gdy inni grali w tenisa, jechali gdzieś na spacer lub po prostu jeszcze spali, Omski z Teresą w zwykłej łódce rybackiej płynęli na połów ryb i raków ością. Młody chłopak, autochton zżyty od dziecka z wodą, morderca niechybny, wiosłował sobie sam jednym wiosłem, uważnie oczami patrząc w dno. Łódź przesuwała się z cichym szeptem wśród trzciny przybrzeżnej, pełnej słońca. Między łodygami świeciło w głębi dno,

[95] *Meissen* a. *Miśnia* — miasto powiatowe w południowo-wschodniej części Niemiec, w kraju związkowym Saksonia, znane z produkcji porcelany. [przypis edytorski]

[96] *Kyhn, Knud* (1880–1969) — duński malarz, rzeźbiarz ceramiczny i ilustrator. [przypis edytorski]

mokre i czyste; jasne kamyki i pręty zeszłorocznej trzciny były brodate i ruchome od złotych porostów.

W kruchym, falującym, złotym cieniu wodnym stały ryby, na dnie w kamykach leżały raki. Patrzyli wtedy oboje, jak rybak cichym, nieśpiesznym ciosem zapuszczał ość na dno — i zaraz wyjmował ze srebrną, zakrwawioną, przeszytą żelaznymi zębami rybą, szamoczącą się w niebieskim powietrzu i słońcu. Tak drgając, opisywała w powietrzu łuk łagodny i spadała, strząśnięta, na dno łodzi, na kupę zakrwawionych, ruchomych, szemrzących i chroboczących w męce wysychania istot. W srebrnej masie ryb czarne raki z przebitym pancerzem poruszały bezradnie szczypcami, krwawiąc. Zwierzęta, Okrucieństwo, Śmierć

Słońce płonęło, wznosząc się ku południowi, woda leżała cicho, łódź ocierała się bokami o trzcinę zieloną, cicho nucącą. Gdzieś dalej przefrunęła ku brzegowi czapla i zapadła. Blisko uganiały się mewy, migając swymi złamanymi skrzydłami jak malutkie białe błyskawice.

Omski patrzył w oczy Teresy — nie z prośbą już, ale z wiarą najgłębszą, że jest taka, jak pragnął: czysta, szlachetna, prawa, odkupiona już całkowicie jego wielką miłością. Zrozumiała jakby tę jego wolę i patrzyła w oczy jego — długo, długo. Aż obojgu zwęziły się powieki od ukłucia łez, od najgłębszego wzruszenia, od tkliwości, rozdzierającej serce. Miłość

„Jakże ją kocham", myślał Omski z przerażeniem. „Jakże ją kocham...".

Ale nie mógł tego powiedzieć.

Poza Teresą upadła znów na dno łodzi strząśnięta z ości ryba. Był to niewielki szczupak, jeszcze młody, o długiej charciej paszczy, o otwartym, spokojnym, obojętnym oku. Zęby ości ugodziły go tak dziwnie, że jedną krwawą ranę miał tuż pod tym obojętnym okiem, drugą zaraz za skrzelą, trzecią na boku, czwartą na boku i jeszcze piątą. Był cały jakby przestebnowany igłą tortury — i żył jeszcze, w najwyższym stopniu jeszcze żył. Rzucał się tak, że ze stosu ryb zsunął się aż na sam dół, na deski dna. I tutaj bił o drewno płetwą ogona, drgał i dygotał, wylewając ze siebie strugi krwi. A jego srebrne ciało, przywykłe do mokrego chłodu wody, schło i matowiało na słońcu. Zwierzę, Śmierć, Okrucieństwo

23

Po wyjeździe Andrzeja stary Laterna przeniósł się po prostu do jego pokoju, by być wciąż blisko córki. Andrzej bowiem zniknął tak szybko, że wcale nie zdążył wynaleźć, wypróbować i nająć pielęgniarki.

Wbrew spodziewaniu, zdrowie Zosi poprawiało się teraz. Było ciepło, słońce przez dzień cały zalewało pokój. Zosia wygrzewała się, leżąc w ubraniu na szezlongu.

Mały pies Laterny, mieszaniec foksa i buldoga, przeniósł się wraz ze swym panem i teraz tutaj robił nieporządek, a zaraz później, ani słyszeć nie chcąc o tym, co mu zarzucano, z najlepszą miną wskakiwał do Zosi i wdzięczył się do niej w sposób miły i ujmujący. Pies

Binia przychodziła, ale nie siedziała teraz długo jak dawniej. Była niezdrowa i niewiele mogła pomóc. Schudła i wynędzniała, ale nie skarżyła się na to wcale, krzepiąc się jakoś w sobie i z męstwem czekając na wynik sprawy Gondziłła.

Dla niej Julek był jedynie ofiarą intrygi, dziwacznego splotu okoliczności. Był ktoś, kto miał złość na niego i mścił się tak głupio i nikczemnie. Za co — tego nie rozumiała.

— Trzymał się z daleka — mówiła — w nic się nie wtrącał, robił swoje. Czym mógł się tak narazić, żeby aż do tego stopnia go prześladowali? Nawet był zupełnie bezpartyjny...

Tu nagle ożywił się Laterna.

— Bezpartyjny, mówisz?

— Wiem na pewno, że do niczego nie należał.

— Nie należał? To nic nie szkodzi. Ale nie powinnaś, Biniu, podlegać ogólnej sugestii, jakoby bezpartyjność była wyrazem jakiejś moralnej supremacji, tytułem do zasługi, gwarancją bezstronności...

Binia patrzyła na profesora tępymi oczami.

— Bo widzisz, każdy, w coś wierząc lub w pewien sposób o świecie myśląc, wyznaje bezwiednie jakąś religię lub jakąś filozofię, choćby tej przynależności się wypierał. Każdy, w pewien sposób pragnący dobra ojczyzny lub dobra ludzkości, tym samym jest człowiekiem partyjnym politycznie. Można wypierać się swych przekonań, można je zmieniać, ale ostatecznie nie można ich nie mieć. Widzisz, Biniu — zapalał się Laterna Kondycja ludzka, Polityka, Społeczeństwo, Państwo, Władza

— opowiedzenie się za jakąś partią jest zjawiskiem natury bardzo dodatniej, moralnie biorąc, jest sformułowaniem siebie, jest *poznaniem siebie*, jest wreszcie zawsze pewnym poświęceniem swego egoizmu. Bo właściwie nie jest to przecież określenie siebie zupełne, całkowite, bez reszty. Nie dlatego jednak, że dokonywa się jedynie w płaszczyźnie politycznej, w kategoriach koncepcji państwowych i społecznych. Bo można zaryzykować twierdzenie, że w każdym przekroju dochodzą do ujawnienia wszystkie cechy duszy swymi przedłużeniami w daną sferę. Do każdej płaszczyzny przekroju można przeprowadzić linię przedłużenia od każdej indywidualnej cechy tak, by się tam przecięła, czyli: dała oglądać i od tej strony. Więc nie dlatego. Tylko dlatego, że niektóre z owych przedłużeń dosięgają płaszczyzny przekroju swym biegunem ujemnym. Nie wiem, czy mnie rozumiesz, Biniu — zatroskał się nagle, widząc jej utkwiony w siebie, tępy wzrok. — Znaczy to, że na przykład konserwatysta może uczuć swą przynależność do partii jako pewną ofiarę ze swej indywidualności, jeżeli jest subiektywnie sceptykiem religijnym; narodowy demokrata, jeżeli na przykład ma wrodzoną niechęć do tłumu, obrzydzenie dla pospolitości i motłochu; socjalista, gdy, znając ułomność ludzkiej natury, wie, że zła jest właściwie każda władza i że powoływanie się na jakikolwiek ustrój idealny jest demagogią. A przecież nie podkreślają tych zastrzeżeń, wyrzekają się poniekąd własnego ja, rezygnują z pewnej części światopoglądu na rzecz całokształtu. Dlatego przynależność do partii jest także uogólnieniem siebie. Cóż to jest tedy człowiek bezpartyjny, jak powiadasz, ten nie doktryner, nie podlegający namiętnościom, obiektywny i bezstronny. To jest człowiek, który nie umie siebie określić, człowiek, który nie ma żadnej własnej koncepcji państwa i w ogóle współżycia ludzkiego. Który ani uznaje, że stan rzeczy jest zadowalający, bo tym samym określiłby siebie jako zachowawcę, ani nie pragnie go zmienić, gdyż wówczas określiłby siebie przez wybór jednej z dróg dążenia do reformy. Bo każda krytyka jednej partii czyni nas adherentami[97] przeciwnej. Każdy sąd o czymkolwiek kwalifikuje nas pod pewnym względem partyjnie. Każde stanowisko, dające się w dzisiejszym czasie pomyśleć, znajduje swój wyraz w jakimś istniejącym programie partyjnym lub nadaje się na hasło do robienia w jakiejś partii rozłamu. I zajęcie wszelkiego stanowiska jest, moralnie biorąc, już „należeniem" do partii... Jeżeli ktoś mówi: „Jestem ponad partiami, kieruję się tylko dobrem ojczyzny", to sposób, w jaki to dobro rozumie, jest partyjnością. I nasza ojczyzna, „rozdarta przez waśnie stronnictw", nie znajduje się wcale w jakimś wyjątkowym, tragicznym położeniu. Wszystkie walki partyjne są walką o jej dobro według różnych koncepcji. Mówi się też, i słusznie, że partie walczą tylko o władzę, protegują tylko „swoich ludzi". Cóż z tego? Zdobycie władzy jest jedyną drogą przeprowadzenia swoich postulatów, a „swoi ludzie" jedyną rękojmią, że przeprowadzone będą w myśl owych jakichkolwiek „jedynie słusznych" haseł...

Laterna mówił, ale Binia nie była teraz tą dawną, dobrą, wypróbowaną, akustyczną słuchaczką. Jej szczupła twarzyczka wyrażała znużenie i przymus.

— No tak — powiedziała, gdy skończył. — Ale, widzi profesor, Julek naprawdę był zupełnie bezpartyjny. Jego nic nie obchodziło, robił swoje. Dlatego właśnie ja nie mogę zrozumieć, kto mógł mieć do niego złość. On jest *niewinny*.

Laterna się dziwił. Binia — taka przenikliwa i czujna, gdy szło o jej szczęście, taka zawsze rozumna wobec losu — stała się bezkrytyczna i naiwna, gdy idzie o jej wiarę, bez której nie mogłaby żyć.

I sam przy tej sposobności spostrzegł na sobie, że cała sprawa Gondziłła uległa już w nim samym rozwojowi, że przestała być tym, czym była w pierwszej chwili — ciosem, zdumieniem, nieszczęściem — ale rozpadła się na małe tematy postrzeżeń, odkryć i rozważań. W ten sposób nieszczęścia niejako przystosowują się do życia i roztapiają w nim, nie naruszając jego wartości.

Dłużej niż Binia przebywała teraz u Zosi jej koleżanka z biura, Basia Olinowska. Poważna i nawet surowa, umiała porządnie posprzątać, przesłać, przyrządzić jedzenie, dać dokładne wskazówki i polecenia usługującej Laternom kobiecie. Robiła to jednak bez radości i jakby bez sympatii. Pomimo oceny jej przysług nikt jej właściwie nie polubił.

Za to zupełnie podbiła Zosię Wanda Hennertówna, którą profesor po prostu spotkał raz na ulicy i przyprowadził do córki.

[97] *adherent* — stronnik, zwolennik. [przypis edytorski]

Była taka wesoła i tyle miała w sobie życia.

— Wie profesor, że Lin wyzdrowiał i jest teraz nowym, zupełnie odrodzonym człowiekiem. Zaręczyliśmy się z wielkim hałasem wbrew „woli rodziców" i kochamy się na przekór całemu światu.

Jednego razu przyszła z tym swoim narzeczonym.

— Oboje mieliśmy już nie żyć — powiedziała do niego Zosia, którą znał z dawniejszych wizyt swych u Andrzeja. — Mieliśmy nie żyć, a jakoś...

— A jakoś — powtórzył Lin i uśmiechnął się z zawstydzeniem.

— Otóż to! — oburzyła się Wanda. — Jesteś tym jak gdyby nieprzyjemnie zdziwiony. Polska
Profesorze, on jest naprawdę moim narzeczonym, tylko nie chce się przyznać... On ma żal do mnie, że ja nie wierzę, aby kiedyś tam, kiedyś było „lepiej". A cóż to znaczy. On jest raz socjalistą, raz patriotą, sam nie wie. I ciągle jeszcze się gryzie. Do licha, jest już przecież Polska, to jedno jest pewne, że jest. Nie taka, jakiej żeście pragnęli? No właśnie, jest taka, jaka może być. To jedynie jest ważne, to jedynie jest rzeczywiste i to jest nawet cudowne! Po tych paru latach jest już taka, jakby nigdy nie była w niewoli, jak każde inne państwo: zrujnowana i rozkwitająca, waleczna i chciwa, bohaterska i paskarska. Jest w czym żyć, jest w czym działać. Jesteśmy wreszcie obywatelami, jak wszyscy na świecie odpowiedzialni, walczący, winni. Już nie ofiary tylko, już winowajcy. Nic nas nie usprawiedliwia, nie ma już wykrętów. Ani „Chrystus Narodów", ani „kajdany Sybiru", ani „carscy siepacze". Nic, nic! Jesteśmy tacy, jacy możemy być, jaką jest zawsze gromada...

Zosia, słuchając, uśmiechnęła się wyrozumiale — ona, coś swojego, lepszego wiedząca. I Lin daleki był od tej radości życia, którą usiłowała go ogarnąć i porwać Wanda.

Miał on jeszcze przed sobą rozprawę sądu wojskowego, któremu sam złożył zeznania o swej zdradzie. Przechodził przy tym zawiłą mękę ambicji i wątpliwości — zarówno co do kompetencji sądu w tej sprawie, jak i w zakresie w ogóle jej zakwalifikowania. Wyrok, który sam wydał na siebie, był tu jakby jedynie słuszny i możliwy. A przecież — ponieważ los zrządził inaczej i wbrew najlepszej jego wiedzy i woli zwrócił mu życie — nie umiał już zdobyć się na nic innego jak rezygnację i złożenie całej decyzji w obce ręce.

Jeden profesor Laterna chętnie przytakiwał Wandzie i zdawał się zadowolony. On myślał sobie, jak dobrze jest, że ludzie tak są różnorodni i że ojczyzna nasza „rozdarta" jest przez „waśnie stronnictw". Reprezentacja narodowa kipi na wierzchu rozkołysanego morza ludu jak piana fali. Jest streszczeniem, skrótem ogromnej rzeczywistości współżycia. Partie walczą ze sobą zajadle, pożerają się nawzajem w zapasach o władzę — aby tylko sprostać potężniejącemu życiu państwa, aby dogonić szalone, cudowne życie narodu.

„W walkach partyjnych", myślał, "życie ratuje się przed skostnieniem, ratuje się przed wszelką doskonałością...".

24

W jedno upalne popołudnie Omski w zupełnie cywilnym negliżu szukał chłodu za opuszczonymi żaluzjami swego biało-szafirowego pokoju. Sztywno wyciągnięty, z rękami pod głową, leżał na wznak na twardej sofie, bardziej podobnej do ławki i też wrośniętej w ścianę. Było mu gorąco, nazbyt już gorąco, duszno i jakoś dziwnie.

„Chyba będzie burza", myślał.

Doprawdy, nie myślał nic więcej, raczej drzemał, gdy pośród ciężkiej ciszy nagle usłyszał warkot i dyszący huk Hennertowskiej „maszyny". Poderwał się i podbiegł do okna — chociaż ten przyjazd pana domu niewiele tu właściwie ważył — ale przez szczelinę żaluzji wyjrzawszy, nie zobaczył już nic oprócz odjeżdżającego sprzed ganku auta.

Położył się znów i nasłuchiwał. Na dole jednak było cicho.

Nasłuchując, zadrzemał znowu. I śniło mu się coś przykrego. Miał przed sobą zadanie Sen
nad siły: nocą, wąską ulicą między drewnianymi szopami i parkanami musi oto zejść na podmurowany wysoko brzeg tego jeziora czy morza, gdzie grzęzną w wodzie wielkie kadłuby czarnych statków towarowych, wielkich łodzi, szkut[98] i berlinek[99]. I z tego brzegu zeskoczyć musi do wody, wyminąć stojące okręty i płynąć, odpływać jak najdalej.

[98] *szkuta* — rzeczny statek transportowy. [przypis edytorski]

[99] *berlinka* — płaskodenny, duży statek rzeczny, który służył do transportu towarów, dawniej żaglowy. [przypis edytorski]

Był już tam w dole! Czuł lepki ciężar czarnej wody, chlupot fal, klekoczących w tajemniczym cieniu, pogłębionym przez noc. Płynął z wysiłkiem i obrzydzeniem, przeciskał się u spodu, mając wysoko nad głową stykające się prawie burty statków, w wąskich, straszliwych przejściach ocierał się o czarne, zawsze mokre deski kadłubów okrętowych. Opływał je w tej ciemności, w bezdennym smutku sunięcia tam dalej, dalej — do jakiegoś nieznanego, fatalnego celu, aż na środek, w beznadziejną rozległość wody pod niebem, gdzie już nie będzie ratunku...

Ocknął się z wrażeniem śmiertelnej grozy, oblany potem. Wesoły pokój pełen był światła, naokoło trwała głęboka cisza. Omski z wysiłkiem rekapitulował szczegóły przebytej zmory. Rozumiał teraz, że była reminiscencją pewnej nocy na brzegu Morza Czarnego[100], gdy z portu wypływał łodzią, omijając potworne cielska okrętów. Ale tamto nie było straszne, było wobec tej zmory małe i niewinne — zaledwie budzące tę oto myśl, że bezpieczny byt okrętowego pomostu jest niejako zawieszony nad tajemnicą, że to, co jest *pod spodem*, jest jednak nieznane i okropne — i jest stale. Jest zawsze — nie tylko wtedy, gdy zapadnie się dno statku.

Zasnął powtórnie — i znowu miał wizję nocy, tylko pogodnej, pełnej księżyca, zupełnie jasnej. Ale obcy ludzie byli w domu, w Chowańcach — ci sami bandyci, którzy wieczorem szukali tu przytułku, a teraz jest ich wielu i nic nie da się już poradzić. W przestrachu, gorszym od najostrzejszego cierpienia, Omski uciekł po kryjomu z domu w las — uciekł od Basi, której groziło niebezpieczeństwo — w las, zalany światłem. Pełznie po igłach i liściach, szuka cienia, wciska się w jakieś przyziemne zarośla, ale nie ma ukrycia, wciąż goni go światło księżyca, wszędzie jest widno. I wtedy — co za dziwadło — ze światłem oblanego, wielkiego, starego modrzewia przy domu wychyla się ta straszliwa zjawa, postać żywa nadnaturalnej wielkości, do połowy ciała wyrastająca ponad drzewne gałęzie, uśmiechająca się wielkimi ustami, doskonale widzialna w świetle. Uśmiech sztuczny, niby wesoły, ukłon, powitalne ruchy rąk — to Basia... Kłania się, kłania, otwiera usta, oczami szuka go gdzieś daleko, jakoś konwencjonalnie, uprzejmie, tając strach, przyzywa jego ratunku — nic nie wiedząc, że on jest tu, tuż blisko, o parę kroków, że się ukrywa w tym małym krzaku przyziemnym, całym srebrnym od światła. Nic nie słychać, ale widać, że tymi wielkimi ustami woła go jeszcze, prosi, by przyszedł, uśmiecha się niby od niechcenia, zaprasza.

Sen

Krył się, bez ruchu, bez tchu czekał. O Boże, więc tu przyszła, tu duchem przebywa po nocy — w tym dawnym miejscu, w tym straconym ogrodzie — tu się zjawia, potwornie wielka i straszliwie smutna w tym daremnym uśmiechu w pustkę drzew, w daremnym oczekiwaniu na ratunek od niego...

Usłyszał swój krzyk i przebudził się. Ach, to było straszne, od tego serce łomotało i pot zimny oblewał od stóp do głowy.

„Coś niedobrego jest ze mną", pomyślał.

Podstawił głowę pod kran, cały oblał się wodą.

— Z samego gorąca można zwariować — mruknął, uspokojony.

Ubrał się i zszedł na dół.

W hallu siedzieli Hennert i Sednowski z jakimś jeszcze nieznajomym gościem. Teresy nie było z nimi w tej chwili.

Omski na krótką chwilę zatrzymał się w drzwiach, a zaraz potem przywitał panów ze zwykłą sobie posępną grzecznością, nie patrząc na nich prawie. Zrozumiał, że to dziś wszystko się rozstrzygnie. Po krótkim namyśle zasiadł w fotelu, wespół z nimi oczekując zbliżającej się pory przejścia do jadalni. Hennertowi wyznał, że pragnąłby dziś wyjechać, wobec jego gościnnych perswazji jednak natychmiast ustąpił i wyjazd odłożył do jutra.

Po arteriach przelatywała mu krew jak ogień płynny, męka stawała się nie do zniesienia, śmierć była rajem. Myślał: „Uciec? Co, i zostawić ich razem? Nigdy, nigdy!".

Ów Sednowski był jakby cokolwiek mniej pewny siebie i rozlewny niż dawniej. Jednak głos jego słychać było najczęściej — dobrotliwy, protekcjonalny, łaskawy. Omski nie patrzył w tę stronę.

[100] *Morze Czarne* — morze śródlądowe rozciągające się pomiędzy Azją Mniejszą na południu, Kaukazem na wschodzie, Niziną Wschodnioeuropejską na północy i Półwyspem Bałkańskim na zachodzie. [przypis edytorski]

Słyszał tylko, że tamci mówili o sprawie Gondziłła. Więc nie tylko nadużycia — śledztwo dostarczyło podobno dowodów...

Teraz dopiero przyszła Teresa. Omski nie spuszczał z niej oczu. Była uśmiechnięta, trochę jakby nieśmiała i pobladła. Nie przywitała nikogo, widocznie więc widzieli się już przedtem. Zauważył też, że nie mówili do siebie nic — ona z nim — i nie patrzyli na siebie. Usiadła na chwilę, ale prawie zaraz przeszli wszyscy do jadalni.

— Więc w sprawie Gondziłła — ciągnął Sednowski swym pobłażliwym sposobem — wyszły jednak zupełnie inne rzeczy. Oprócz tych, o które oskarżono go pierwotnie. Znacznie, znacznie poważniejsze... I wtedy zaczęto mówić o tym ulubieńcu pani, Andrzeju Latarnie...

— Co? — zdziwiła się Teresa.

Tak, teraz *ona* i *on* mówili ze sobą.

— Tak, tak, pani Tereniu — po ojcowsku moralizował Sednowski — brzydkie, bardzo brzydkie historie. I Lin to też była jego sprawa...

Tak, o Linie już tutaj wiedziano, ale Lin rehabilitował się, sam oskarżając siebie wobec prokuratury, i były wszelkie widoki, że wobec tej skruchy i wiadomego wypadku... Ale Laterna?

— Tymczasem Laterny nie ma. Wyjechał zupełnie z kraju i to razem z Curllem. Nie wiadomo, czy na wschód czy na zachód...

Omski pamiętał nazwiska, wymienione w owym anonimowym liście, który otrzymał był w sprawie Gondziłła. Pamiętał je i milczał. Cóż mógł mówić, siedząc tutaj, przy tym samym stole... „Oto, jakie są skutki z polskich oficerów", pomyślał tylko cytatą z tegoż listu.

Teraz okazało się, że trzeci pan był kimś z sądownictwa. On tu utrzymywał, że poprzednie oskarżenie Gondziłła jest po prostu bezpodstawne, że naprawdę idzie o zupełnie wyraźne przestępstwo polityczne...

— Tamto wszystko jest w porządku — uspokajał — zupełnie w porządku. A obecnym tu panom szło przecież tylko o „wszystko tamto".

Więc zaczęto mówić o małżeństwie Eli z Niemeńskim. Ślub już się odbył, a „najbliżsi" dostali zaledwie zawiadomienia. Mimo to cieszyli się szczerze. Nawet Teresa rozjaśniła się teraz i jakby uspokoiła.

Wreszcie mogli być sami.

— Może w nocy będzie burza — westchnęła Teresa, gdy szli razem przez jakiś zielony korytarz strzyżonych krzaków.

— Ty śmiesz to mówić — z oburzeniem powiedział Omski.

Oczy jej napełniły się łzami.

— O Boże, więc czego chcesz, cóż ja zrobię, co ja mogę zrobić, sam powiedz. Czy chciałam, żeby przyjechał...

Załamywała ręce, usta jej drżały z męki.

— Już powiedziałem. Jeżeli to nieprawda, jeżeli nie kłamiesz, to weź teraz płaszcz i kapelusz i odejdź ze mną natychmiast...

— Dokąd?

— Do mnie, na zawsze stąd.

Patrzyła na niego ze zgrozą, z przerażeniem, że wszystko się wali, że niczego nie będzie już można uratować — z tego miłego, dobrego, ładnego życia.

— Poczekaj, pomyśl — błagała go. — Czyż było ci źle, czy mi naprawdę nie wierzysz?...

Broń, Rozpacz

Uczynił jakiś ruch ręką ku jej twarzy — i uczuła na nosie, między oczami dotknięcie lufy. Odsunęła ręką jego rękę z rewolwerem, cofnęła się ruchem powolnym, patrząc mu w oczy okrągłymi oczami. Nie wiedział, co miała w duszy — może nawet pogardę, ale oczy jej były proszące.

— Pamiętaj! — powiedział.

Popatrzył na mały rewolwer i schował go do kieszeni. Nie czuł wcale wstydu, tylko bezsilną rozpacz.

Cokolwiek uczyni, pojedzie z nim czy zostanie, cokolwiek powie — nic to nie znaczy. Tajemnica jej duszy i jej serca była dla niego czymś potwornym.

Uśmiechnął się i ucałował na jej twarzy to samo miejsce między oczami.

— Kochasz mię? — zapytał.

— Kocham — odpowiedziała i westchnęła.

Dała się poprowadzić wiadomą aleją w błękitny zmierzch sztucznych, strzyżonych zarośli.

— Tutaj? — spytała łagodnie, gdy rozścielał na trawie swój trencz.

— Miła moja — wyszeptał.

Była noc, gdy znalazł się u siebie. Ale natychmiast znowu zszedł do ogrodu. Obszedł dom, stanął pod oknami Teresy. Białe zasłony były zaciągnięte, nie widział nawet cieni — tylko światło płonęło wciąż, małe złotawe światło lampki przy łóżku.

Sednowski musiał mieć pokój na górze, jeden z gościnnych. Hennert spał w gabinecie — w odległości jednego pokoju od jej sypialni. Ale nigdzie indziej nie było już światła.

Pies

Do Omskiego podeszła cicho Klinga, suka Teresy, szara, wcale niewidoczna w ciemności. Nie zauważył, żeby była wyszła z nim. Była przeto w ogrodzie już przedtem — czy sama? Nosem podrzucała jego rękę, więc pogłaskał ją machinalnie.

— Gdzie pani, szukaj pani — mówił cicho do psa, który go nie rozumiał i wąską paszczą wysuwał się ku niemu z cieniów.

Omski krążył po ogrodzie, szukając czegoś na próżno i bezsensownie. Wracał, znowu stawał pod oknem oświetlonym i martwym. Półgłosem zawołał:

— Tereso!

Nikt nie odezwał się w domu. Była cisza.

Miłość, Zazdrość, Szaleństwo

Nie, nie było ciszy. Teraz coś słyszał na pewno. Jeszcze raz obchodził dom. Czy z otwartego okna na górze szedł ten głos czy był złudzeniem…

Miał jeszcze mięśnie pełne rozkoszy i duszę pełną męki po niedawnej pieszczocie. Był gotowy, był zupełnie szalony.

— Tereso! — zawołał jeszcze raz.

Teraz usłyszał już wyraźnie szelest wewnątrz domu, tupot nóg biegnących — może po schodach, może tylko po posadzce… Światło jednak w jej oknie płonęło jeszcze ciągle, gdy ona zeszła już z ganku. I była przy nim… „Skąd idziesz?", chciał zapytać, ale powiedział tylko:

— Chodź…

Poszła z nim znowu tą samą aleją między gładkimi ścianami szpaleru, prowadzona zwyczajnie za rękę. Zeszli w ciemności na brzeg jeziora i brzegiem kawałek poszli do miejsca, gdzie stały łódki. Nie puszczając jej ręki, Omski omackiem odczepiał łódkę od kołka — tę zwykłą łódkę rybacką.

— Chodź — powtórzył.

Zawahała się, uczuł lekki jej opór.

— Nie, nie chcę — powiedziała jakoś niezręcznie.

— Chodź!

Strach, Nienawiść, Morderstwo

Pociągnął ją mocniej i teraz już zrozumiał z nienawiścią, że się go boi.

Przełożył jej rękę, nie puszczając, do drugiej dłoni, wyjął rewolwer i z bliska strzelił w to upatrzone miejsce między oczy. „Klap, klap", klasnęło mokre echo po jeziorze, gdy ona leżała już na piasku, tuż przy wodzie, jak kupka czegoś białego.

Omski schylił się i z wysiłkiem, ostrożnie przeciągnął ją na łódkę. Uspokoił się, gdy już leżała na jej dnie — w tym samym miejscu, gdzie składano zwykle złowione ością, krwawiące ryby. Usiadł naprzeciwko, na zwykłej swej ławeczce, i wiosłował z wysiłkiem, śpiesznie. Myślał bowiem, że to miejsce musi być jak najdalej od brzegu, tam na środku jeziora, na największej głębi.

1922–1923 r.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.
Ten utwór jest w domenie publicznej.
Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.
Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/nalkowska-romans-teresy-hennert/

Tekst opracowany na podstawie: Zofia Nałkowska, Romans Teresy Hennert, Spółdzielnia Wydawnicza "Książka", Łódź 1947.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach biblioteki Wolne Lektury (wolnelektury.pl). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego. Reprodukcja cyfrowa wykonana przez Fundację Wolne Lektury.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Elżbieta Sekuła, Kornel Myczko, Natalia Matusiak.

Wesprzyj Wolne Lektury!
Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.
Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?
Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.
Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.
Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.